tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 32 (1387)
3-9.08.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Jerzy Giedroyc
i jego środowisko
o powstaniu warszawskim

Helena Kowalik
Zabójstwo Iwony Cygan
17 oskarżonych uniewinnionych

Jak Amazon, Alibaba
i Rosjanie walczą o klienta

Eutanazja
we Francji

JEŃCÓW NIE BIORĄ

WOJNA DWÓCH PiS-ów

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
32
9 771509 311607

epraca.pl 046ebcf937

POLECAMY KSIĄŻKI PRZEGLĄDU

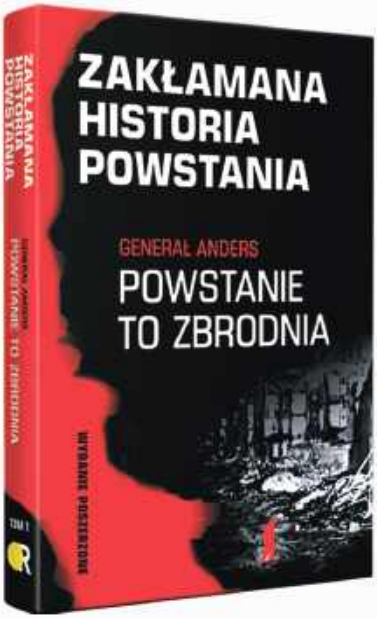

GEN. WŁADYSŁAW ANDERS

„Wywołanie powstania uważamy za ciężką zbrodnię..."

Fakty, dokumenty, relacje świadków

sklep.tygodnikprzeglad.pl

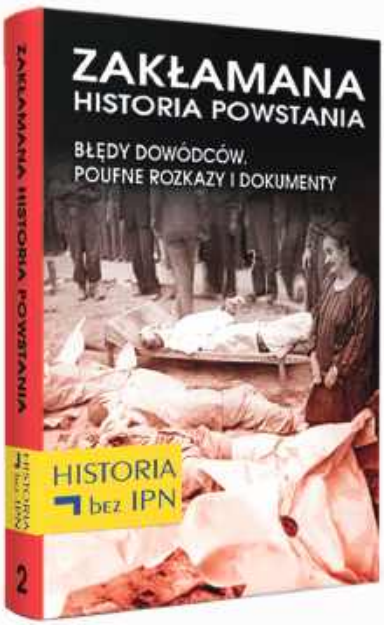

Przegląd

eprasa.pl 046ebcf937

Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Partia ministrów i prezesów

Kto raz był premierem i zakosztował tak ogromnej władzy, ten do końca życia będzie myślał o powtórce. Najbardziej skrajnym i niezwykle przy tym widowiskowym przypadkiem tej obsesji jest Mateusz Morawiecki.

Premierem był marnym. W ciągu wielu lat na posadzie złożył tyle obietnic bez pokrycia, że miano Pinokia polskiej polityki pasuje do niego jak weto do Nawrockiego. Tak bardzo przywiązał się do premierowania, że po wyborach przegranych przez PiS stanął na czele dwutygodniowego rządu kabaretowego. Po to tylko, żeby partia Kaczyńskiego, zaskoczona wynikami wyborów, mogła w ekspresowym tempie pozałatwiać swoje biznesowe i kadrowe interesy. Z wielu zabetonowanych wtedy układów nowy rząd do dziś nie potrafi się wyplątać.

Morawiecki, który uwierzył, że premier to jego zawód, uwierzył też, że ma cechy męża stanu. I że jest gotów do zastąpienia prezesa Kaczyńskiego. Jest takie powiedzenie: z kim się zadajesz, takim się stajesz. Na przypadku Morawieckiego można prześledzić, jak to się stało, że grupa ministrów, wiceministrów, prezesów agencji i spółek skarbu państwa zawdzięczająca mu awanse i kariery zawodowe okrzyknęła go charyzmatycznym liderem. A on w to uwierzył. Prezes Kaczyński nie dał się ograć, więc Morawiecki nie miał innego wyboru, jak pójść na swoje. Skrzyknął swoich nominatów, apologetów i buduje pierwszą w Polsce i chyba też pierwszą we współczesnej Europie partię urzędników państwowych z najwyższego szczebla. Oryginalny stempel tego tworu polega też na tym, że prawie wszyscy posłowie i eksdygnitarze rządowi mają mocno zaawansowane sprawy prokuratorskie. A część także sprawy sądowe.

Morawiecki ogłosił – i często to powtarza – że jego Rozwój Plus będzie tropił przekręty rządu Tuska. I w tej sprawie jest akurat bardzo wiarygodny. Jak mało kto jego ekipa wie, jak się robi przekręty. Ta bezcenna wiedza powinna też przydać się sędziom, prokuratorom i policjantom. Gdyby jej osiągnięcia w tym obszarze przełożyć na wyroki sądowe, to nowi „odnowiciele" jako grupa mogliby siedzieć setki lat.

Wiarygodność to nie jest ich drugie imię. To wiemy wszyscy. Ale jest jeszcze coś. Niezwykle silne poczucie wyższości. Tylko oni rozumieją wyzwania przyszłości. Reszta społeczeństwa to zacofańcy i dziadersi. A jeśli tak myślą, to ich wyborcy w większości też są grupą, którą w gruncie rzeczy pogardzają. Nadużycia i patologie z czasów swoich rządów próbują przykryć patriotycznymi hasłami. Nie sądzę, by potencjalni wyborcy w to uwierzyli. Coraz powszechniej o Mateuszu Morawieckim myślą podobnie jak inni prawicowi politycy, że to „manipulator i hipokryta".

BĄKOWSKI

eprasa.pl 046ebcf937

W NUMERZE

KRAJ

8 Wojna na prawicy
Morawiecki rusza do boju

11 Długa listów rozłamów Kaczyńskiego
Praktyka w rozbijaniu partii

15 Janusz czyste ręce – spin-off
Kanty byłego ministra

16 I nie wódź nas w nieskończoność
Arcybiskupi nie chcą komisji ds. pedofilii

19 Bez ślubu i bez statusu
Ułatwień nie będzie

22 Kulisy cyfrowych pułapek
– rozmowa z Anną Borkowską

24 W tej sali nie ma winnych
Sprawa zabójstwa Iwony Cygan

28 Beethoven, gdyby żył w naszych czasach, słyszałby
To medycyna – mówi prof. Skarżyński

ZAGRANICA

30 Liga Mistrzów internetu
Królowie handlu w sieci

34 Pomoc w umieraniu
Korespondencja z Francji

38 O czym są izraelskie wybory?
Społeczeństwo skręca w prawo

HISTORIA

42 Jerzy Giedroyc i środowisko Instytutu Literackiego w Paryżu o powstaniu warszawskim

60 W góry, na Mazury i nad morze
Wakacje na koloniach

NAUKA

46 Fascynują mnie mitochondria
– rozmowa z prof. Agnieszką Chacińską

KULTURA

50 Hanka podnosi się z każdego upadku
– rozmowa z Grażyną Bułką

54 Qulturalia

66 Xeniya Brik. Bezczas

SPORT

56 Lech sczezł, Górnik powalczył, pozostali awansowali

OBSERWACJE

58 Najlepsze lody na świecie
Tajemnice włoskich smaków

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Partia ministrów i prezesów

33 Jan Widacki
Duet Mitera i Żurek

37 Andrzej Romanowski
Tryptyk chłopski. II. Kasprowicz

41 Andrzej Szahaj
Zdrowie bez zysku albo zysk bez zdrowia

45 Roman Kurkiewicz
Powroty Odyseusza

49 Tomasz Jastrun
Smog

55 Wojciech Kuczok
Pogrom się zbliża

16
KRAJ

I NIE WÓDŹ NAS W NIESKOŃCZONOŚĆ
Arcybiskupi nie chcą komisji ds. pedofilii

46
NAUKA

FASCYNUJĄ MNIE MITOCHONDRIA
– rozmowa z prof. Agnieszką Chacińską

60
HISTORIA

W GÓRY, NA MAZURY I NAD MORZE
Wakacje na koloniach

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK, GRAFIKA WYGENEROWANA ZA POMOCĄ SI

eprasa.pl 046ebcf937

Dlaczego Ukraina heroizuje UPA

POLSKA-UKRAINA

Dlaczego Ukraina heroizuje UPA

Antypolskie kroki Zełenskiego natychmiast ożywiły i zradykalizowały epigonów nacjonalizmu ukraińskiego

Bohdan Piętka

Duża część polskiej sceny polityczno-medialnej, dopiero pod koniec stycznia, kiedy prezydent Ukrainy ultranacjonalist polskiego wojewodę, ze mocnym Bohdanem GRU, odkryła, że Ukraina ciągle jeszcze hołduje nacjonalistom, Czy w jego środowisku politycznym (PiS) przypuszczano nawet, że ktoś z czasu popularnej ulicznej piosenki „Ukraina banderowska od Wołynia"?

Bohater Petlura?

Prezydent Nawrocki zakwestionował, że mordestwa dokonał w skali zbrodnię za wychrzciłowanie jego rodziny na Ukrainie podczas II wojny światowej. Ukraiński nacjonalista nie z wyrzucentaliszą do tego wojskiem i w konsekwencji Sanczuk był uznawcił Sowiadzie. Prezidnta Petlura był (ale) wielkim ukraiński nacjonalistem, dowódcą wszystkiej, że jego środowisko ultrynywał, że mordestwa dokonał w skali zbrodnię za wychrzciłowanie jego rodziny na Ukrainie podczas II wojny światowej. Ukraiński nacjonalista nie z wyrzucentaliszą do tego wojskiem i w konsekwencji Sanczuk był uznawcił Sowiadzie. Prezidnta Petlura był (ale) wielkim ukraiński nacjonalistem, dowódcą

Niektórzy Polacy bagatelizują ukraiński nacjonalizm banderowski, więc postanowiłam przypomnieć czytelnikom i felietonistom, co jest napisane pod hasłem nacjonalizm w „Słowniku języka polskiego" (t. 2, s. 243, wyd. z 1979 r.). Otóż jest to „postawa społeczno-polityczna i ideologia postulująca nadrzędność interesów własnego narodu, wyrażające się w egoizmie narodowym, w dyskryminowaniu innych narodów, nietolerancji i wrogości w stosunku do nich (przeciwieństwo internacjonalizmu)".

Teresa Warakomska

Sztuczna inteligencja nas nie pokona

TECHNOLOGIE

Sztuczna inteligencja nas nie pokona

AI nadal nie jest wystarczająco kreatywna, przede wszystkim nie potrafi samodzielnie zadawać właściwych pytań

Rozmawia Weronika Walewiczak

Neurobiologia odkrywamy, jak funkcjonuje mózg, czyni się algorytmu?

– Nie, nie jest akurat specjalnie trudno, szukam inspiracji dla nowej generacji sztucznej inteligencji w neurobiologii, kosztu. Biologia zakrytie kodowań informacje genetyczne, ale nie wiemy, jak to robi. A skoro tego tyle dziedzina, jakaś dziczenie, zachodzą w komórkach, to jest w tym również pewien rodzaj **zakrytie algorytm?**

– Dokładnie! Ludzie z kolei pra-

Lewica jest awangardą nauki, więc sztuczna inteligencja może być sprzymierzeńcem lewicy. Tak jak znajomość matematyki, chemii, biologii itp. pomaga rozwijać postawę lewicową, tak samo sztuczna inteligencja może upowszechniać te nauki i rozwijać postawę lewicową, a tym samym ograniczać system, w którym koncentracja kapitału i technologii pozwala najbogatszym podmiotom coraz silniej wpływać na resztę społeczeństwa,

Zbigniew Krzyżanowski

Jaki prezydent?

Karol Nawrocki zdołał wprowadzić w błąd swoich wyborców, bo ci okazali się podatni na szablonową retorykę patriotyczną (moja kochana ojczyna itp.) i podniesiony głos, nie zadali natomiast pytań o wymierne zasługi dla Polski. Doprawdy wolałbym prezydenta, który nie kryje ambicji tworzenia własnego obozu politycznego poza rządem i przywódcami partii, imponuje natomiast taktem, godnością, kulturą osobistą i zdolnością do arbitrażu. Choćby wybitnego fizyka czy astronoma, który poza prestiżem krajowym i zagranicznym umie myśleć logicznie i z wielością przesłanek, bo taka dyspozycja łatwo się przenosi na inne dziedziny. Zadaniem polityków jest dostrzegać takich ludzi spoza własnego grona i wskazywać ich, bo oni są.

Andrzej Lam

Wasalna polityka w patriotycznym opakowaniu

Po przeczytaniu felietonu redaktora Jerzego Domańskiego chciałem zapytać, dlaczego „Po cichu mówi o tym wielu ekspertów i intelektualistów". Ja, emerytowany górnik, zapytam głośno i wyraźnie: po co są amerykańskie bazy na terenie Polski i Unii Europejskiej? II wojna światowa dawno się skończyła, okupanci ze Wschodu grzecznie się wycofali. Czas na okupantów z Zachodu. Nie godzę się na wydawanie pieniędzy publicznych na bezużyteczny złom z amerykańskiego demobilu. Ci z rządu (obecnego i poprzedniego), którzy go kupowali i kupują, powinni stanąć przed sądem za działanie na szkodę Polski! Po lekturze tekstu o wyścigu polskich polityków w dziedzinie usłużnego wachlowania prezydenta Stanów Zjednoczonych wychodzi mi na to, że w tych zawodach ten, kto jest większym patriotą, jest większym idiotą! I tu jest paradoks – im większy patriota, tym większą szkodę wyrządza Polsce.

Józef Brzozowski

Jerzy Domański
MÓJ PRZEGLĄD

Wasalna polityka w patriotycznym opakowaniu

Apeel. Nie mam lepszego słowa, by opisać gorączkę, jaka dopadła wojskowi polityków. Wyciągnęło to, kto da Amerykanom więcej, przekroczył granice absurdu. W budżecie państwa coraz więksiej deficyt, a większości Polaków nie zapaliło się nawet pomarańczowe światło. Ludzie mają dziury w budżetach, nie pieniądze. I trudno ich nie rozumieć, kiedy w powietrzu frunewją miliardy na zbrojenia. Skoła tych wydatków nie ma już bezpośredniego kontaktu z rzeczywiste. Po cichu mówi o tym wielu ekspertów i intelektualistów.

Głośno o tym mówi i konstatowerzie pokazuje tę pieniądz prof. Grzegorz W. Kołodko. Wie, o czym mówi, bo jest ekonomistą i ministrem finansów. Ostrzegał tę z czasów jeśliwnie budżej wstrzymienia i rozsiecie finansów. Jeśli mówi o lekkomyślnym marnowaniu publicznych pieniędzy na zbrojenia, to ma na to liczne dowody.

Bezpieczeństwo państwa jest wartością fundamentalną. Niestety, w Polsce nie ma poważnej debaty o tym, jak ma je sobie zapewnić kraj o takim położeniu geograficznym. Konflikty mamy praktyczne z każdym. Dwa tygodnie temu pisał o tym Robert Walewczak w tekście „Polska na zapalnik wszystkich". Taki jest obecnie rzeczywistość polityki wschodniej.

O gigantycznych wydatkach na zbrojenia decydują politycy, którzy nie znają ds tego żadnego przygotowania. I generałowie, którzy gwiazdki zawdzięczają Antoniemu Macierewiczowi i Andrzejowi Dudzie. A wiemy, jakimi kryteriami ci dwaj się kierowali i kogo promowali.

I wreszcie najnowsza obsesja polityków: stała baza amerykańska w Polsce. Siedlectwo bez granic. Z jednej strony, wielką o to, kto jest wojskiem państwa, kto

ZDJĘCIE TYGODNIA

ZMARŁA IGA CEMBRZYŃSKA – wybitna aktorka, piosenkarka, kompozytorka. Miała 87 lat. Znana m.in. z filmów „Hydrozagadka", „Dziewczyny do wzięcia", „Dziewczęta z Nowolipek", „Pełnia". Grała w filmach swojego męża Andrzeja Kondratiuka, z którym związana była od początku lat 70. do jego śmierci w 2016 r. Komponowała muzykę do jego filmów, zajmowała się także ich produkcją.

FOT. LESZEK KOTARBA/EAST NEWS

eprasa.pl 046ebcf937

Międzynarodowy Zespół Biegłych z zakresu medycyny sądowej, powołany w 2019 r. przez prokuraturę w czasie rządów PiS, wydał ostateczną opinię. **Nie było wybuchu. Pod Smoleńskiem doszło do katastrofy komunikacyjnej** rządowego Tu-154.

•

Rosyjski pocisk manewrujący Ch-101 spadł w pobliżu wsi Tarnawa-Kolonia w woj. lubelskim. Powstał krater o średnicy ok. 10 m i głębokości ok. 5 m. Potwierdziło się, że struktury państwa nie są przygotowane na takie wydarzenia. Zwłaszcza w obszarze informacji.

•

Milion dzieci w Polsce nie dostaje alimentów. Dług alimentacyjny stale rośnie i przekroczył już 17 mld zł.

•

Audyt Krajowej Administracji Skarbowej przeprowadzony za rządu PiS w latach 2020-2023 zakończył się przekazaniem **200 zawiadomień do prokuratury**. Łączna kwota nieprawidłowości w 167 podmiotach (ministerstwa, fundacje i stowarzyszenia) przekroczyła 120 mld zł.

•

Według szwedzkiego dziennika „Svenska Dagbladet" najszybciej przybywa miliarderów w Polsce. W ciągu pięciu lat ich liczba wzrośnie z 13 do 29. Mamy już 3017 osób z majątkiem ponad 100 mln zł.

•

17,7 tys. mieszkań i 2,4 tys. lokali użytkowych kupili cudzoziemcy w 2025 r.

•

Artur Smoleński z XIV LO im. Staszica w Warszawie wygrał Środkowoeuropejską Olimpiadę Informatyczną w Lublanie.

PRZEBŁYSKI

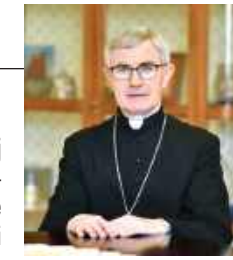

Watykan przydusił bp. Wątrobę

Już 20 polskich biskupów jest na watykańskiej czarnej liście. A wszystko za sprawą decyzji papieża Franciszka, który w 2019 r. wprowadził specjalne zasady dotyczące pociągania do odpowiedzialności tych biskupów, którzy nie reagowali na wykorzystywanie seksualne małoletnich. Wśród podpadniętych Watykanowi jest bp Jan Wątroba. Od 2013 r. ordynariusz diecezji rzeszowskiej. Gdy objął tę funkcję, odwiedziła go Monika i poinformowała, że ks. Edmund zaczął ją wykorzystywać, gdy miała 12 lat. Trwało to długo, bo kilka lat.

Bp Wątroba długo kluczył i potrzebował 10 lat, by na sprawcę nałożyć karę. Zrobił to dopiero po interwencjach Dykasterii Nauki Wiary. Gwałciciel nie został objęty nawet ścisłym nadzorem. Na te kpiny zareagował papież Leon XIV i wysłał bp. Wątrobie koadiutora – bp. Krzysztofa Chudzia. Wysłano go trzy lata przed emeryturą Wątroby. Zwykle Watykan tak nie robi. Trudno więc uwierzyć, że ochroniarz pedofila dotrwa w Rzeszowie do emerytury.

Baptyści też skorzystali

Niewiele jest już na świecie krajów z takimi ulgami dla wspólnot wyznaniowych jak Polska. Bonifikaty na zakup nieruchomości publicznych sięgają 99%. Grzechem byłoby więc nie skorzystać z takich okazji. I Kościoły korzystają. Bez skrupułów. I nawet malutkiej żenady.

Choć monopolistą (prawie) w tym żerowaniu jest Kościół katolicki, to czasem innym też uda się coś uszczknąć z tego darmowego tortu. W Głogowie był to Kościół Chrześcijan Baptystów. Radni Głogowa wyrazili zgodę na sprzedaż miejskiej działki (4,5 ha) wycenionej na 1,3 mln zł za 134 zł. Za byli radni rządzącej w Głogowie Koalicji Obywatelskiej i Komitetu prezydenta miasta Rafaela Rokaszewicza.

PYTANIE TYGODNIA

Czego pokolenie Z oczekuje od polityki?

DR EWELINA NOWAKOWSKA,
politolożka i antropolożka polityki, USWPS, IFiS PAN

Przede wszystkim konkretów i sprawczości. Zetki to pokolenie, które wie, czego chce. Ważne są dla nich takie kwestie jak mieszkalnictwo, koszty życia czy zmiany klimatu. W przeciwieństwie do milenialsów otwarcie mówią o swoich potrzebach, emocjach i oczekiwaniach. Idą na wybory głównie ze względu na swoje postulaty i nadzieję na ich realizację przez polityków, a w drugiej kolejności po to, by pokazać władzy, co o niej myślą. Wykazują przy tym ogromną niechęć do obecnego stylu uprawiania polityki i mówią wprost: „Mamy dość!". Widzą, że instytucje nie działają, a politycy zamiast odpowiadać na ich problemy, wracają do opowieści, które dla nich są obce. Choć uważają, że system ich ignoruje, chcą walczyć o zmianę. Główną przestrzenią ich mobilizacji jest internet – to tam manifestują swoje postawy polityczne, czują, że mają wpływ na rzeczywistość i są widzialni.

DR PAWEŁ ŁOKIĆ,
ekspert w dziedzinie nauk społecznych, UAM w Poznaniu

Pokolenie Z niespecjalnie interesuje się kłótniami politycznymi, wojenkami ideologicznymi ani podziałem na lewicę i prawicę. Zetki niezbyt dobrze oceniają ten teatr i konflikty w mediach. Do polityków podchodzą z nieufnością, bo uważają ich za nieskutecznych. Dojrzewają w świecie dynamicznym, pełnym dezinformacji i kryzysów. Słyszą od rodziców o tym, jak trudno dziś o stabilność, i żyją w przekonaniu, że na nic nie będzie ich stać – od mieszkań po wychowanie dzieci. Dodatkowo boją się o przyszłość zawodową z powodu rozwoju sztucznej inteligencji. Ale kiedy w badaniach pyta się ich o oczekiwania, mówią wprost: chcemy autentyczności, mniej wykłócania się, a więcej rozwiązań. Chodzi im po prostu o efektywne zarządzanie państwem i narzędzia, które zapewnią im stabilizację ekonomiczną w niepewnych czasach.

DOMINIKA LASOTA,
aktywistka młodego pokolenia, Inicjatywa Wschód

Oczekiwałabym od polityki więcej odwagi i tego, by politycy stali po stronie ludzi i naszych najpilniejszych potrzeb, a nie wielkich interesów czy biznesu. Niestety, obecnie – czy chodzi o zdrowie, mieszkania, czy klimat – wygrywają czyjeś zyski. Mamy dość reality show, które serwuje się nam codziennie. Ta polityka traci sens: co chwilę nakręcane są dramy i skandale, a politycy ścigają się na zasięgi. Mówiono nam, że trzeba brać udział w demokracji. Poszliśmy zagłosować, a czujemy paraliż i to, że zostaliśmy z niczym, bo ta scena odkleiła się od rzeczywistości. Ale nadzieja i szanse na zmiany zawsze są. Głęboko liczę na to, że ludzie, którzy na to patrzą i się zawodzą, będą organizować się lokalnie i tworzyć alternatywę tam, gdzie polityka ich pomija.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 046ebcf937

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

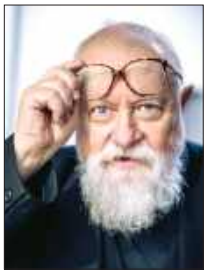

Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

Promocja emocji

Byłem ostatnio na kilku festiwalach, kulturalnych oczywiście i o kulturze. Jednym z tematów pierwszego była dyskusja o „przestrzeniach pasji", jedno z haseł drugiego głosiło, że „kultura to emocje". Jak to się mówi, „wpisuje się to" w tendencje uszlachetniania raczej tego, co nami kieruje, niż tego, czym kierujemy my. Pasje dobrze mieć, właściwie to obowiązek. Pewien młody człowiek przypisywał sobie sześć pasji, przy czym zapomniał, czego dotyczyła szósta. A emocje to wspaniała sprawa, wiemy to choćby z reklamy. I co je pobudza, to dobre.

Sam sobie niechętnie przypisywałbym jakieś pasje, choć bywam o to posądzany i indagowany. Wystarczą mi zainteresowania, mogą być w końcu głębokie. I tak potrafią one ograniczyć ogląd świata. Ale pasje? Pasja jest z łacińskiego passio, pierwotnie 'cierpienie', wiemy to z religii i z muzyki pierwotnie religijnej. Potem pasja stała się silnym przeżyciem, wreszcie namiętnością, z początku pewnie bliską jakiemuś szlachetnemu cierpieniu. W naszym języku zaczęła też oznaczać gniew, a nawet furię, podobno szczególnie silnie przeżywaną przez szewców. I pasjonat to najpierw był taki furiat – potem dopiero stał się kimś ogarniętym jakąś namiętnością czy też czymś tak nazywanym ostatnimi czasy z charakterystyczną dla tych czasów wyraźną przesadą. W żadną z pasji nie chciałbym wpadać ani jej przeżywać.

A emocje? I czy kultura to właśnie emocje? Kultura, owszem, emocje wywoływać może, ale to jednak nie to samo. Ściśle mówiąc, wolałbym, nawet wolę, kulturę racjonalną, tak jak i racje wyrażane kulturalnie. Kierowanie się emocjami na szczęście jeszcze nie jest aprobowane, przynajmniej językowo to wyrażenie aprobaty nie wyraża, tak nazywamy raczej zachowania mniej cenione – a kulturalny człowiek w ogóle emocje ujawnia niezbyt często i niespecjalnie chętnie.

Promowanie czy propagowanie pasji i emocji uważam za mało racjonalne. A nawet za społecznie niebezpieczne. Może mówienie o nich jest atrakcyjne, zwiększa zainteresowanie, ale i tak spory ogólny poziom zdenerwowania wcale od tego nie maleje. Może by tak trochę więcej spokoju? Najlepiej rozumnego… ■

eprasa.pl 046ebcf937

WOJNA NA PRAWICY

Czy Mateusz Morawiecki wywróci stolik, czy sam się wywróci?

Robert Walenciak

Czy 40 parlamentarzystów, którzy wyszli z PiS razem z Mateuszem Morawieckim, wywróci polską scenę? Oto pytanie dnia.

Na naszych oczach prawica zmienia kształt. Jeszcze niedawno było to wielkie PiS, notujące 40% poparcia, i mała, paroprocentowa Konfederacja. Dziś prawica podzielona jest na cztery ugrupowania. Konfederacje są dwie i rosną. PiS nie ma już 40% poparcia, oscyluje wokół 20%, a niektóre sondaże dają mu mniej. Partii Jarosława Kaczyńskiego wyborców zabierają Konfederacje, teraz też ugrupowanie Morawieckiego. To tworzy nową sytuację. Tylko czy utworzy?

Kim jesteście, harcerze?

Patrząc na ekipę Morawieckiego skojarzenia mamy proste. To głównie ludzie, którzy pracowali z nim w rządzie. Administratorzy i urzędnicy. Czy z taką armią można rzucić rękawicę Kaczyńskiemu? Z armią, dodajmy, poobijaną rządzeniem. Mającą opinię osób wysferzonych, bogatych, którymi interesuje się prokuratura. O Mateuszu Morawieckim nie ma co wspominać. Ma prawomocne wyroki za kłamstwa oraz opinię bankstera, milionera oderwanego od życia zwykłych ludzi. I w każdej chwili może do niego zapukać prokurator.

Śledztwo dotyczące okradania Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych trwa i przynosi efekty. Były szef RARS Michał Kuczmierowski uciekł do Londynu i tam oczekuje na decyzję o ekstradycji. Śledczy zamierzają też przesłuchać innych ludzi Morawieckiego: jego najbliższego doradcę Mariusza Chłopika, i byłego prezesa Agencji Rozwoju Przemysłu Cezariusza Lesisza.

Wcześniej funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego wkroczyli do mieszkań czworga bliskich współpracowników Morawieckiego: Anny i Pawła P., Włodzimierza D. oraz Renaty K. Paweł P. zatrzymany został na trzy miesiące, pozostałych zwolniono za poręczeniem majątkowym. Otrzymali zarzuty działania w zorganizowanej grupie przestępczej, a także przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków na korzyść należącej do Pawła Sz. fundacji Red is Bad.

Nie wygląda to dla Morawieckiego dobrze. Zwłaszcza że, jak czytamy w komunikacie śledczych, wyprowadzone z RARS pieniądze „przeznaczono na finansowanie kampanii politycznych, w szczególności na opłacanie zespołu osób zajmujących się sztucznym kreowaniem zasięgów, budowaniem poparcia dla określonych narracji politycznych, tworzeniem materiałów propagandowych oraz przedstawianiem polityków opozycji w negatywnym świetle".

A pozostali ludzie Morawieckiego? Michał Dworczyk, były szef Kancelarii Premiera, dziś europoseł. Niedawno prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko niemu. To pokłosie słynnej afery mejlowej. Prokuratura zarzuca mu używanie prywatnej, niezabezpieczonej poczty do korespondencji państwowej, także spraw dotyczących bezpieczeństwa, oraz zacieranie śladów w śledztwie.

Janusz Cieszyński to były wiceminister zdrowia i minister cyfryzacji. Ciągnie się za nim afera respiratorowa, czyli zakup przepłaconych respiratorów od firmy krzak, i afera NASK. Ta druga, mniej znana, dotyczy zatrudniania w Pionie Strategii i Komunikacji NASK osoby, która nie pojawiała się w miejscu pracy, natomiast „nagminnie dokonywała nieautoryzowanych i niezasadnych transakcji za pomocą środków NASK i jawnie angażowała się (oraz zasoby informatyczne i personalne NASK a także NASK PIB) w działalność polityczną Janusza Cieszyńskiego". Łączne koszty jej wynagrodzenia w okresie od września 2022 r. do czerwca 2024 r. wyniosły 717 917,44 zł.

Podobne zarzuty dotyczą Krzysztofa Szczuckiego, byłego szefa Rządowego Centrum Legislacji. Prokuratura Okręgowa w Warszawie już skierowała przeciwko niemu do sądu akt oskarżenia. Zarzuty dotyczą tego, że zatrudnił członków swojego sztabu wyborczego w komórce Rządowego Centrum Legislacji, co miało skutkować stratami w wysokości 900 tys. zł, związanymi z wypłatami, delegacjami, noclegami i kosztami paliwa.

Paweł Jabłoński to z kolei były podsekretarz stanu w MSZ. Jemu NIK zarzuca nieprawidłowości przy organizacji konkursu na projekty pomocy humanitarnej. Według NIK Jabłoński – z pominięciem rekomendacji komisji konkursowej – arbitralnie wskazywał zwycięzców konkursu, np. fundację Klaster Innowacji Społecznych, powiązaną z PiS. Fundacja ta otrzymała 421 tys. zł na projekt pomocowy dla Ukrainy.

„Wśród projektów wskazanych przez ministra znalazł się jeden związany ze stowarzyszeniem znanym z promowania polityczek PiS", informowała „Rzeczpospolita". Olga Semeniuk-Patkowska to była wiceszefowa resortu rozwoju w latach 2020-2023. Nie ciążą na niej żadne zarzuty, choć przypominane jest jej coś innego. W roku wyborczym 2023

eprasa.pl 046ebcf937

Mateusz Morawiecki, Bogusław Sonik, Bronisław Wildstein i Marek Jurek na Kongresie Rozwój + Wy, poświęconym nowej formacji politycznej byłego premiera. Warszawa, 31 lipca 2026 r.

odbyła 45 wyjazdów służbowych, z czego 37 do Olsztyna i okolic, czyli do okręgu, z którego startowała. Najdłuższa delegacja trwała nieprzerwanie 24 dni – zaczęła się 20 września, a skończyła w dniu wyborów, 15 października. Koszty związane z noclegami wyniosły 13 728 zł.

Z kim iść pod rękę?

Te kilka nazwisk i przypadków ilustruje największy kłopot Mateusza Morawieckiego i jego ekipy. Idzie on do boju ze swoimi współpracownikami, z urzędnikami. I ewidentnie widać, że nie mają oni nie tylko politycznego wyczucia, co wypada, a co nie i co ludzi gorszy. Nie mają też wyczucia, gdzie jest granica, której nie wolno przekroczyć, jeśli nie chce się być klientem prokuratora.

A jeżeli jest taki kłopot, nasuwa się pytanie: czy inicjatywa Mateusza Morawieckiego ma szanse na powodzenie? Czy jego ludzie, przyzwyczajeni do rządowych posad i rządowych delegacji, będą zdolni budować struktury, rozmawiać z wyborcami i pozyskiwać ich uznanie? Czy państwowi urzędnicy, przekonani, że stała im się krzywda, bo zostali oderwani od dobrych posad, okażą się atrakcyjnymi politykami? Dodajmy kolejne pytanie, chyba najważniejsze: czy Morawiecki i jego ekipa będą mieli ofertę, która przekona wyborców prawicy, że wśród prawicowych partii to oni są najlepsi?

Na razie słyszymy z ich ust przemieszanie pseudopatriotycznych haseł, że obronimy Polskę, że wielka Polska itd., z korposlangiem. Mówią, że są PiS w wersji soft, czyli bardziej otwartym na kontakty z Europą niż PiS Czarnka. Że są przeciwko Braunowi, ale jeszcze bardziej przeciwko Tuskowi (kogo więc tak naprawdę wolą?). Ale ogólnie są takim samym PiS, jakim byli w czasach premierowania Morawieckiego. Czy można rywalizować z Jarosławem Kaczyńskim o to, kto jest lepszym Kaczyńskim?

Okazuje się, że można, bo – jak powiedział Kaczyński – Morawiecki zaproponował mu, że przejmie władzę w PiS. Jeżeli tak było, to Morawiecki nie nadaje się do życia politycznego. Bo traktuje partię jak korporację, a lata premierowania niczego go nie nauczyły.

Jakby zapomniał, że Zjednoczona Prawica, gdy rządziła, była zlepkiem różnych grup, które łączyły owoce władzy i autorytet Jarosława Kaczyńskiego. I że gdy kierował pracami rządu, nad niektórymi nie miał kontroli. Szef MON Mariusz Błaszczak (a wcześniej Antoni Macierewicz) był od niego niezależny, podobnie szef MSWiA Mariusz Kamiński, minister aktywów państwowych Jacek Sasin czy minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Nie miał też wpływu na ministra kultury Piotra Glińskiego czy na szefa TVP Jacka Kurskiego.

Wyciągał z tego wnioski, zbudował w Kancelarii Premiera własną grupę opartą na ludziach wywodzących się ze Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, tzw. harcerzach. I rozbudowywał ją. Także tocząc wewnętrzne boje. Najefektowniejszy był ten z Ziobrą. To był twardy spór. Morawiecki i jego zwolennicy zarzucali Ziobrze brak reform w Ministerstwie Sprawiedliwości, upolitycznienie prokuratury i wywoływanie konfliktów, a nie ich rozwiązywanie. Z kolei Ziobro atakował Morawieckiego za uleganie UE.

Ten konflikt wybuchł ze zdwojoną intensywnością po wejściu ziobrystów do PiS i po wyborach w 2023 r. Ucieczka Ziobry przed prokuraturą nie

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 046ebcf937

zatrzymała go. Suwpolowcy mieli coraz więcej do powiedzenia w samym PiS. Dlaczego? Po wyborach w 2023 r. w PiS toczył się spór, dlaczego partia oddała władzę. Po jednej stronie byli Morawiecki i jego współpracownicy. Ci mówili, że rządy PiS były znakomite, a wyborcza porażka to efekt błędów Ziobry, Kurskiego i tego całego pisowskiego szaleństwa.

Z drugiej strony stanęli ziobryści, przeważająca część PiS i wyborcy, którzy popierają dwie Konfederacje. Porażka, ich zdaniem, to efekt błędów Morawieckiego, afer i wysferzenia się jego ekipy. Do tego dorzucili hasła, że Tusk sprzedaje nas Niemcom. Przy takim podziale Morawiecki i jego współpracownicy bez poparcia Kaczyńskiego nie mieli szans.

Na poparcie prezesa też szans nie mieli. Kaczyński widział przecież, jak Morawiecki buduje w PiS własne struktury, lojalne tylko wobec niego. A jeśli miał wątpliwości, to po wigilii 2025 r., którą Morawiecki zorganizował dla swoich zwolenników, zaraz po oficjalnej wigilii PiS, już ich nie miał. Jasne stało się, że były premier tworzy partię w partii. I albo będzie chciał PiS przejąć, albo z niego wyjdzie.

Reszta to ornament. Kaczyński stanął przed wyborem: albo patrzy na wojnę w PiS, albo ją kończy. Wolał więc ją skończyć. Pewnie w nadziei, że poradzi sobie z takim rozłamem, jak poradził sobie wcześniej z różnymi buntownikami. Z formacją Polska Jest Najważniejsza, z Solidarną Polską. Odciął ich od wyborców i przeczekał. To dlatego politycy z jego szeregów dziś tak atakują Morawieckiego. Że to były doradca Tuska, agent niemiecki, bankster i „Zdradeusz", jak przedstawia go Tobiasz Bocheński.

Jest w tym oczywista przesada, ale przecież walka toczy się o to, komu wyborcy PiS zaufają. Z punktu widzenia PiS wdeptanie w ziemię Morawieckiego, zepchnięcie go do poziomu 2-3% jest zadaniem numer 1. Wtedy będzie można z nim rozmawiać o warunkach kapitulacji. Bo jeżeli się obroni, rozmowy będą dotyczyć warunków sojuszu.

•

Spójrzmy na ten konflikt z innej perspektywy. Wyborcze głosy są w Polsce liczone systemem d'Hondta, poza tym istnieją progi wyborcze. To wszystko sprzyja dużym ugrupowaniom.

W 2019 r. ledwie 37% głosów pozwoliło PiS zdobyć 236 mandatów i większość w Sejmie. Owszem, była to zasługa tego, że i Lewica, i Razem nie weszły do Sejmu, gubiąc wspólnie ponad 11% wyborców. Ale to tylko potwierdza, że silny dostaje premię. I że jeżeli prawica będzie rozbita na cztery ugrupowania, zdobędzie mniej, niż gdyby startowały np. dwie prawicowe partie. Już nie wspominając o tym, że start czterech ugrupowań i walka o tych samych wyborców wymusza spory i polityczne bijatyki. Oto więc wielka nadzieja Donalda Tuska.

Gangster kontra człowiek niebezpieczny

Rozłam w PiS to także element politycznej biografii Jarosława Kaczyńskiego. Nikt nie ma wątpliwości. On też jest tego przyczyną. Owszem, ma na koncie wielki sukces – wygrane kolejne wybory prezydenckie, ale co poza tym? Nie jest już hegemonem na prawicy. Nie udało mu się zepchnąć Konfederacji na margines. Coraz trudniej mu narzucić swój ton.

Jedni twierdzą, że to dlatego, że prezes PiS, rocznik 1949, się zestarzał. Drudzy – że zestarzeli się jego wyborcy, bo prezes wciąż imponuje formą intelektualną, a PiS to partia wyborców 65+. Tak czy inaczej, potencjalni następcy podnoszą głowy. Dlatego w PiS mamy tak ostrą walkę, Konfederacje coraz mniej sobie robią z ataków Kaczyńskiego i cztery partie ruszają do walki o wyborców prawicy.

Prezes PiS niedawno mówił o Grzegorzu Braunie, że „to zjawisko spoza sfery normalnej polityki", że jest bardzo niebezpieczny. „W żadnym wypadku nie można się godzić na funkcjonowanie takiej osoby w polityce, na jej poglądy". I co? Mamy Czarnka, który próbuje Brauna dogonić i przelicytować. Zresztą bezskutecznie.

Sławomir Mentzen – jak mówił Kaczyński – nie powinien funkcjonować w polskiej polityce. I co? Funkcjonuje i sam potrafi boleśnie prezesa PiS ukąsić. „Kaczyński – mówił Mentzen kilka miesięcy temu – to nie jest miły starszy pan. To polityczny gangster, który chce dobrze tylko dla swojej partii. Interes państwa jest dla niego znacznie mniej ważny niż interes jego partii. PiS jest dla Kaczyńskiego najważniejszy, dla niego najważniejsze jest to, żeby on dalej był prezesem PiS, i wszystko inne nie ma znaczenia. Jest w stanie zniszczyć każdego, kto mu się sprzeciwi".

Czy te słowa powinny być przestrogą dla Morawieckiego? Znakiem, że już po nim? Niekoniecznie. Nie stawiajmy kreski na Morawieckim. Prezes nie jest już wszechmocny, PiS nie ma 40% poparcia, każda nowa polityczna gra toczy się w innej przestrzeni. A to dopiero początek rozgrywki.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Żegnamy

WIESŁAWĘ ZIÓŁKOWSKĄ

Posłankę X, I i II kadencji Sejmu (1989-1997), ekonomistkę. Była jednym z liderów Unii Pracy i z jej ramienia członkinią Rady Polityki Pieniężnej (1998-2024). Nauczycielka akademicka, autorka licznych publikacji o gospodarce i finansach. Ideowa, lewicowa, bliska ludziom.

Rodzinie i Bliskim serdecznie współczuję

Waldemar Witkowski, senator RP

eprasa.pl 046ebcf937

DŁUGA LISTA ROZŁAMÓW KACZYŃSKIEGO

Nigdy nie miał skrupułów, by rozbijać inne partie

Paweł Siergiejczyk

Nigdy wcześniej nie było w Polsce tak długowiecznego lidera partyjnego jak Jarosław Kaczyński. Ćwierć wieku Prawa i Sprawiedliwości, a wcześniej cała dekada Porozumienia Centrum nie były jednak czasem niekwestionowanego przywództwa prezesa tych ugrupowań. Przeciwnie – historia PC i PiS toczyła się w rytm kolejnych rozłamów dokonywanych przez tyleż ambitnych, co zbyt samodzielnych polityków, dla których nigdy nie było miejsca w formacji Kaczyńskiego. Jednocześnie warto pamiętać, że sam Kaczyński nigdy nie miał skrupułów, by inspirować rozłamy w innych ugrupowaniach, jeśli tylko mógł z tego odnieść doraźne korzyści.

Jarosław Kaczyński i Jan Olszewski w drodze na posiedzenie Sejmu, listopad 1997 r.

Wymiana kadr

Wszak utworzenie w maju 1990 r. Porozumienia Centrum nie było niczym innym, jak pierwszym rozłamem w wielkim obozie Solidarności, którego polityczną reprezentację od wiosny 1989 r. stanowił ruch komitetów obywatelskich. Jarosław Kaczyński dokonał tego rozłamu, nie kryjąc, że jego celem jest „przyśpieszenie", które miało polegać na szybkiej wymianie kadr państwowych z PRL-owskich na solidarnościowe. W jego opinii nie robił tego wystarczająco szybko rząd Tadeusza Mazowieckiego, dlatego Kaczyński oskarżył premiera o prowadzenie polityki „grubej kreski" i zaczął go publicznie atakować. Wykorzystał przy tym prezydenckie ambicje Lecha Wałęsy, organizując PC jako koalicję różnorodnych środowisk wspierających lidera Solidarności w drodze do Belwederu. Stąd też początkowo w PC znalazły się małe ugrupowania chadeckie, ludowe, a nawet Kongres Liberalno-Demokratyczny, czyli partia Donalda Tuska i jego kolegów.

Dopiero zwycięstwo wyborcze Wałęsy w grudniu 1990 r. pozwoliło Kaczyńskiemu przekształcić PC w jednolitą partię. Na jej prezesa został wybrany na pierwszym kongresie, który odbył się w marcu 1991 r. Nie było tam już wtedy ani gdańskich liberałów, ani solidarnościowych ludowców, ani chadeków spod znaku mecenasa Władysława Siły-Nowickiego, a Jarosław Kaczyński był jedyną rozpoznawalną postacią w nowej partii. Wybrano go większością 368 głosów, podczas gdy jedyny kontrkandydat otrzymał zaledwie 40 (był nim zupełnie zapomniany później Janusz Andruszkiewicz).

Trudno temu się dziwić: lider PC był już wtedy szefem Kancelarii Prezydenta, zatem jego ugrupowanie uchodziło za „wałęsowską partię władzy", do której lgnęło wielu karierowiczów, w tym dawnych działaczy PZPR, ZSL, SD czy PAX – mimo że PC głosiło hasło dekomunizacji. Mało

eprasa.pl 046ebcf937

kto wtedy zdawał sobie sprawę, że relacje między Kaczyńskim a Wałęsą są coraz gorsze i tylko dzięki wejściu do Sejmu jesienią 1991 r. (wcześniej byli senatorami) braciom Kaczyńskim udało się uniknąć spektakularnego wyrzucenia z Belwederu.

W tych pierwszych całkowicie demokratycznych wyborach parlamentarnych wystawiono kilkadziesiąt list, a wśród nich Porozumienie Obywatelskie Centrum – sojusz PC z częścią działaczy komitetów obywatelskich oraz niewielką grupą ludowców pod wodzą Romana Bartoszczego, noszącą patetyczną nazwę Polskie Forum Ludowo-Chrześcijańskie „Ojcowizna".

Pierwotnym planem Kaczyńskiego był wspólny start wyborczy z odrodzonym PSL, którego solidarnościowy ludowiec Bartoszcze był pierwszym prezesem, jednak plany te pokrzyżowała większość dawnych działaczy ZSL. W czerwcu 1991 r. doprowadzili oni do odwołania prezesa (nowym został młody Waldemar Pawlak) i samodzielnego startu w wyborach, Bartoszcze zaś dokonał rozłamu, który jednak w niczym nie zagroził PSL.

Jarosław Kaczyński Roman Giertych na podsumowaniu stu dni urzędowania premiera Kazimierza Marcinkiewicza. 17 lutego 2006 r.

Utworzenie w maju 1990 r. Porozumienia Centrum było pierwszym rozłamem w wielkim obozie Solidarności.

Na listę POC w 1991 r. padło prawie milion głosów (8,71%) – dało to Kaczyńskiemu 44-osobowy klub w Sejmie. On sam miał wówczas zaledwie 42 lata, co w elitach postsolidarnościowych stawiało go na niezbyt wysokiej pozycji. Dlatego musiał wykreować na premiera kogoś starszego i z większym autorytetem – znanego adwokata Jana Olszewskiego.

Rozłam dotkliwy, ale niejedyny

Nowy gabinet przetrwał zaledwie pół roku, skutecznie konfliktując się z większością ugrupowań i z prezydentem Wałęsą, lecz z punktu widzenia Kaczyńskiego najgorsze było to, że premier zupełnie nie liczył się z jego przywództwem. Toteż nie było wielką niespodzianką, że niedługo po upadku rządu 4 czerwca 1992 r. Olszewski opuścił PC i wraz z kilkunastoma posłami założył Ruch dla Rzeczypospolitej.

Był to najdotkliwszy rozłam w pierwszej partii Kaczyńskiego, ale niejedyny. W ciągu następnych miesięcy, gdy PC znalazło się poza nowym gabinetem Hanny Suchockiej, z klubu odchodzili kolejni posłowie. Kilku z nich doszlusowało do współtworzącego koalicję rządową klubu o nazwie Polski Program Liberalny, który skupiał liberałów Tuska i większość posłów z Polskiej Partii Przyjaciół Piwa. Byli to: Andrzej Urbański, Józef Orzeł, Marcin Przybyłowicz oraz były minister w rządach Bieleckiego i Olszewskiego, znany ekonomista Jerzy Eysymontt. Nie związali się jednak oni na trwałe z KLD, a część z nich przeszła do wałęsowskiego Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform, by z tej listy próbować uzyskać mandaty we wrześniowych wyborach w 1993 r. Udało się to Eysymonttowi oraz innemu uciekinierowi z PC, Tadeuszowi Kowalczykowi, przedsiębiorcy z Radomia, którego dziwne powiązania biznesowo-polityczne zostały przerwane śmiercią w wypadku drogowym w 1997 r.

Przedterminowe wybory w 1993 r. przyniosły klęskę całej prawicy, w tym partiom Kaczyńskiego i Olszewskiego, które nie były w stanie stworzyć wspólnej listy, choć antywałęsowski elektorat był już na prawicy niemały. Lider PC, nie mogąc zmusić byłego premiera do sojuszu, zainspirował wówczas rozłam w RdR i przyjął z powrotem kilku posłów (Andrzeja Anusza, Kazimierza Barczyka, Edmunda Krasowskiego, Piotra Wójcika), dzięki czemu lista Kaczyńskiego mogła wystartować pod nazwą Porozumienie Centrum – Zjednoczenie Polskie. Lista zdobyła 600 tys. głosów, co dało tylko 4,42%. Koalicja dla Rzeczypospolitej Olszewskiego uzyskała jeszcze mniej: 371 tys. głosów, czyli 2,7%.

Pozostająca odtąd przez cztery lata poza Sejmem prawica nadal się dzieliła, co dotknęło również partię Kaczyńskiego. Odchodzili z niej kolejni działacze, nawet mało znani, jak były dyrektor biura poselskiego Wojciech Dobrzyński, który utworzył mikroskopijną partyjkę o zabawnej nazwie PC – Inicjatywa Integracyjna, ale także postacie znacznie ważniejsze, jak główny partyjny ekonomista Adam Glapiński czy twórca agresywnej kampanii telewizyjnej PC w 1993 r. Jacek Kurski. Ci ostatni – wraz z Anuszem i Wójcikiem – włączyli się w promowanie prezes NBP Hanny Gronkiewicz-Waltz jako kandydatki na prezydenta w wyborach 1995 r., co skończyło się fiaskiem.

eprasa.pl 046ebcf937

Sam Kaczyński próbował w tym czasie stworzyć własną koalicję partii prawicowych – Przymierze dla Polski. Wciągnął do niej m.in. Koalicję Konserwatywną pod wodzą Kazimierza Michała Ujazdowskiego, który dokonał w tym celu rozłamu w Partii Konserwatywnej Aleksandra Halla.

Ci odlatują, ci zostają

PC już nigdy nie odrodziło się jako samodzielna siła polityczna, choć jeszcze w 1997 r. mandaty poselskie z list AWS zdobyło kilkunastu członków tej partii, m.in. wiceprezes Ludwik Dorn, Tadeusz Cymański, Krzysztof Jurgiel i Krzysztof Tchórzewski. Sam Kaczyński, nieakceptowany przez większość liderów AWS, zdobył mandat poselski z listy Ruchu Odbudowy Polski Jana Olszewskiego i został posłem niezrzeszonym. Formalnie zrezygnował wówczas z kierowania partią, przekazując tę funkcję najpierw posłowi Tchórzewskiemu z Siedlec, a potem Antoniemu Tokarczukowi z Bydgoszczy. Kiedy jednak ten ostatni doprowadził w 1999 r. do zjednoczenia PC ze środowiskami chadeckimi w AWS i stanął na czele Polskiego Porozumienia Chrześcijańskich Demokratów, co dało mu fotel ministra środowiska w rządzie Jerzego Buzka, Kaczyński wrócił do gry. Wierna mu grupa działaczy doprowadziła do wykluczenia Tokarczuka z PC, a nowym prezesem został Adam Lipiński z Wrocławia.

Formalnie Porozumienie Centrum zakończyło działalność w 2002 r., gdy od roku istniało już Prawo i Sprawiedliwość – nowa partia założona na bazie popularności, jaką zdobył Lech Kaczyński na stanowisku ministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka. Tworząc PiS przed kolejnymi wyborami do Sejmu w 2001 r., Jarosław Kaczyński nie miał żadnych skrupułów, by przyjąć na swoje listy znaczną grupę parlamentarzystów AWS – rozłamowców ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego (m.in. Marka Jurka, Kazimierza Marcinkiewicza i Mariana Piłkę) i Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego (m.in. Kazimierza M. Ujazdowskiego i Wiesława Walendziaka), którzy wspólnie utworzyli Przymierze Prawicy. Ponieważ jednak od początku istnienia PiS Kaczyński założył stworzenie jednolitego ugrupowania pod własnym, niekwestionowanym przywództwem, bez żadnych wewnętrznych frakcji, Przymierze Prawicy szybko musiało się rozwiązać.

Politycy z tego środowiska okazali się jednak najmniej lojalni wobec prezesa PiS, choć trzeba przyznać, że nie wszyscy dawni działacze PC pozostali wierni nowej partii. Pierwszy rozłam w PiS nastąpił wiosną 2007 r., gdy bracia Kaczyńscy – pełniący wówczas funkcje prezydenta i premiera – storpedowali projekt wpisania do konstytucji zakazu aborcji, czego domagała się konserwatywna część ugrupowania. Szeregi PiS opuścił wtedy główny orędownik tego projektu Marek Jurek, który złożył urząd marszałka Sejmu i utworzył nową formację o nazwie Prawica Rzeczypospolitej. Za Jurkiem poszło jednak tylko czworo posłów (Marian Piłka, Artur Zawisza, Małgorzata Bartyzel i Dariusz Kłeczek), co nie miało żadnego znaczenia, bo zarówno o. Tadeusz Rydzyk, jak i większość biskupów i proboszczów nadal wolała popierać PiS. Po serii wyborczych porażek Marek Jurek pojawił się jeszcze raz na warszawskiej liście PiS do Parlamentu Europejskiego w 2014 r. i dzięki poparciu Radia Maryja zdobył mandat – ku zaskoczeniu samego Kaczyńskiego.

W Sejmie z lat 2005-2007 rządzące po raz pierwszy PiS od początku nie było w stanie utrzymać trwałej większości, dlatego Kaczyński nie miał skrupułów, by inspirować rozłamy w mniejszych partiach. W ten sposób z Ligi Polskich Rodzin pod wodzą podejrzliwego już wtedy Romana Giertycha odłączyła się „frakcja radiomaryjna" z Bogusławem Kowalskim, Zygmuntem Wrzodakiem i Anną Sobecką na czele, która powołała Ruch Ludowo-Narodowy. Z PSL odeszli europosłowie Janusz Wojciechowski (wcześniej odwołany z funkcji prezesa po tym, jak próbował stworzyć wspólne listy z prawicą), Zbigniew Kuźmiuk i Zdzisław Podkański, którzy utworzyli propisowskie PSL „Piast".

Najgorzej poszło Kaczyńskiemu z Samoobroną, której posłowie – poza pojedynczymi przypadkami – nie chcieli opuścić Andrzeja Leppera mimo kuszenia ze strony przedstawicieli PiS (pamiętna rozmowa wiceprezesa Adama Lipińskiego z Renatą Beger, potajemnie nagrana, a potem wyemitowana w TVN). Nie ulega wątpliwości, że był to główny powód przeprowadzenia prowokacji policyjnej przeciwko Lepperowi, której fiasko doprowadziło do zerwania koalicji rządowej i przedterminowych wyborów jesienią 2007 r.

Słabnący autorytet

Porażka PiS w tych wyborach, a potem w kolejnych – prezydenckich z 2010 r. i parlamentarnych z 2011 r. – uruchomiła proces odchodzenia z PiS najbardziej samodzielnie myślących polityków. Niedługo po utracie władzy z partii Kaczyńskiego zostali usunięci nazbyt krytyczni wiceprezesi: Dorn, Ujazdowski i Paweł Zalewski. Wraz z kilkoma innymi posłami (m.in. Jarosławem Sellinem i Jerzym Polaczkiem) utworzyli oni nową formację o nazwie Polska Plus. Jej kandydatem w wyborach prezydenckich miał być Ludwik Dorn, jednak katastrofa smoleńska pokrzyżowała te plany i ostatecznie Ujazdowski, Sellin oraz Polaczek powrócili do PiS. Nie zrobił tego Dorn, który co prawda dzięki osobistej decyzji Kaczyńskiego jeszcze w 2011 r. znalazł się na liście PiS jako kandydat bezpartyjny, ale potem nie chciał mieć już nic wspólnego z partią, którą niegdyś zakładał, i w 2015 r. wystartował z listy PO (bez powodzenia).

Natomiast Ujazdowski wytrzymał w PiS tylko do 2017 r., gdy jako europoseł ponownie odszedł z rządzącej już wtedy partii, protestując przeciwko łamaniu porządku konstytucyjnego. Obecnie jest senatorem związanym z PSL.

Początkowo w PC znalazły się ugrupowania chadeckie, ludowe, a nawet Kongres Liberalno-Demokratyczny Donalda Tuska.

FOT. PAP/CAF-ANDRZEJ RYBCZYŃSKI, MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 046ebcf937

Drugi rozłam nastąpił jesienią 2010 r., gdy z PiS odeszła grupa polityków związanych wcześniej z Lechem Kaczyńskim, choć znaleźli się tam również czołowi organizatorzy przegranej kampanii prezydenckiej Jarosława. I znów: nazbyt krytyczne posłanki – była minister pracy i polityki socjalnej Joanna Kluzik-Rostkowska oraz była szefowa Gabinetu Prezydenta Elżbieta Jakubiak – zostały wykluczone z partii jako pierwsze, co spowodowało odejście kilkunastu następnych parlamentarzystów i europosłów. Wśród liderów nowego ugrupowania pod nazwą Polska Jest Najważniejsza (było to hasło kampanii prezydenckiej Jarosława Kaczyńskiego) znaleźli się m.in. Paweł Kowal, Paweł Poncyliusz, Marek Migalski, Jan Filip Libicki, Jacek Tomczak, Andrzej Sośnierz, Michał Kamiński i Adam Bielan. Ten ostatni szybko jednak wrócił do PiS, gdzie do dziś jest jednym z najbardziej zaufanych współpracowników prezesa.

Przedstawiający się jako umiarkowana wersja prawicy, PJN samodzielnie wystartował w wyborach do Sejmu w 2011 r., lecz zdobył tylko 2% głosów. Resztki partii przystąpiły potem do Polski Razem Jarosława Gowina, ostatecznie jednak większość dawnych polityków PJN można dziś spotkać w szeregach KO i PSL.

Po kolejnych przegranych wyborach, jesienią 2011 r., z PiS rozstał się Zbigniew Ziobro, za którym poszło kilkunastu posłów, co umożliwiło mu utworzenie własnego klubu sejmowego i nowej partii pod nazwą Solidarna Polska (w 2023 r. zmienioną na Suwerenna Polska). Jedyną próbę samodzielnego startu ziobryści podjęli w wyborach europejskich w 2014 r., jednak uzyskali tylko 4% głosów. Utrata mandatów w Brukseli przez samego Ziobrę oraz suflującego mu prezydenckie ambicje Jacka Kurskiego zmusiła Solidarną Polskę do powrotu pod skrzydła Kaczyńskiego. Dzięki temu po zdobyciu władzy przez Zjednoczoną Prawicę (czyli PiS uzupełnione o partie Ziobry i Gowina) w 2015 r. pochodzący z Krakowa polityk mógł powrócić na fotel ministra sprawiedliwości, a Kurski objąć władzę w TVP.

Przez kolejne dwie kadencje Solidarna Polska formalnie pozostała samodzielną partią, coraz bardziej radykalną i coraz mocniej skłóconą z premierem Mateuszem Morawieckim, który jednak musiał ją tolerować, gdyż w poprzedniej kadencji Sejmu miała 20 posłów niezbędnych do utrzymania rządowej większości.

Dopiero po utracie władzy w 2023 r. Jarosław Kaczyński zgodził się na przyłączenie Solidarnej Polski do PiS, wykorzystując zdrowotne i prawne kłopoty samego Ziobry. Dziś sytuacja się odwróciła: to dawni ziobryści są najbardziej lojalnymi ludźmi prezesa, a frakcja Morawieckiego została przez nich wypchnięta z partii.

Kolejny rozłam w PiS, pociągający za sobą wyjście 40 posłów, niewątpliwie jest największym w dziejach tego ugrupowania. Czy były premier podzieli losy poprzedników, którzy próbowali budować nowe formacje prawicy w kontrze do PiS? Jak dotąd nikomu się to nie udało, jednak skala tego rozłamu pokazuje, że prawdziwy lub wymuszony autorytet Jarosława Kaczyńskiego nie działa już tak dawniej.

Paweł Siergiejczyk

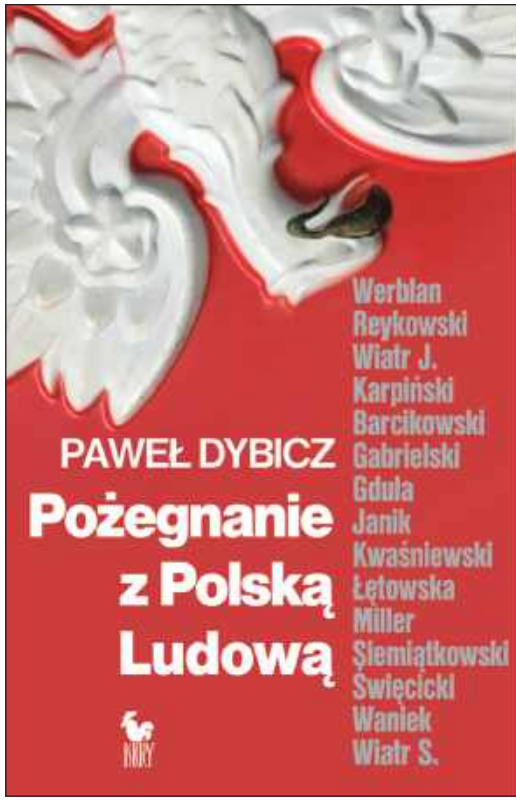

Rozmowy Pawła Dybicza z byłymi członkami PZPR, funkcjonariuszami, przedstawicielami władz centralnych. Ta książka nie jest historią PRL. Jest zapisem osobistych odczuć i przemyśleń rozmówców na temat przyczyn upadku Polski Ludowej oraz świadectwem uczestnictwa w procesie transformacji.

iskry.com.pl

eprasa.pl 046ebcf937

Janusz czyste ręce – spin-off

Marek Czarkowski

W 31. numerze „Przeglądu” Andrzej Sikorski w artykule „Janusz czyste ręce” opisał szlachetną postać byłego posła PiS Janusza Cieszyńskiego, obecnie członka klubu parlamentarnego Rozwój Plus.

Autor nie wspomniał o jednej sprawie – dotyczącej budowy sieci światłowodowych, na które w latach 2014-2020 Polska otrzymała łącznie ponad kilka miliardów złotych dotacji unijnych. Konkursy, w trakcie których dzielono kasę, organizowało Centrum Projektów Polska Cyfrowa (CPPC). „Na światłowody” przyznało ono kwotę 4,4 mld zł spółkom mającym je kłaść.

31 maja 2022 r. NIK opublikowała informację o wynikach kontroli dotyczącej budowy sieci internetu w województwie lubelskim „Efekty realizacji projektów dotyczących zapewnienia szerokopasmowego dostępu do internetu na terenie województwa lubelskiego”. I nie zostawiła suchej nitki na wspomnianym centrum: „NIK negatywnie ocenia realizację projektów budowy szybkiej sieci szerokopasmowej na terenie województwa lubelskiego, a także proces ich dofinansowania z Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa na lata 2014-2020. Beneficjenci nie wykonali zadań w projektach zgodnie z przyjętymi pierwotnie harmonogramami, a Centrum Projektów Polska Cyfrowa nie realizowało prawidłowo i rzetelnie zadań związanych z wyborem projektów oraz nadzorem nad ich przeprowadzeniem, w tym finansowaniem”. Po czym następował opis licznych deliktów.

Reakcja rządu Mateusza Morawieckiego oraz CPPC była gwałtowna – ustalenia kontrolerów i wynikające z nich wnioski w całości odrzucono. Janusz Cieszyński, działający z upoważnienia ministra cyfryzacji, którym był premier Morawiecki, w piśmie skierowanym 22 marca 2022 r. na ręce prezesa NIK Mariana Banasia, a więc przed upublicznieniem wyników kontroli, stwierdził: „Informuję, że nie zgadzam się z oceną całościową, ocenami szczegółowymi, uwagami ani wnioskami NIK zarówno w zakresie wdrażania I osi priorytetowej Programu Operacyjnego Polska Cyfrowa jako takiego, wdrażania tego programu na obszarze województwa lubelskiego oraz działalności Centrum Projektów Polska Cyfrowa”.

Janusz czyste ręce

Poseł Cieszyński powinien siedzieć cicho, a nie zgrywać się na zbawcę Polaków

Andrzej Sikorski

Do roli defensora Cieszyński nadawał się idealnie. Twardo brał ciosy na klatę, nikogo nie sypnął, a 17 sierpnia 2020 r. podał się do dymisji. Dziś jest posłem.

Nie mógł inaczej. Zwłaszcza że od 11 stycznia 2016 r. do lipca 2018 r. na czele CPPC stała Wanda Buk, córka gen. Tadeusza Buka, który zginął w katastrofie smoleńskiej. W 2018 r. przeszła ze stanowiska dyrektora centrum na stanowisko podsekretarza stanu w resorcie cyfryzacji i piastowała je do sierpnia 2020 r. Natomiast 1 września 2020 r. objęła stanowisko wiceprezesa zarządu ds. regulacji spółki PGE Polska Grupa Energetyczna.

Jak się wydaje, w tamtym czasie Wandę Buk i Janusza Cieszyńskiego łączyły silne więzi emocjonalne. 5 września 2022 r. w Sopocie, w kościele pw. św. Andrzeja Boboli, para wzięła ślub. Ona – wiceprezes PGE Polska Grupa Energetyczna, on – sekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów odpowiedzialny za cyfryzację oraz pełnomocnik rządu ds. cyberbezpieczeństwa.

Do roli defensora Cieszyński nadawał się idealnie. O jego wyjątkowej lojalności najlepiej świadczy postawa w głośnej sprawie zakupu respiratorów od lubelskiego handlarza bronią. Twardo brał ciosy na klatę, nikogo nie sypnął, a 17 sierpnia 2020 r. podał się do dymisji w związku z ową aferą.

Dzień później ze stanowiska wiceministra cyfryzacji odeszła Wanda Buk. 8 czerwca 2021 r. Janusz Cieszyński wrócił do rządu jako sekretarz stanu w KPRM odpowiedzialny za cyberbezpieczeństwo. Dziś jest posłem. A Wanda Buk w ubiegłym roku została społecznym doradcą prezydenta Karola Nawrockiego. ■

eprasa.pl 046ebcf937

I NIE WÓDŹ NAS W NIESKOŃCZONOŚĆ

Od kilku lat biskupi mówią o powołaniu komisji ds. pedofilii, ale robią wszystko, by nie powstała

Andrzej Sikorski

„Kiedy powstanie zapowiadana komisja do zbadania przypadków wykorzystywania seksualnego nieletnich przez osoby duchowne?", zapytałem ks. Leszka Gęsiaka, rzecznika prasowego Konferencji Episkopatu Polski.

„Szanowny Panie Redaktorze, dziękujemy za przesłane pytanie. Niestety Ksiądz Rzecznik przebywa obecnie na urlopie. Z wyrazami szacunku", odpisało biuro prasowe KEP. Oczywiste jest, że ks. Gęsiakowi należy się zasłużony odpoczynek, ale rzecznik Konferencji Episkopatu Polski ma przecież podwładnych – pracowników biura prasowego, które, jak napisano na stronie KEP, „kontaktuje się z mediami i prezentuje stanowisko zajmowane przez Konferencję Episkopatu Polski w sprawach ważnych dla życia Kościoła". Biuro prasowe KEP podlega bezpośrednio sekretarzowi generalnemu, bp. Markowi Marczakowi, członkowi wąskiego grona prezydium KEP. Wystarczyło go zapytać.

Pracownicy biura prasowego mogli też zasięgnąć języka u abp. Tadeusza Wojdy, przewodniczącego KEP, jego zastępcy abp. Józefa Kupnego lub prymasa Polski Wojciecha Polaka. Raczej nie jest prawdopodobne, aby najbardziej decyzyjni hierarchowie Kościoła w Polsce byli jednocześnie na urlopach. Zdaje się jednak, że właśnie o to chodziło – tak mi odpowiedzieć, abym się odczepił i nie drążył niewygodnego tematu.

Kłamstwo ma krótkie nogi

Sprawa powołania rzeczonej komisji jest bowiem kompromitująca dla biskupów. W marcu 2023 r. po obradach KEP pasterze Kościoła poinformowali, że „w trosce o dobro ofiar" powstanie specjalna komisja ds. „zbadania problemu wykorzystania seksualnego małoletnich przez niektórych duchownych".

> Do obsługi prac komisji trzeba zatrudnić co najmniej kilkaset osób, co oznacza koszty idące w dziesiątki milionów złotych rocznie.

W czerwcu 2023 r., podczas kolejnego zebrania KEP, w Lidzbarku Warmińskim, abp Wojciech Polak przedstawił wniosek, aby przyszła komisja miała charakter śledczy i zajęła się przypadkami pedofilii od 1945 r. do momentu jej powołania. „Nie da się zbadać tylko przeszłości, nie odnosząc się do teraźniejszości, ponieważ sprawy, które wydają się tylko historyczne, ostatecznie takimi nie są, gdyż często prowadzą do konieczności podjęcia działań dzisiaj", mówił prymas Polski.

Wniosek został przedyskutowany, a potem przegłosowany przez biskupów. Przez następne miesiące hierarchowie zapewniali opinię publiczną, że prace nad utworzeniem komisji trwają, prowadzone są konsultacje, analizy i narady.

Jednak w marcu 2025 r. wyciekła do mediów opinia Rady Prawnej KEP (zasiada w niej 10 biskupów i kilkunastu księży konsultorów). W dokumencie zarekomendowano hierarchom złamanie złożonej publicznie obietnicy powołania komisji. Według członków Rady Prawnej KEP utworzenie komisji o uprawnieniach śledczych byłoby groźne m.in. dlatego, że przed jej oblicze byliby wzywani i przesłuchiwani nie tylko szeregowi księża, ale i biskupi. Działalność komisji przerodziłaby się w sąd nad „przełożonymi kościelnymi", a w pracach komisji mogłyby brać udział osoby, „które niekoniecznie mają na względzie dobro i wiarygodność Kościoła". Ponadto „zebrany przez Komisję materiał może posłużyć do pozwów cywilnych przeciwko podmiotom kościelnym". Istnieje też „niebezpieczeństwo ahistorycznego i zbyt szerokiego ujęcia zjawiska".

„Podsumowując, Rada Prawna KEP opiniuje negatywnie »Zasady działania Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce« i rekomenduje Konferencji Episkopatu Polski niepowoływanie Komisji, która miałaby działać na podstawie przedłożonego dokumentu", napisali członkowie Rady Prawnej KEP.

Ujawnienie instrukcji było szokiem dla wielu osób, także z kręgów Kościoła. Pokazywało bowiem obłudę i zakłamanie biskupów. Według Zbigniewa Nosowskiego, redaktora naczelnego katolickiego portalu Więź, opinia Rady Prawnej KEP powstała zgodnie ze wskazówkami kierownictwa episkopatu, „które samo nie może otwarcie opowiedzieć się

eprasa.pl 046ebcf937

Abp Tadeusz Wojda, ks. Leszek Gęsiak i prymas Wojciech Polak na 400. Zebraniu Plenarnym Konferencji Episkopatu Polski. Warszawa, 14 marca 2025 r.

przeciwko powołaniu komisji, chętnie natomiast schowa się za argumentami kanonicznymi czy nawet pseudoargumentami (bo opinia Rady Prawnej akurat żadnych kanonicznych zarzutów nie przedstawia)".

Według informacji redaktora Nosowskiego jesienią 2024 r., w przeddzień zebrania Rady Prawnej KEP część jej członków spotkała się na imieninach u abp. Tadeusza Wojdy, przewodniczącego KEP.

„Wśród hierarchów goszczących u metropolity gdańskiego był również biskup pelpliński Ryszard Kasyna, przewodniczący Rady Prawnej. Trzeba pamiętać, że bp Kasyna pochodzi z archidiecezji gdańskiej i był tam biskupem pomocniczym za rządów abp. Sławoja Leszka Głódzia. Nieuchronnie więc posiada dużą wiedzę o ukrywaniu pedofilii klerykalnej w tamtym okresie, a być może w jakiś sposób sam w tych działaniach musiał brać udział. Jeden z uczestników tego spotkania przyznaje, że podczas dyskusji na imieninach Tadeusza zgromadzeni biskupi – w tym gospodarz, abp Wojda, przewodniczący KEP – stanowczo wyrażali przekonanie, że ewentualna komisja powinna mieć charakter co najwyżej historyczny. Argumentowano, że komisji można powierzyć analizę okresu najdalej do lat 60. czy 70. XX w. Następnego dnia podobne argumenty miały padać na posiedzeniu Rady Prawnej (…). Również z innego źródła »Więź« dowiaduje się, że abp Wojda osobiście ma być przeciwny powoływaniu komisji, a nawet – powołując się na swoje kontakty w Stolicy Apostolskiej, gdzie wiele lat pracował jako urzędnik Kurii rzymskiej – przekazywać opinie, że Watykan obecnie nieprzychylnie patrzy na takie pomysły. Według naszych rozmówców metropolicie gdańskiemu – który sam boryka się z niewyjaśnionymi zarzutami o tuszowanie przestępstw seksualnych swoich duchownych – jest jednak niezręcznie stanowczo prezentować stanowisko przeciwne powołaniu komisji. Gdyby większość biskupów była za, to i on przychyliłby się do takiej decyzji", pisał Zbigniew Nosowski.

Gra pozorów

W marcu 2025 r., po zakończeniu 400. spotkania plenarnego Konferencji Episkopatu Polski, prymas Wojciech Polak poinformował, że komisja jednak powstanie. Co prawda, nie śledcza, ale historyczna, niezależna od hierarchów, a efektem jej prac będzie kompletny raport o zjawisku wykorzystywania seksualnego nieletnich przez duchownych. Pytany, kiedy komisja zacznie działać, prymas odpowiedział, że trudno wskazać datę, ale intensywne prace przygotowawcze trwają.

W marcu 2026 r. Katolicka Agencja Informacyjna podała, że „Konferencja Episkopatu Polski, podczas 404. Zebrania Plenarnego, przyjęła Zasady działania Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce oraz Statut Komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystywania seksualnego osób małoletnich w Kościele katolickim w Polsce".

Choć minęło pół roku od zatwierdzenia niezbędnych procedur, komisja nadal nie powstała. Nawet jeśli powstanie, wcale nie będzie niezależna, bo jej przewodniczący zostanie powołany przez Konferencję Episkopatu Polski po uzyskaniu akceptacji Rady Stałej Konferencji Episkopatu Polski, Konferencji Wyższych Przełożonych Zakonów Męskich w Polsce i Konferencji Wyższych Przełożonych Żeńskich Zgromadzeń Zakonnych w Polsce. Hierarchowie wybiorą sobie zatem zaufanego szefa komisji, a ten dobierze równie zaufanych współpracowników.

Działalność komisji zostanie rozmyta, bo oprócz wysłuchania i dokumentowania relacji ofiar będzie też

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

eprasa.pl 046ebcf937

zajmować się duchownymi „dotkniętymi bezpodstawnymi oskarżeniami". Do tego ma zapewne służyć współpraca z Instytutem Pamięci Narodowej, gdzie znajduje się bogata dokumentacja bezpieki. Jak wiadomo, SB szantażowała księży nieobyczajnymi hakami, zmuszając ich do donoszenia. Jednocześnie Episkopat zastrzegł, że komisja nie będzie mogła współpracować z organizacjami pozarządowymi i instytucjami zajmującymi się zjawiskiem wykorzystywania małoletnich, „których zasady działania stoją w sprzeczności z ideami chrześcijańskimi".

Warto też mieć na uwadze, że gdy w 2019 r. rząd PiS powołał państwową komisję ds. pedofili złożoną z ludzi bliskich władzy i Kościołowi, episkopat zdecydował, że nie przekaże dokumentów kościelnych. „Kwestia udostępnienia Państwowej Komisji kopii całości akt kanonicznych procesów karnych budzi poważne wątpliwości zarówno na gruncie prawa państwowego, jak i kościelnego", napisali w oświadczeniu biskupi.

Czyżby w ten sposób chcieli ukryć niewygodne sprawy? A jeśli tak, nie ma żadnej gwarancji, że kościelna komisja będzie działać w sposób transparenty, obiektywny i bezstronny.

Nie wiadomo, kiedy komisja zakończy prace. Jej członkowie będą musieli wysłuchać setek, jeśli nie tysięcy osób (świadków i poszkodowanych), sporządzić protokoły tych rozmów i zapoznać się z ogromnym materiałem dowodowym zebranym nie tylko w archiwach kościelnych, IPN, ale też w archiwach państwowych, archiwum Rzecznika Praw Dziecka, w sądach i w prokuraturach. A to niezwykle żmudna i wyczerpująca praca, wymagająca doświadczenia, precyzji i rzetelności.

Do obsługi prac komisji trzeba będzie zatrudnić co najmniej kilkaset osób, co oznacza gigantyczne koszty, idące w dziesiątki milionów złotych rocznie. Tymczasem pieniądze na funkcjonowanie komisji mają pochodzić z Fundacji Świętego Józefa, założonej przez Konferencję Episkopatu Polski, której budżet wynosi ok. 2,3 mln zł. Fundacja powstała jesienią 2019 r. po serii publikacji o przestępstwach seksualnych księży i fali krytyki wobec działań hierarchów Kościoła. Jednak wbrew oczekiwaniom społecznym FŚJ nie wypłaca odszkodowań ofiarom księży pedofilów, zapewnia im jedynie bezpłatne konsultacje prawnokanoniczne oraz wsparcie psychologiczne.

Biskupi najbardziej boją się wypłaty ewentualnych odszkodowań.

Bronią się, jak mogą

A biskupi najbardziej boją się wypłaty ewentualnych odszkodowań. Pamiętamy doskonale słynną maksymę byłego rzecznika prasowego KEP ks. Józefa Klocha, który porównał ofiary księży pedofilów do ofiar wypadków drogowych, mówiąc: „Płaci ten, kto zawinił, a nie ten, kto wydał mu prawo jazdy". Było to wyjątkowo bezczelne stwierdzenie, bo przecież, jak wiemy, immanentną cechą przestępstw seksualnych księży była ochrona przez biskupów, którzy nie reagowali na doniesienia o zbrodniczej działalności podwładnych i nie zawiadamiali policji ani prokuratury, ale zapewniali przestępcom święty spokój, przenosząc ich do innych parafii.

W podobnym tonie co ks. Kloch mówił abp Józef Michalik: „Jest niebezpieczeństwo przeniesienia odpowiedzialności z człowieka na instytucję. Ja bym się tego bardzo strzegł. Roszczenia o odszkodowania należy kierować do winowajcy". Z kolei abp Wojciech Polak przekonywał, że „polski system prawny nie przewiduje odpowiedzialności kościelnych instytucji za czyny konkretnych duchownych".

Sądy mogą jednak mieć inne zdanie. Katarzyna, wielokrotnie bestialsko zgwałcona przez ks. Romana, dostała milion złotych zadośćuczynienia i dożywotnią rentę. Zapłacił nie ksiądz gwałciciel, ale zakon Zgromadzenia Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej. Gdyby wszystkie ofiary księży pedofilów miały tyle determinacji, odwagi i profesjonalnego wsparcia, co Katarzyna, finanse Kościoła w Polsce doznałyby poważnego uszczerbku.

W USA Kościół (diecezje, zakony i ich ubezpieczyciele) wypłacił odszkodowania ponad 5 tys. osobom na kwotę ok. 3,2 mld dol.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 046ebcf937

Bez ślubu i bez statusu

Nie masz obrączki? Nie masz wsparcia prezydenta

Maciej Belowski

W narracji środowisk konserwatywnych i zwolenników weta ustawy o statusie osoby najbliższej dominuje jedna emocja – ulga. Ich przedstawiciele z satysfakcją przekonują, że decyzja prezydenta była jedyną słuszną, bo przepisy i tak miały służyć głównie formalizowaniu relacji par jednopłciowych. Polityczna retoryka zderza się jednak z twardą rzeczywistością i oficjalnymi statystykami.

Wystarczy sprawdzić dokumenty. W Ocenie Skutków Regulacji (druk sejmowy nr 2111), powołującej się na Europejski Sondaż Społeczny z 2022 r. wyliczono, że ustawa o statusie osoby najbliżej miała chronić aż 2,2 mln osób w relacjach heteroseksualnych i ok. 162 tys. osób tworzących związki tej samej płci. Zaproponowane rozwiązania odpowiadały więc przede wszystkim na codzienne potrzeby ponad 2 mln heteroseksualnych Polek i Polaków żyjących bez ślubu. Potwierdzają to również twarde dane GUS z Narodowego Spisu Powszechnego 2021, wskazujące na niemal 1,8 mln osób funkcjonujących w nieformalnych relacjach.

Decyzja prezydenta Karola Nawrockiego z 17 lipca postawiła jednak krzyżyk na dwóch aktach prawnych – o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu wraz z przepisami wprowadzającymi. „Strażnik konstytucji" zawetował projekt, zarzucając mu „wprowadzenie tylnymi drzwiami związków partnerskich, które mają zastąpić instytucję małżeństwa". Decyzja ta wywołała lawinę komentarzy i ujawniła przepaść pomiędzy sztywnym prawem a codziennością Polaków.

KRAJ

Oszukał miliony Polaków

OBSESJE NAWROCKIEGO

Maciej Belowski

Kwestia bytowa

Symbolem tego pęknięcia jest np. wpis Pawła, który dzień po decyzji prezydenta opublikował na Facebooku zdjęcie z partnerką i podzielił się gorzką refleksją. Pech chciał, że ogłoszenie weta przypadło dokładnie w dzień rocznicy ich nieformalnego związku. „36 lat razem… bez ślubu i papierów na szczęście. Nikt nie powinien innemu wchodzić w życie osobiste!", skomentował.

Wyznanie Pawła celnie punktuje narrację o „ideologii" czy „obcym lobby". Ustawa o statusie osoby najbliższej dotyczyła przecież też dwojga tych osób, które przez niemal cztery dekady dzieliły dom, pracę i dorobek. A w świetle obecnego prawa pozostają dla siebie obce.

Wokół projektów i wspomnianych ustaw pojawiła się narracja, że nowy status osoby najbliższej to kwestia zarezerwowana wyłącznie dla środowisk LGBTQ+. Część internautów szybko jednak sprowadziła tę dyskusję na ziemię, przypominając o strukturze demograficznej kraju. „Związki partnerskie to nie tylko grupa LGBT, ale także konkubinaty, kobiety i mężczyźni, którzy nie wzięli ślubu z różnych przyczyn", zauważa w sieci Ola i stawia celne pytanie: „W którym momencie to zagraża innym relacjom?".

Dla wielu to kwestia czysto bytowa. Jolanta, po 25 latach w związku bez ślubu, szukała w ustawie poczucia bezpieczeństwa. Joanna z kolei wyznaje: „Nie chodzi o szczęście, bo to mam od 29 lat. Chodzi o to, żebym mogła zgłosić partnera do ubezpieczenia, gdy straci pracę, albo nie płacić 20% podatku od spadku".

Z kolei Edyta zwraca uwagę na niski poziom wiedzy w debacie publicznej, pisząc komentarz pod facebookową sondą na temat statusu osoby najbliższej: „Najpierw trzeba było zadać proste pytanie: co to jest związek partnerski? Wiele osób wypowiada się (krytycznie – przyp. red.), nie mając pojęcia o treści projektu. Edukujmy się, bo to nie dotyczy wyłącznie par jednopłciowych".

Zamiast politycznych emocji w debacie brakuje rzetelnej wiedzy i spojrzenia na realne potrzeby obywateli.

– Bardzo często dyskusję tę w sposób krzywdzący i niepotrzebny upraszcza się wyłącznie do tematu związków jednopłciowych – wyjaśnia dr Małgorzata Eysymontt z Uniwersytetu SWPS, adwokatka specjalizująca się w prawie rodzinnym,

> Ustawa o statusie osoby najbliżej miała chronić 2,2 mln osób w relacjach heteroseksualnych i ok. 162 tys. osób tworzących związki tej samej płci.

eprasa.pl 046ebcf937

spadkowym oraz prawie Unii Europejskiej, a także sędzia Sądu Dyscyplinarnego Izby Adwokackiej w Warszawie. – W mojej ocenie to duże niezrozumienie problemu. Ludzie budują wspólne życie bez zawierania związków małżeńskich z najróżniejszych przyczyn: światopoglądowych, będąc w trakcie długiego rozwodu czy po prostu nie uznając instytucji małżeństwa. I ci ludzie również mają prawo budować rodzinę (co zresztą na co dzień robią), a państwo powinno uznać ten fakt, uszanować ich prawa i zapewnić im ugruntowane, merytoryczne wsparcie – mówi ekspertka.

Polacy są za regulacjami

Społeczna potrzeba uregulowania tej kwestii znajduje odzwierciedlenie w badaniach opinii publicznej. Według sondażu IBRiS dla Polsat News opublikowanego 5 czerwca za podpisaniem ustawy o statusie osoby najbliższej opowiedziało się aż 53% badanych. Podpisania ustawy domagało się również 20,7% ankietowanych i zdeklarowanych wyborców PiS. Podobną regułę wyraźnie potwierdziło badanie agencji SW Research dla Kampanii Przeciw Homofobii, gdzie za uregulowaniem statusu opowiedziało się 47,8% badanych przy zaledwie 14,3% głosów przeciwnych.

Te zależności jeszcze wyraźniej precyzuje raport CBOS z lipca 2024 r. Pokazuje, że stosunek do legalizacji związków partnerskich zależy głównie od tego, kogo dotyczą regulacje. Większość Polaków – aż 90% (przy zaledwie 6% przeciwnych) – aprobuje formalizowanie związków nieformalnych tworzonych przez kobietę i mężczyznę. W przypadku relacji osób tej samej płci poparcie wynosi 52% (przy 43% głosów przeciw). Dane te jednoznacznie wskazują więc, że sprzeciw części polityków rozmija się z powszechnym oczekiwaniem społecznym, które w odniesieniu do par heteroseksualnych jest niemal jednomyślne.

Wstrząsający przykład przytacza w sieci Agnieszka. Kiedy jej nieprzytomny ojciec trafiał na oddział, matka w najlepszym razie słyszała pytanie: „A kim pani jest dla chorego?". W najgorszym zaś krótki komunikat: „Zgodnie z prawem pani tu jest nikim".

Przeciwnicy zmian i zwolennicy weta chętnie powtarzają banalną radę: „Skoro nie chcą ślubu, niech idą do notariusza i spiszą testament albo upoważnienia". To jednak częściowo prawna iluzja, dająca jedynie namiastkę ochrony, która tworzy w praktyce tylko pozory bezpieczeństwa.

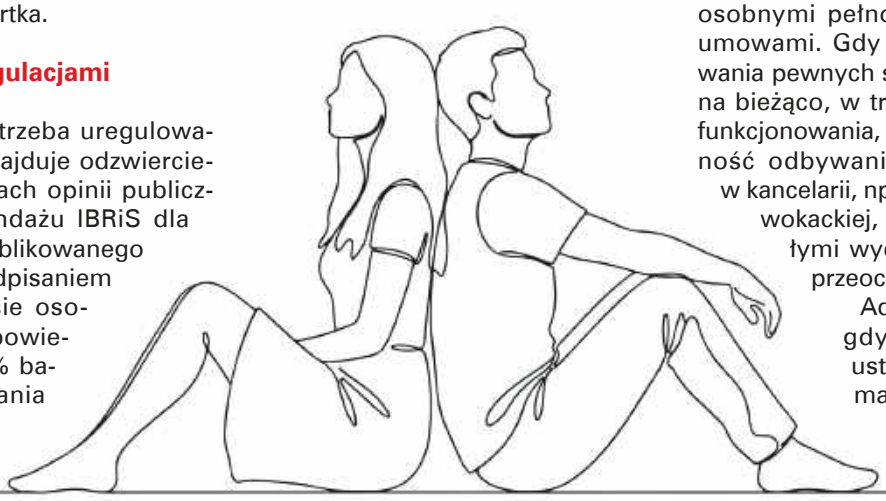

Według sondażu IBRiS za podpisaniem ustawy o statusie osoby najbliższej opowiedziało się aż 53% badanych.

Monika w internecie ostro obala ten popularny mit: „Dziedziczenie, nawet ze spisanym testamentem, oznacza III grupę podatkową i ogromne koszty, nie mówiąc o batalii z rodziną. Notariusz nic tu nie zmieni. Żyjesz z kimś 20 lat, a w świetle przepisów jesteś obcą osobą. Trudno to zrozumieć?".

Z kolei inna internautka przytacza drastyczny przykład z własnego otoczenia: „Po śmierci partnera dzieci z dnia na dzień wyrzuciły z domu jego partnerkę, z którą żył 20 lat".

Perspektywa prawna

Różnicę między obietnicą „załatwienia sprawy u notariusza" – tak chętnie powtarzaną w sieci – a realiami prawnymi wyjaśnia dr Małgorzata Eysymontt: – Warto podkreślić, że jedna wizyta u notariusza nie rozwiąże wszystkiego. Żyjemy w wieloletnich związkach, wychowujemy dzieci, mamy wspólne wydatki, kredyty i zobowiązania, a w obecnym stanie prawnym każdą jedną sprawę: spadkową, medyczną czy majątkową, musimy – w kontekście nieformalnych związków partnerskich – regulować osobnymi pełnomocnictwami czy umowami. Gdy potrzeby uregulowania pewnych spraw pojawiają się na bieżąco, w trakcie codziennego funkcjonowania, oznacza to konieczność odbywania kolejnych wizyt w kancelarii, np. notarialnej lub adwokackiej, co wiąże się ze stałymi wydatkami i ryzykiem przeoczenia.

Adwokatka dodaje, że gdyby obowiązywała ustawa w sposób formalny uznająca status osób pozostających w związkach partnerskich (pozamałżeńskich), przewidywałaby odgórne regulacje, w tym domniemania prawne, które zapewniałyby tym osobom ochronę ich praw, a także zwalniałyby je z tego ciężaru.

– W nagłych wypadkach, chorobie czy śmierci okazuje się bowiem, jak ogromna jest nierównowaga między sytuacją małżonków a partnerów. Choć faktycznie wszyscy oni, niezależnie od rodzaju relacji, tworzą najbliższą dla siebie rodzinę, w świetle prawa są jednak traktowani odmiennie. Przykładowo na gruncie ustawy o podatku od spadków i darowizn partnerzy wciąż zaliczani są do III grupy podatkowej, tym samym będąc traktowani jak osoby całkowicie

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 046ebcf937

dla siebie obce – podsumowuje ekspertka.

Części systemowych luk nie da się załatwić zwykłą wizytą w kancelarii prawnej. Fiskus traktuje partnerów nieformalnych jako osoby obce, nakładając najwyższe stawki podatkowe w przypadku darowizn czy spadku. Umowa notarialna nie pozwala również na dopisanie niepracującej osoby do ubezpieczenia zdrowotnego ani na uzyskanie renty rodzinnej.

Renta rodzinna, wspólny PIT czy automatyczne zwolnienia z podatku od spadku i darowizn – tego po prostu nie da się ustanowić aktem notarialnym – to wymaga woli ustawodawcy. Innymi słowy: rada „Idźcie do notariusza" sprawdza się głównie w przypadku par zamożnych lub średniozamożnych, przewidujących, dobrze wykształconych prawnie i takich, w których nikt nie umiera i nagle nie choruje. Ustawa miała chronić całą resztę.

Dwie zawetowane ustawy proponowały elastyczny mechanizm: złożenie oświadczeń przed notariuszem i wpis do Rejestru Osób Najbliższych. Bez zmiany stanu cywilnego, bez nowego aktu i bez zmian w nazwiskach. Projekt okrojony z bardziej progresywnych rozwiązań – będący owocem kompromisu Lewicy i PSL – celowo nie ingerował w konstytucyjną i kodeksową definicję małżeństwa ani w kwestie adopcji dzieci.

Na szczegółową konstrukcję prawną tego aktu zwraca uwagę dr Małgorzata Eysymontt:

– To była ustawa o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu. Zwrócono w niej przede wszystkim uwagę na to, że jeśli jesteśmy w związku partnerskim, to mamy status osoby najbliższej, z czego wynikają konkretne uprawnienia, w tym ułatwienia. Co istotne, ustawa przewidywała możliwość zawarcia umowy o wspólnym pożyciu, w której partnerzy mogli kompleksowo uregulować kwestie majątkowe, opieki nad dziećmi czy dowiadywania się o stan zdrowia, a na wypadek śmierci dołączyć do niej testament notarialny. Pozwalało to uregulować te sprawy raz a dobrze, bez konieczności dokonywania kolejnych formalności.

Adwokatka zastrzega przy tym, że projekt stanowił dopiero wstęp do pełnej ochrony prawnej.

Pojedynek na fakty

Użytkownik portalu Reddit wyzwał krytyków ustawy na pojedynek na fakty: „Niech ktoś wskaże w ustawie chociaż jeden przepis zmieniający definicję małżeństwa" (nie ma takiego – przyp. red.). Zwrócił też uwagę na rażący brak konsekwencji Nawrockiego: „Prezydent podpisuje ustawy pomagające frankowiczom, a wetuje przepisy chroniące nieformalne pary. Jak widać, są równi i równiejsi w definicji »interesu obywatela«".

– Tu nie chodzi o tworzenie czegoś nowego, bo te związki w praktyce przecież już istnieją: były, są i będą. Chodzi jedynie o prawne uznanie i usystematyzowanie oraz danie ludziom narzędzi, z których mogliby na co dzień korzystać.

Ekspertka przypomina przy tym o zobowiązaniach międzynarodowych, które Polska musi wziąć pod uwagę: – Przepisy unijne czy orzeczenia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka nakładają na nas obowiązek dostosowania zasad i wyrównania standardów. Przy czym nie chodzi tu o tworzenie czegoś wbrew polskiej konstytucji, ale o zagwarantowanie obywatelom realnej ochrony prawnej. Polskie państwo powinno ich w tym wspierać.

Dopóki dyskusja o prawach obywatelskich będzie zakładnikiem wojen światopoglądowych, setki tysięcy par pozostaną osobami drugiego czy trzeciego sortu.

Gorzkie wnioski na Facebooku przedstawia też pan Darek: „Ogrom ludzi żyje w takich relacjach. Państwo ma obowiązek ułatwiać życie obywatelom, a ta ustawa to robiła. I tyle w temacie".

Z tą argumentacją zgadza się również dr Małgorzata Eysymontt, podkreślając, że prawo powinno nadążać za społeczną rzeczywistością, zamiast udawać, że jej nie ma.

– Weto argumentowane obawą przed tworzeniem nowej instytucji zbliżonej do małżeństwa wynika z nieporozumienia – uważa prawniczka.

Debata wokół weta pokazuje jasno, że spór polityczny rzadko dotyczy samych paragrafów i artykułów. Gra toczy się o symbole – jest cyniczną walką o elektorat.

Dopóki jednak dyskusja o prawach obywatelskich będzie zakładnikiem wojen światopoglądowych i politycznych kalkulacji, setki tysięcy par w Polsce nadal dla własnego państwa pozostaną osobami drugiego czy trzeciego sortu.

Maciej Belowski

Odszedł

JERZY CYWONIUK

Ekonomista, przez wiele lat w służbie państwa.
Przyjaciel od lat studenckich.
Człowiek wyjątkowo serdeczny i pomocny.
Modelowo uczciwy.
Aktywny społecznik. Lewicowy i wierny zasadom.

Żonie Elżbiecie,
córce Annie i synowi Tomaszowi
bardzo współczuję.

Jerzy Domański

eprasa.pl 046ebcf937

Kulisy cyfrowych pułapek

Media społecznościowe zaprojektowano tak, by zatrzymać nas na dłużej

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

ANNA BORKOWSKA – psycholożka, socjoterapeutka, ekspertka ds. edukacji cyfrowej w Państwowym Instytucie Badawczym NASK

Coraz częściej słyszymy, że ludzie nie potrafią odłożyć telefonu, ograniczyć korzystania z mediów społecznościowych czy przestać scrollować. To kwestia słabej woli?

– Zdecydowanie nie. To, że trudno nam oderwać się od mediów społecznościowych, nie jest ani przypadkiem, ani dowodem na brak silnej woli. Social media należą do najbardziej angażujących technologii, jakie kiedykolwiek stworzono. Nie są przypadkowym zbiorem atrakcyjnych treści, lecz zaawansowanymi systemami zaprojektowanymi po to, by przyciągać i utrzymywać naszą uwagę. Za tą trudnością stoją osiągnięcia psychologii, neuronauki, kognitywistyki i niezwykle precyzyjnie skonstruowane algorytmy. Platformy wykorzystują naturalne mechanizmy wpisane w ludzką psychikę – potrzebę kontaktu, akceptacji, ciekawość świata, ale również nasz biologiczny system nagrody. Ich celem jest jak najdłuższe utrzymanie naszej uwagi, ponieważ właśnie ona stanowi podstawę modelu biznesowego większości platform.

Twórcy serwisów dysponują ogromnymi zasobami danych i doskonale wiedzą, co przyciąga użytkowników. Wykorzystują wiedzę o tym, jak funkcjonuje człowiek, by tworzyć rozwiązania, którym bardzo trudno się oprzeć.

Jakie mechanizmy działają na nas najsilniej?

– Jednym z najważniejszych jest układ nagrody i związana z nim dopamina – neuroprzekaźnik odpowiedzialny za odczuwanie przyjemności, satysfakcji i motywację do działania. Kiedy widzimy nowe polubienie, komentarz czy interesujący materiał wideo, nasz mózg otrzymuje niewielką „nagrodę" w postaci wyrzutu dopaminy. Twórcy aplikacji doskonale poznali ten mechanizm i wykorzystują go podobnie jak w automatach do gier. Nie wiemy, co znajdziemy po kolejnym przewinięciu ekranu czy otwarciu aplikacji. A nasz mózg lubi nowość, ekscytację i odrobinę niepewności.

Istotne jest to, że nagroda nie pojawia się za każdym razem. Czasem trafiamy na coś bardzo interesującego, a kiedy indziej nie. Właśnie ta zmienność sprawia, że chcemy sprawdzać dalej. Nasz mózg uczy się, że „następnym razem może być ciekawiej".

A nieskończone przewijanie i nieustanne powiadomienia?

– To również nie są przypadkowe rozwiązania. Platformy projektuje się tak, by eliminować tzw. punkty oporu – momenty, w których moglibyśmy świadomie zdecydować, że kończymy korzystanie z aplikacji. Dawniej internet przypominał bardziej książkę. Trzeba było przeładować kolejną stronę, co dawało chwilę na zastanowienie. Dziś mamy nieskończone przewijanie. Brakuje naturalnego momentu zatrzymania, więc często nawet nie zauważamy, ile czasu spędziliśmy online. Podobnie działa automatyczne odtwarzanie kolejnych filmów w serwisach takich jak YouTube. Zanim zdążymy podjąć decyzję, materiał już się rozpoczął. Do tego dochodzą powiadomienia push. Dźwięki, wibracje i kolorowe oznaczenia skutecznie odrywają nas od wykonywanego zadania. Co ciekawe, największy wyrzut dopaminy następuje często nie wtedy, gdy już sprawdzimy wiadomość, lecz w chwili oczekiwania na nią. Samo przewidywanie nagrody okazuje się bardzo silnym bodźcem.

Czy dlatego aplikacje są dziś tak kolorowe i przyciągające wzrok?

– Tak. W ich projektowaniu na szeroką skalę wykorzystuje się psychologię kolorów. Intensywne barwy łatwiej przyciągają uwagę, są szybciej zauważane przez mózg i kojarzone z czymś atrakcyjnym. Widać to zarówno w ikonach aplikacji, jak i projektowaniu urządzeń. Kolorowe elementy szybciej wychwytujemy

eprasa.pl 046ebcf937

wzrokiem, dzięki czemu od razu orientujemy się, gdzie się znajduje konkretna aplikacja czy funkcja. A nasz mózg lubi oszczędzać energię. Ciekawym eksperymentem jest przełączenie telefonu na tryb czarno-biały. Wiele osób zauważa wtedy, że korzysta z urządzenia krócej, bo ekran staje się mniej atrakcyjny wizualnie.

Coraz większą rolę odgrywają też algorytmy rekomendacji.

– I to ogromną. Algorytmy uczą się naszych preferencji praktycznie bez przerwy. Analizują nie tylko polubienia czy komentarze, ale nawet to, przy jakich treściach zwalniamy tempo przewijania. Każde kliknięcie, każda sekunda uwagi dostarcza danych. Dzięki temu platforma bardzo szybko dowiaduje się, co nas interesuje, bawi, złości albo zaskakuje. Dodatkowo algorytmy szczególnie promują treści wywołujące silne emocje: zachwyt, oburzenie, strach czy rozbawienie. Takie materiały częściej komentujemy, udostępniamy i oglądamy do końca. Z punktu widzenia platform są więc wyjątkowo wartościowe.

Skoro jesteśmy w nierównej walce z algorytmami, jak dbać o higienę cyfrową?

– Pierwszym krokiem jest świadomość. Gdy rozumiemy, jak działają media społecznościowe, łatwiej zauważyć moment, w którym ktoś próbuje przejąć naszą uwagę.

Warto korzystać z prostych rozwiązań: wyłączać zbędne powiadomienia, wyciszać telefon podczas pracy wymagającej skupienia czy korzystać z funkcji ograniczających czas spędzany w aplikacjach. Pomaga również wyznaczanie stref i momentów bez telefonu – podczas posiłków, spotkań rodzinnych czy przed snem. Nawet niewielkie zmiany mogą przynieść zauważalny efekt. Nie chodzi o całkowite odcięcie się od technologii, lecz o odzyskanie kontroli nad tym, kiedy i jak z niej korzystamy.

Jak przenieść te zasady do życia rodzinnego?

– To rzeczywiście duże wyzwanie. Skoro dorosłym jest trudno oprzeć się mechanizmom wpływu stosowanym przez platformy, dzieciom jest jeszcze trudniej. Ich mózgi wciąż się rozwijają, zwłaszcza obszary odpowiedzialne za samokontrolę i hamowanie impulsów. Dlatego ważne jest ustalanie rodzinnych zasad korzystania z technologii. Najlepiej robić to wspólnie z dziećmi i tłumaczyć, dlaczego określone reguły są potrzebne. Łatwiej przestrzegać zasad, których sens rozumiemy. Warto też działać metodą małych kroków. Zamiast całkowicie zakazywać korzystania z telefonu, można zacząć od prostych reguł: odkładania urządzeń na czas posiłków czy pozostawiania telefonu poza sypialnią przed snem.

Sam zakaz jednak nie wystarczy.

– Zdecydowanie. W psychologii obowiązuje prosta zasada: jeśli coś odbieramy, powinniśmy zaproponować coś w zamian. Jeżeli prosimy dziecko, by odłożyło telefon, warto zaproponować wspólną aktywność – spacer, planszówki, rozmowę czy wspólne oglądanie filmu. Dziecko nie tylko łatwiej zaakceptuje zmianę, ale też zobaczy, że świat offline również może być ciekawy i wartościowy.

Warto wyłączać zbędne powiadomienia czy korzystać z funkcji ograniczających czas spędzany w aplikacjach.

Jakie zagrożenia dla dzieci są dziś najmniej widoczne, a jednocześnie bardzo poważne?

– Jednym z najważniejszych problemów jest kreowanie nierealistycznego obrazu rzeczywistości. Media społecznościowe pokazują świat silnie wyreżyserowany, oparty na autokreacji i idealizowanych wzorcach. Dzieci nie mają jeszcze wystarczających kompetencji, by odróżnić taki przekaz od rzeczywistości. Łatwo przejmują wzorce dotyczące wyglądu, stylu życia czy relacji. Coraz częściej obserwujemy zjawisko seksualizacji najmłodszych. Dziewięcioletnie dziewczynki tworzą tutoriale makijażowe, a nastolatki stosują kosmetyki przeciwstarzeniowe, mimo że proces starzenia skóry jeszcze ich nie dotyczy. Podobne wzorce pojawiają się także w grach komputerowych i kulturze influencerów. Problem dotyczy również chłopców, którym narzucane są określone wzorce wyglądu i zachowania. Dzieci chłoną te przekazy bardzo łatwo, dlatego tak ważna jest obecność dorosłych, którzy pomagają je interpretować.

A co z seniorami? Jakie pułapki czyhają na nich?

– Seniorzy również nie są wolni od uzależnienia od technologii czy zjawiska FOMO (Fear Of Missing Out), czyli lęku przed tym, że ominie nas coś ważnego. Jednocześnie częściej stają się celem oszustów internetowych. Dotyczy to zarówno dobrze znanych oszustw telefonicznych „na wnuczka" czy „na policjanta", jak i phishingu, czyli prób wyłudzania danych przez fałszywe wiadomości z linkiem do logowania wysyłanymi rzekomo przez banki, przychodnie czy inne instytucje. Trudnym wyzwaniem jest również dezinformacja. W świecie ogromnej liczby informacji każdemu trudno zweryfikować wszystkie treści, a osoby starsze często mają mniejsze doświadczenie w rozpoznawaniu manipulacji czy fałszywych przekazów.

Cyfrowy detoks czy raczej nauka życia z technologią?

– Powiedziałabym, że potrzebujemy obu tych rzeczy. Technologie są dziś ważnym i użytecznym narzędziem. Dzięki nim komunikujemy się, załatwiamy codzienne sprawy i mamy dostęp do wiedzy. Nie ma więc sensu całkowicie odcinać się od świata cyfrowego. Warto natomiast nauczyć się korzystać z niego świadomie i odzyskać kontrolę nad własną uwagą. Od czasu do czasu dobrze zrobić sobie mały detoks – wyjść na spacer bez telefonu, spędzić pół dnia bez mediów społecznościowych czy po prostu dać sobie chwilę wytchnienia od ekranu. Nie chodzi o rewolucję, ale o małe kroki. O to, by technologia pozostała narzędziem, z którego korzystamy my, a nie odwrotnie.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 046ebcf937

W tej sali nie ma winnych

Proces stał się sądem nad śledztwem w sprawie zabójstwa Iwony Cygan

Helena Kowalik

Zapadł wyrok w procesie o zabójstwo licealistki Iwony Cygan ze Szczucina przed 28 lat. 17 osób w ławach oskarżonych Sądu Okręgowego w Rzeszowie usłyszało, że są niewinne. Dla Pawła K. prokurator domagał się kary dożywocia, dla jego ojca Józefa K. 25 lat więzienia. Przyjaciółka Iwony Renata G. miała iść do więzienia na cztery i pół roku, a 14 byłych policjantów ze Szczucina i Dąbrowy Tarnowskiej na od dwóch do sześciu lat.

Ojciec zamordowanej dziewczyny po usłyszeniu wyroku zasłabł, trzeba było wyprowadzić go na korytarz. Również siostry ofiary opuściły salę rozpraw, nie słuchając sędziego. (Omówienie uzasadnienia nieprawomocnego wyroku oraz reakcji uniewinnionych i ich obrońców w następnym numerze „Przeglądu").

Chwila, Iwonko, a znów się spotkamy

W upalny, duszny wieczór 13 sierpnia 1998 r., który zapowiada nadciągającą w nocy burzę, 17-letnia licealistka Iwona Cygan ze Szczucina wychodzi na miasto. Na rynku spotyka się z koleżanką Renatą G. i obie ruszają w kierunku Zajazdu Leśnego. Wychodzą stamtąd o godzinie 21, bo Renata ma nazajutrz rano w Busku-Zdroju kurs samochodowy. Po pożegnaniu przyjaciółki dojście do domu zajmie Iwonie 10 minut. Nigdy tam nie dociera.

Prokurator, opierając się na zeznaniach policjanta Leszka W., który miał owej nocy służbę na mieście, odtwarza w akcie oskarżenia dalsze losy licealistki. Dziewczyny nie rozstały się o godzinie 21. W przekonaniu śledczych wsiadły do czekającego na nie samochodu, w którym byli ich starsi wiekowo znajomi ze Szczucina: Robert K. ksywa „Trabant", Paweł K. „Młody Klapa" i jego ojciec Józef K., czyli „Stary Klapa". O dwóch pierwszych w Szczucinie mówi się „Austriacy", bo pracują jako budowlańcy w Wiedniu. Towarzystwo jedzie do baru U Trabanta, gdzie w pomieszczeniu biurowym znajduje się amatorskie studio filmów porno. Nagrywaniem zajmuje się „Młody Klapa".

Z aktu oskarżenia: „Mężczyźni dają Iwonie coś do wypicia. Następnie Paweł K. każe jej się rozebrać, ona odmawia. Wtedy »Stary Klapa« i »Trabant« chwytają nastolatkę za ręce i biją po głowie. Paweł K. kastetem łamie dziewczynie żuchwę. Wszystko to dzieje się na oczach biernej Renaty".

Zakrwawiona Iwona, z rękami związanymi nylonowym sznurkiem jest prowadzona przez lokal na oczach kilkudziesięciu biesiadników. Nikt nie reaguje na porwanie. Tę sytuację widzą też policjanci Leszek W. i Grzegorz J., siedzący w radiowozie przed lokalem. Kiedy bandyci jadą z ofiarą do hangaru w Łęce Szczucińskiej, policyjny wóz skręca w innym kierunku.

Następnego dnia rano funkcjonariusz Ryszard S. słyszy w szczucińskim komisariacie opowieść zdających nocną służbę Leszka W. i Grzegorza J., że widzieli nad Wisłą ciało zamordowanej Iwony Cygan. Ale żaden funkcjonariusz nie reaguje. Zwłoki, nad którymi krąży już rój much, dostrzega przed południem Stanisław D., który wyprowadza krowę na łąkę. Dopiero wtedy przyjeżdżają policjanci – wśród nich Leszek W. i Grzegorz J.

Martwa Iwona ma zmasakrowaną twarz i związane ręce. Spodnie, w które jest ubrana, są opuszczone, podobnie jak bielizna. Z sekcji zwłok wynika, że nie doszło do gwałtu. Liczne obrażenia na ciele denatki powstały od ciosów zadanych twardym narzędziem. Przyczyną śmierci Iwony Cygan było gwałtowne uduszenie przez zadzierzgnięcie na szyi pętli z drutu.

Technicy kryminalni zabezpieczają nitki koloru fioletowego na odzieży ofiary. Pod zwłokami znajdują dwa kosmyki jej włosów. Nie udaje się identyfikacja śladów DNA na ciele ani na odzieży ofiary.

W komendzie policji w Dąbrowie Tarnowskiej powstaje specjalny zespół o kryptonimie „Bestia" do zbadania okoliczności morderstwa. Śledczy zbierają informacje o zamordowanej nastolatce. Żadnych sensacji: spokojna, religijna (gromadziła sentencje Jana Pawła II), w przyszłości chciała zostać przedszkolanką. Jej rodzice handlowali odzieżą na targu w Szczucinie.

Pogrzeb nastolatki jest manifestacją miejscowej młodzieży. Kondukt idzie kilka kilometrów pieszo na cmentarz w sąsiednich Ratajach Słupskich. Na płycie nagrobnej rodzina umieszcza dwuwiersz: „Wieczności nie rozdzielą nas bramy / Chwila, Iwonko, a znów się spotkamy". Z powodu tragedii odwołane są gminne dożynki.

Umorzone, odwołane

Rok później prokurator rejonowy Włodzimierz Kumorowski postanawia umorzyć śledztwo w sprawie morderstwa nastolatki. Nie znaleziono sprawcy.

Mija dziewięć lat. W 2007 r. niewyjaśnionymi okolicznościami zabójstwa zajmuje się krakowskie Archiwum X. Jego szefem jest Bogdan

eprasa.pl 046ebcf937

Siostry i ojciec Iwony Cygan w Sądzie Rejonowym w Rzeszowie, gdzie 6 czerwca 2018 r. rozpoczął się proces.

Michalec. W wywiadach mówi, że często kieruje się intuicją i przeczuciami, a serce matki ofiary zawsze podpowiada mu prawdę.

W poszukiwaniu sprawcy funkcjonariusze Archiwum X zwracają się do profilera Jana Gołębiowskiego. Uważa on, że znalezione pod plecami denatki odcięte kosmyki jej włosów to swoiste trofeum sprawcy kierującego się motywacją seksualną.

W lutym 2009 r. śledztwo ponownie podejmuje Prokuratura Rejonowa w Dąbrowie Tarnowskiej. Wkrótce potem zdarza się wypadek. Mieszkaniec Szczucina Krzysztof B., który twierdził, że widział, jak Iwona z Renatą wsiadają do samochodu „Młodego Klapy", zostaje porażony prądem. Przez pół roku leży w szpitalu. Uliczna plotka w Szczucinie głosi, że każdy, kto wie coś istotnego o śmierci dziewczyny, będzie zlikwidowany przez nieuchwytnych morderców.

Śledztwo przechodzi dziwne meandry. Ledwo je wznowiono, zostaje umorzone. Przywrócone dwa miesiące później, po 10 miesiącach znów jest zawieszone. Kolejny raz wznowiono je w listopadzie 2011 r. Zmieniają się prokuratury i ich szefowie. A także zeznania tych samych świadków.

Krzysztof B. odwołuje zeznania. Różne wersje tłumaczy przebytym w 2009 r. urazem oraz wymuszaniem nieprawdziwych zeznań podczas pierwszego przesłuchania, gdy był w szpitalu

Latem 2012 r. prokurator w Tarnowie doprowadza do odsunięcia Archiwum X od śledztwa, a następnie do umorzenia postępowania przygotowawczego. Dwa lata później Sąd Okręgowy w Tarnowie uchyla to postanowienie i poleca prokuratorowi wyjaśnić, skąd się wzięły włókna koloru biskupiego na ubraniu denatki. (W zespole Michalca wcześniej stwierdzono, że marynarkę w tym kolorze miał na weselu Paweł K. „Młody Klapa", ale podejrzany zaprzecza, aby poprzedniej nocy, w czasie ulewy, wychodził w niej na dwór).

Śledztwo nie przynosi efektów i znów zapada decyzja o jego umorzeniu. Sytuacja zmienia się wraz z wygraną PiS w 2015 r. Archiwum X jest przywrócone do łask. Od dochodzenia zostają odsunięci miejscowi policjanci.

Co widział Tadeusz D.?

Kilka miesięcy później Leszek W., policjant szczucińskiej policji, który w noc morderstwa był na patrolu z Grzegorzem J. i na pierwszym przesłuchaniu twierdził, że podczas służby nic szczególnego nie utkwiło mu w pamięci, zmienia zdanie. – 30 grudnia 2016 r. – informuje śledczych – słyszałem od mieszkańca Szczucina, że Iwona Cygan z Renatą G. wsiadły na rynku do samochodu, w którym byli „Trabant", „Młody Klapa" i jego ojciec Józef K. Iwonę miał zamordować „Młody Klapa" w pomieszczeniu biurowym baru U Trabanta, bo tam było studio nagrywania filmów porno na austriacki rynek. Robert K. nagabywał miejscowe dziewczyny, aby występowały w takich filmach.

W trakcie tego samego przesłuchania Leszek W. ponownie zmienia wersję zeznań. Według najnowszej byli z Grzegorzem J. świadkami, jak obie dziewczyny wsiadły do auta Pawła K., potem widzieli wyprowadzanie skrępowanej sznurem Iwony z baru U Trabanta. W kolejnych dniach Leszek W. modyfikuje szczegóły swojej relacji. Ostateczna wersja brzmi następująco:

13 sierpnia 1998 r. ok. godziny 22 obaj policjanci parkują radiowóz na rynku w Szczucinie. Stamtąd widzą wracające z Zajazdu Leśnego Iwonę i Renatę. Chwilę później dziewczynom zajeżdża drogę biały Polonez z „Austriakami". Do samochodu podchodzi Renata, rozmawia o czymś z kierowcą, następnie nastolatki wsiadają do auta. W tym momencie mieszkający w Łęce Szczucińskiej Tadeusz D., który wcześniej pił na rynku z Krzysztofem B., prosi funkcjonariuszy z patrolu o podwiezienie go do domu. Zgadzają się – jadą w kierunku Łęki Szczucińskiej, za Polonezem z dziewczynami, który też zmierza w tamtą stronę. Po wysadzeniu D. policjanci wracają na patrol do miasteczka. Przed północą parkują nieopodal baru U Trabanta. Widzą nadjeżdżający samochód,

Wieczorem 13 sierpnia 1998 r. 17-letnia Iwona Cygan wychodzi z Renatą G. na miasto. Już nigdy nie wróci do domu.

eprasa.pl 046ebcf937

z którego wysiadają „Młody Klapa” i „Stary Klapa”, „Trabant” oraz Iwona z Renatą. Wszyscy wchodzą do biura. Potem na oczach kilkunastu mieszkańców Szczucina przebywających w barze mężczyźni wyprowadzają pobitą Iwonę do samochodu. Następnego dnia Leszek W. dowiaduje się od Tadeusza D., który około godz.2 w nocy wyszedł ze swojego domu zaintrygowany światłami aut u podnóża wiślanego obwałowania, że „Austriacy” siłą prowadzili tam Cyganównę. Dziewczyna uciekała, ale dogonił ją „Młody Klapa” i zarzucił jej pętlę z drutu na szyję.

D. nie może tego potwierdzić, bo nie żyje. W styczniu 1999 r., bezpośrednio po emisji programu kryminalnego, którego tematem było niewyjaśnione zabójstwo Iwony Cygan i zapowiadana nagroda dla informatora, miał opowiadać pijany na rynku w Szczucinie, że widział morderców. Przesłuchiwany wówczas wszystkiemu zaprzeczył. Ale wkrótce potem zniknął. Jego zwłoki znaleziono po kilku miesiącach w Wiśle. Miejscowa policja uznała, że był to nieszczęśliwy wypadek.

Grzegorz J. początkowo zaprzecza wersji swojego kolegi z komisariatu, nie pamięta też, aby podwozili Tadeusza D. do domu. Nie widział wyprowadzania pobitej Iwony z baru U Trabanta. Rankiem 14 sierpnia nie chodził z Leszkiem W. na wały. Następnie potwierdza sensacyjne obserwacje z nocy zabójstwa 17-latki, później wycofuje zeznania.

Również Leszek W. twierdzi, że do przedstawienia wersji śledczych został przez zespół Michalca zmuszony.

Ginęli w tajemniczych okolicznościach

W styczniu 2017 r. austriacki oddział antyterrorystyczny zatrzymuje Pawła K. Robert K. „Trabant” nie żyje. Wdowa twierdzi, że męża wykończyli śledczy z Krakowa.

Policja aresztuje też ojca „Młodego Klapy” i 14 funkcjonariuszy ze Szczucina. Miesiąc później zostaje zatrzymana mieszkająca w Londynie Renata G. Trwają przesłuchania kolejnych świadków. Niektórym prokuratura przyznaje status incognito.

Prowadzący śledztwo prokurator Piotr Krupiński z Krakowa we współpracy z Archiwum X ogłasza w mediach, że zmowa milczenia mieszkańców miasteczka została przerwana. Wszyscy w Szczucinie wiedzieli od początku, kto zabił Iwonę. Nie mówili tego w obawie przed zemstą „Austriaków”. Dostatecznym ostrzeżeniem była śmierć Tadeusza D.

Według koncepcji szefa Archiwum X do zabójstwa doszło w takich okolicznościach: Cyganówna obraziła dziewczynę „Młodego Klapy”, więc postanowili z „Trabantem” wywieźć nastolatkę na nadwiślańskie wały i tam ją upokorzyć. Ale sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Liczne obrażenia na ciele Iwony powstały od ciosów twardym narzędziem. Przyczyną śmierci było gwałtowne uduszenie pętlą z drutu.

Nagłośniony w mediach sukces mąci list żony Leszka W. do śledczych, że mąż choruje psychicznie i jego stan się pogorszył, bo odstawił leki. Jest to problem, ponieważ zeznania tego funkcjonariusza, choć jest w nich dużo sprzeczności, są kluczowe do postawienia zarzutów Pawłowi i Józefowi K., Renacie G. oraz 14 policjantom. Krakowscy śledczy poddają Leszka W. badaniom biegłych psychiatrów. Z ich opinii wynika, że pacjent ma zaburzoną osobowość, ale jest poczytalny.

Pęcznieją akta postępowania przygotowawczego. Osadzony w areszcie były dzielnicowy Szczucina Jerzy S. zgłasza chęć współpracy z organami ścigania, jeśli otrzyma status tzw. małego świadka koronnego. Po uzyskaniu obietnicy funkcjonariusz informuje, że w szatni miejscowego komisariatu policjanci często pili wódkę przynoszoną im przez Józefa K. Dlatego Jerzy S., choć wiedział od innych policjantów, co się zdarzyło tragicznej nocy w 1998 r., zatrzymał te informacje dla siebie. Teraz jest gotów je ujawnić:

„Stary Klapa”, kumplujący się z wieloma policjantami, urządzał dla nich w hangarze Wodnego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego mocno zakrapiane imprezy. Były na nie dowożone młodziutkie dziewczyny, którym wcześniej w barze U Trabanta dosypywano do drinków narkotyki.

Podczas konfrontacji z Leszkiem W. (odwołał swoje zeznania zaprotokołowane po myśli śledczych) kandydat na małego świadka koronnego zmienia front.

To nie przeszkadza, aby prokuratura skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko 17 osobom. O zabójstwo Iwony Cygan ze szczególnym okrucieństwem zostaje oskarżony Paweł K. Jego ojciec Józef K. ma odpowiadać za pomocnictwo, a Renata G. za utrudnianie śledztwa i tajenie prawdy. 14 byłych policjantów ze Szczucina i Dąbrowy Tarnowskiej słyszy zarzuty nadużycia uprawnień, składania fałszywych zeznań i celowego kierowania śledztwa na ślepe tory.

Prokurator przyznaje w akcie oskarżenia, że nie udało się wyjaśnić motywu zbrodni. Funkcjonariusze Archiwum X są przekonani, że prawdę znali ci mieszkańcy Szczucina, którzy po zamordowaniu nastolatki zginęli w tajemniczych okolicznościach. Pierwszym na tej tragicznej liście był świadek morderstwa Tadeusz D. Celowo zamroczony alkoholem, został wyrzucony przez sprawców z motorówki do Wisły.

Związek ze śmiercią Cyganówny ma też śmierć Marka K. Mocno pijany opowiadał na rynku w Szczucinie, że wie, kto zabił Iwonę – jeszcze tej nocy zginął przygnieciony betonowym ogrodzeniem. Na długiej liście śmiertelnych ofiar są dziewczyny, które za pośrednictwem „Młodego Klapy” wyjechały rzekomo do opieki nad dziećmi do Grecji i Wiednia, a tak naprawdę do burdelu, dwaj piłkarze z drużyny Wisły Szczucin (jeden się powiesił, drugi wszedł po pijaku na słup wysokiego napięcia), 14-latka, która połknęła śmiertelną dawkę lekarstw swojej babci, i policjant, który strzelił sobie w głowę, a w pożegnalnym liście napisał o nieporozumieniach małżeńskich.

eprasa.pl 046ebcf937

Paweł K. „Młody Klapa" składał wyjaśnienia w pomarańczowym kombinezonie niebezpiecznego więźnia.

Wszystkie postępowania w sprawie tych śmierci zostały przez miejscową policję umorzone, ale funkcjonariusze Archiwum X wiedzieli swoje: to nie były przypadkowe zgony. I takie informacje przekazywano dziennikarzom odwiedzającym Szczucin.

Proszę o uniewinnienie

W czerwcu 2018 r. w Sądzie Okręgowym w Rzeszowie zaczyna się długo oczekiwany proces 17 oskarżonych o śmierć Iwony Cygan. Gdyby ofiara żyła, miałaby 37 lat. Akt oskarżenia liczy niemal 500 stron. Obrońcy (większość to znane w kraju nazwiska) chcą pełnej jawności rozpraw, sąd się nie zgadza. Żaden oskarżony nie przyznaje się do winy.

Kiedy Paweł K. (w areszcie spędził pięć i pół roku) w pomarańczowym kombinezonie niebezpiecznego więźnia składa wyjaśnienia, siostra zamordowanej wychodzi z sali sądowej. „Młody Klapa" twierdzi, że siedzącą na ławie oskarżonych Renatę G. widzi pierwszy raz w życiu. Nie ma nic wspólnego z morderstwem nastolatki.

On nocą 13 sierpnia 1998 r. wracał z Wiednia ze swoją dziewczyną i „Trabantem". Do Szczucina dojechali nad ranem. Nazajutrz bawił się na weselu kolegi. Miał marynarkę w kolorze lilaróż, jednakże absurdalne jest myślenie Bogdana Michalca, że włókna znalezione obok denatki pochodzą z tej odzieży: – Miałem w tej samej marynarce wyjść na dwór w ulewnym deszczu, zamordować dziewczynę, a na drugi dzień bawić się w to samo ubrany?

K. przypomina, że według ekspertyzy biegłych włókno znalezione w miejscu zbrodni pochodzi z dzianiny dziewiarskiej (np. z koca), a nie z sukna na garnitur. W odróżnieniu od syna „Stary Klapa" przed sądem odmawia składania wyjaśnień.

Uliczna plotka w Szczucinie głosi, że każdy, kto wie coś istotnego o śmierci dziewczyny, będzie zlikwidowany.

Policjant Leszek W. stwierdza, że w pewnym okresie zeznawał po myśli prokuratora, bo został przez niego otumaniony czymś dosypanym do herbaty.

– Swoje obowiązki wykonywaliśmy sumiennie i uczciwie. Nie można manipulować dowodami i świadkami, a nawet mediami. Szykanować ludzi tylko dlatego, że nie przyznali się do czegoś, czego nie zrobili – ocenia zarzuty policjant Andrzej K.

Renata G., kolejna osoba w ławie oskarżonych, informuje, że nie była z Iwoną 13 sierpnia 1998 r. o godzinie 22 na rynku w Szczucinie, nie wsiadała do samochodu Pawła K. Jego i innych oskarżonych poznała dopiero na procesie. Opowiada, jak ją traktowano podczas przesłuchań w 2017 r.: – Krzyczeli: „Gadaj, kurwo, suko bez sumienia!". Podczas kontroli w celi byłam rozbierana do naga. Kiedy zapadłam na depresję, odmówiono mi leków.

Po ponad 200 rozprawach w ciągu ośmiu lat proces dobiega końca w lutym 2026 r.

Mowa prokuratora Piotra Krupińskiego trwa prawie pięć godzin. Według oskarżyciela publicznego jednym z prawdopodobnych motywów śmierci 17-latki miało być zachowanie Iwony broniącej się przed seksem z Pawłem K. w barze U Trabanta i brak zgody na wyjazd do domu publicznego w Wiedniu.

Kiedy prokurator przedstawia szczegóły dotyczące obrażeń zamordowanej 17-latki, jeden z adwokatów, prof. Jan Widacki, protestuje przeciwko streszczaniu podręcznika do medycyny sądowej. – Widać, że obrońca się zdenerwował, bo pada jego argumentacja – replikuje oskarżyciel publiczny.

To zapowiedź, że na sali sądowej dojdzie do ostrego starcia między oskarżonymi i ich przedstawicielami a reprezentantem organów ścigania.

– Podczas tego procesu – oskarżyciel publiczny rzuca rękawicę drugiej stronie sądowej – adwokaci wielokrotnie przekraczali granice etyki zawodu, manipulując faktami i przedstawiając błędną ocenę dowodów. W linii obrony skupiły się największe patologie systemu: bezkarność lokalnych układów, solidarność zawodowa postawiona ponad prawem oraz rozkład instytucji, które miały chronić mieszkańców Szczucina i okolic.

Czas na mowy obrońców. Nieczęsto się zdarza, aby ten sam proces obsługiwało tylu adwokatów zaliczanych do pierwszej ligi.

Helena Kowalik

Ciąg dalszy w następnym numerze.

FOT. GRZEGORZ BUKAŁA/REPORTER (2)

eprasa.pl 046ebcf937

Beethoven, gdyby żył w naszych czasach, słyszałby

Prof. Henryk Skarżyński napisał libretto do musicalu. Opowiada o swoich pacjentach

Robert Walenciak

Oto zuchwałość XXI w. 34 lata temu prof. Henryk Skarżyński dokonał pierwszej operacji wszczepienia osobie całkowicie niesłyszącej implantu ślimakowego. Było to wówczas wielkie wydarzenie, wielki przełom. Chodziło o to, by osoba z implantem mogła słyszeć dźwięki, idąc ulicą, i czuć się w miarę swobodnie. O tym, by mogła mówić, rozmawiać, można było wówczas jedynie pomarzyć.

Teraz osoby ze wszczepionym implantem grają i śpiewają. Postęp jest gigantyczny. „Pamiętam, ile emocji to wzbudzało, ile wysiłku kosztowało, by przekonać środowiska naukowe i decydentów, że osoba niesłysząca może odzyskać kontakt ze światem dźwięków – wspomina prof. Skarżyński. – Dziś robimy to u kilkumiesięcznych dzieci, dając im szansę na swobodny rozwój mowy i normalne życie. Stymulując mózg od wczesnych miesięcy, rozwijamy jego możliwości oraz zdolności. Nauka nie tylko nadąża za światem – ona go kształtuje".

Od 2015 r. prof. Skarżyński organizuje w Kajetanach Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Ślimakowe Rytmy/Beats of Cochlea", byśmy na własne oczy mogli się przekonać, co potrafi współczesna medycyna. I usłyszeć młodych ludzi śpiewających oraz grających Beethovena i Chopina.

W tym roku w lipcową sobotę finał festiwalu obfitował też w bonusy: film dokumentalny w reżyserii Miłki Skalskiej o tych, którym implant dał nowe życie, „Implant. Mój Przyjaciel Po Wsze Czasy", i musical „Powrót Beethovena", do którego libretto napisał… prof. Henryk Skarżyński.

Libretto? Jakim sposobem? Skąd u profesora taka pasja? Skąd wolny czas na jej rozwijanie? Henryk Skarżyński mówi o tym w filmie Miłki Skalskiej: „Kocham pracę, bez niej nie byłbym w stanie funkcjonować. Wyzwala we mnie nowe możliwości, marzenia, które albo spisuję w postaci jakiegoś wiersza czy jakiejś rymowanki, albo opisu jakiegoś wrażenia, i to zostawiam. Czasami nie wracam do tego przez lata, a czasami po paru miesiącach okazuje się, że to był fantastyczny pomysł i należy go rozwijać".

Pasja profesora do sztuki, muzyki, do poezji to rzecz znana. Wiemy też, że po całym dniu ciężkiej pracy, wymagającej maksymalnego skupienia, mijają nieraz godziny, nim mózg się uspokoi i wyciszy. Taki jest „Powrót Beethovena" – musical, który powstał na podstawie półautobiograficznej książki profesora o tym samym tytule. To opowieść o jego pacjentach, o ich historiach. O rodzicach, którzy z obawami i nadzieją przyjechali z dziećmi do Kajetan. O małych pacjentach, dla których implant oznaczał przeniesienie w nową rzeczywistość – ze świata ciszy w świat dźwięków. O trudach rehabilitacji, zderzeniu z własnymi słabościami i nietolerancją otoczenia. I o Beethovenie, który – gdyby żył w naszych czasach – słyszałby.

„To cud", mówi w „Powrocie Beethovena" mama małego chłopca, który dzięki implantowi będzie słyszał. „To nie cud – to medycyna", odpowiada jej profesor. Ale oprócz cudu medycyny są również rzeczy, które zależą, tak jak zawsze, od ludzi. Od ich wiedzy, umiejętności i wewnętrznego skupienia. To zespół kwalifikuje pacjenta do wszczepienia implantu. To zespół pomaga otochirurgowi prowadzić operację. Ale w tych kluczowych momentach, gdy pracując pod mikroskopem, umieszcza elektrodę w ślimaku ucha wewnętrznego, prowadzi ją tak, by nie uszkodzić jego ścian, profesor jest sam.

„Powrót Beethovena" – na scenie Maciej Miecznikowski jako prof. Skarżyński. Kajetany, 18 lipca 2026 r.

„Operacja wymaga olbrzymiego skupienia. I dość długich chwil pracy, podczas których wstrzymuje się oddech, co jest realnym obciążeniem dla organizmu. Nie oddychając, eliminuję mikrodrżenia", mówi prof. Skarżyński. I dodaje: „Układ palców pozwala mi wziąć dane narzędzie. A osoby współpracujące widzą, co mają podać. Ma to ogromne znaczenie dla operacji. Nie odrywam wzroku od pola operacyjnego, cały czas je kontroluję, dostaję to, czego potrzebuję, ktoś śledzi na ekranie moje kroki, anestezjolog czuwa. Dzięki temu operację, którą gdzie indziej wykonuje się przez trzy godziny, ja mogę wykonać przez 30 minut. Dosłownie!".

Później następuje okres rehabilitacji, oswajanie się pacjenta ze światem dźwięków. Tutaj ważni są inżynierowie, którzy dostrajają implant. I rehabilitanci, którzy wprowadzają pacjenta w świat dźwięków.

„Każde urządzenie jest indywidualizowane – mówi profesor. – Elektroda ma tyle samo kanałów, wielkość jest taka sama, ale warunki w uchu są inne, warunki w naszym mózgu są inne, w związku z tym potrzebna jest ogromna praca zespołu

eprasa.pl 046ebcf937

Ostatnią operację Maciej Miecznikowski przeszedł trzy tygodnie przed występem. Słyszy fantastycznie.

psychologów, logopedów, inżynierów, którzy obserwując postępy w rozwoju słuchu, dobierają parametry urządzenia. Nie odbywa się to za jednym podejściem. To trzeba modyfikować cały czas i dostosowywać do rozwoju".

Ważni są też pacjenci. Jak odnajdą się w nowym życiu. Mózg potrzebuje czasu, żeby zacząć ogarniać dźwięki, które do niego dochodzą, porządkować je, rozumieć. Pacjenci mówią: na początku jest dużo hałasu, dużo dźwięków, które są zdwojone. I trzeba nauczyć się, skąd przychodzą. I je rozpoznawać. Potem można zacząć mówić. Wszystkiego trzeba się nauczyć. Także tego, że zakładając implant, wchodzi się w świat dźwięków, a zdejmując go na noc, do snu, wraca się do świata ciszy…

„Osoby, które nigdy nie słyszały, które urodziły się praktycznie całkowicie niesłyszące, kiedy je zoperujemy, otrzymują pierwszy słuch, pierwsze wrażenia, na których zbudują cały świat", opowiada prof. Skarżyński. „Rodzice ze zdziwieniem patrzą, jak dziecko, które zoperowane w 10.,11.,12. miesiącu życia, po roku bywa lepiej rozwinięte słuchowo i językowo niż dziecko, które słyszało. Jak to jest? Czy ono jest lepsze? Mówię – nie, lepsze nie jest, tylko z tym dzieckiem wykonaliśmy określoną pracę. U słyszącego ta praca była mimo woli, naturalna. A tutaj – przemyślana, zorganizowana z udziałem wielu osób".

Częścią tej pracy jest muzyka. Okazało się, że dzieci, które miały styczność z muzyką, szybciej i łatwiej przechodziły przez proces rehabilitacji pooperacyjnej. Pod wpływem muzyki, a zwłaszcza podczas grania i śpiewania, aktywizują się obie półkule mózgowe, co m.in. sprzyja rozwojowi umiejętności językowych. Dlatego zajęcia muzykoterapeutyczne są teraz nieodłączną częścią rehabilitacji.

A osoby, które cierpiały na częściową głuchotę? „Kiedy zaczynałem operacje wszczepienia implantów, dotyczyły one osób całkowicie niesłyszących, dla których nie było żadnego ratunku – wspomina początki prof. Skarżyński. – Tych osób były tysiące. Natomiast dziesiątki tysięcy miały różne resztki słuchowe. Uznawano, że szansą będzie ich wzmocnienie aparatami słuchowymi, które pozwalały na w miarę normalne funkcjonowanie. Życie pokazywało, że to nie było normalne funkcjonowanie. Doszedłem do wniosku, że jeżeli zachowamy podczas operacji całą strukturę ucha, czyli budowę ucha wewnętrznego i to, co się w nim znajduje, to znaczy te resztki słuchu, i dołożymy to, co daje implant, to nic nie stracimy z tego, co pacjent ma, a możemy mu dać coś ponad to. Resztki słuchu pacjenta uzupełnialiśmy więc elektrycznie. Stworzyliśmy sytuację, w której oprócz fali dźwiękowej, poruszajacej słyszące części ucha wewnętrznego, dochodzą mikrobodźce elektryczne – one pobudzają nieczynne zakończenia".

W ten sposób szansę na normalne życie otrzymały osoby, które – tak jak Beethoven – z wiekiem tracą słuch.

Po zakończeniu musicalu „Powrót Beethovena" grający rolę profesora Maciej Miecznikowski wyszedł na scenę i zwrócił się do widowni: „Drodzy Państwo, nazywam się Maciej Miecznikowski. Na co dzień występuję jako aktor i wokalista. Ale dziś stoję tu również jako pacjent. Od lat mówię otwarcie: choruję na otosklerozę. To choroba, na którą prawdopodobnie cierpiał Ludwig van Beethoven. Choroba, która krok po kroku odbiera słuch. U mnie zaczęło się niewinnie. Coraz częściej prosiłem, żeby ktoś coś powtórzył albo podgłaśniałem radio. Aż w pewnym momencie przestałem słyszeć budzik. I wtedy zrozumiałem, że dzieje się coś naprawdę niedobrego. Lekarze powiedzieli mi, że kosteczki w moim uchu się zrastają, a dźwięk przestaje przechodzić. Dla muzyka to brzmi jak wyrok, bo nagle pojawia się pytanie: czy ja jeszcze będę słyszał muzykę? Czy jeszcze będę mógł stanąć na scenie? Przeszedłem sześć operacji. Sześć razy podejmowałem decyzję, że warto zaryzykować. Dziś słyszę. Ale wiem jedno – każdy dźwięk, który do mnie dociera, to nie jest nic oczywistego. To wielki dar, za który jestem wdzięczny. Również temu miejscu. Kajetanom i ludziom tu pracującym". ■

„To cud", mówi w „Powrocie Beethovena" mama chłopca, który dzięki implantowi będzie słyszał. „To nie cud – to medycyna", odpowiada profesor.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 046ebcf937

Liga Mistrzów internetu

Amazon, Alibaba i rosyjskie giganty handlu elektronicznego – władza nad ekranem smarfona

Marek Czarkowski

Handlem internetowym władają dziś imperia, które kontrolują magazyny, dane, płatności i codzienne decyzje miliardów ludzi. Na trzech kontynentach ukształtowały się trzy modele tej władzy: amerykański totalny operator, chiński ekosystem sieciowy i rosyjski duopol zbudowany na gęstej logistyce oraz żelaznej dyscyplinie. Ich historie to opowieść o bogactwie, przemocy i cenie, jaką płaci się za panowanie nad ekranem smartfona.

Model Bezosa

Historia Amazona zaczęła się w garażu w Bellevue pod Seattle. Były bankier z Wall Street Jeff Bezos w 1994 r. uznał, że internet zrewolucjonizuje handel, i zaczął sprzedawać w sieci… książki. Bo pierwotnie Amazon był księgarnią. Trzy dekady później stał się machiną, która w 2024 r. wygenerowała 637,96 mld dol. przychodów i 59,25 mld dol. zysku netto. Dziś to korporacja, której skala przychodów przewyższa PKB wielu gospodarek europejskich.

Jeff Bezos stworzył model, w którym handel, logistyka, chmura obliczeniowa, kanał streamingowy Amazon Prime, a nawet technologie kosmiczne, takie jak Projekt Kuiper (Amazon Leo) – czyli budowa konstelacji satelitów zapewniających dostęp do szerokopasmowego internetu – tworzą zintegrowaną całość. Bezos jest też właścicielem i twórcą prywatnej spółki Blue Origin, która rozwija technologie budowy rakiet, lądowników i wszystkiego, co jest związane z usługami kosmicznymi. Pod tym względem właściciel Amazona rywalizuje z Elonem Muskiem. Jednak to jest margines jego działalności. Tym, nad czym dziś koncentruje się amerykańska spółka, jest utrzymanie dominacji w dziedzinie logistyki. Koncern ma pełną kontrolę nad łańcuchem dostaw — od przyjęcia towaru po dostarczenie go do klienta. Pozwala to na realizację zamówień w jeden dzień – nawet jeśli dostawy odbywają się pomiędzy różnymi kontynentami.

Nikt dotychczas nie zbudował porównywalnej sieci magazynów, sortowni i floty w tak wielu państwach jednocześnie. Automatyzacja, robotyka i sztuczna inteligencja nie są w Amazonie ozdobą prezentacji inwestorskich, lecz kręgosłupem firmy, od którego zależy jej przyszłość. Pytanie brzmi: jak długo politycy, pracownicy i sprzedawcy będą gotowi płacić cenę wyznaczoną przez Bezosa?

Zwłaszcza że osoby zatrudnione w magazynach koncernu w Europie i Stanach Zjednoczonych od lat skarżą się na tempo pracy, które nie zna ani litości, ani wolnych dni – stąd legenda firmy, która działa bez wytchnienia.

Jeff Bezos zbudował kult efektywności, w którym każda sekunda między kliknięciem a dostawą jest mierzona, optymalizowana i przeliczana na dolary. Ta obsesja uczyniła z Amazona wzorzec, którego na razie nikt nie dogonił.

> W 2024 r. holding z Hangzhou wykazał 941,17 mld juanów przychodów i 71,33 mld juanów zysku netto.

Alibaba – smok z Hangzhou

Jeśli Amazon jest maszyną, to Alibaba Group jest archipelagiem. W 2024 r. holding z Hangzhou wykazał 941,17 mld juanów przychodów i 71,33 mld juanów zysku netto. To skala wyraźnie mniejsza od amerykańskiego rywala. Alibaba nie jest ściśle zintegrowanym operatorem, lecz holdingiem złożonym z wielu platform handlowych, usługowych i spółek, które tworzą wspólny organizm. Zarabia na pośrednictwie, reklamie i usługach dla sprzedawców. Nie musi być właścicielem każdego magazynu ani każdej ciężarówki. Wystarczy, że sprawnie organizuje rynek, kieruje ruchem i inkasuje opłaty za dostęp do miliardów chińskich konsumentów.

Rdzeniem grupy są dwie platformy handlu internetowego, Taobao i Tmall, oraz oczywiście uruchomiony 26 kwietnia 2010 r. jako platforma poświęcona wyłącznie sprzedaży detalicznej, znany także w Polsce, AliExpress. Taobao to otwarty rynek stworzony z myślą o małych chińskich sprzedawcach i zwykłych konsumentach. Platforma nie zarabia na własnej sprzedaży detalicznej, lecz na reklamach i usługach dla handlowców. Druga platforma – Tmall – działa inaczej. Jest przeznaczona dla marek i firm, co łączy się z prowizjami i opłatami.

Różnice między Amazonem a Grupą Alibaba są fundamentalne. Amazon rozwija infrastrukturę, by szybciej sprzedawać towary. Alibaba tworzy platformy, by lepiej organizować handel. Porównania finansowe są mylące. Grupa Alibaba wygląda na mniejszą od Amazona,

eprasa.pl 046ebcf937

lecz jej wpływ na życie codzienne setek milionów Chińczyków jest ogromny. Z tego powodu od dawna unosi się nad nią cień władz w Pekinie. Gdy w październiku 2020 r. „chiński Bezos" Jack Ma – założyciel i twórca potęgi Grupy Alibaba – publicznie skrytykował tamtejsze banki za, jak to określił, „mentalność właściciela lombardu", która utrudnia finansowanie lokalnych innowacyjnych firm, natychmiast został wezwany na dywanik do Banku Ludowego Chin, czyli tamtejszego banku centralnego i przywołany do porządku. To był początek jego kłopotów. W pierwszych dniach listopada 2020 r., tuż przed debiutem giełdowym akcji spółki Ant Group (należącej do Grupy Alibaba), która mogła przynieść jej właścicielom ok. 34,5-37 mld dol., władze wstrzymały emisję akcji.

Następnie przeciwko Alibaba Group wszczęto postępowanie antymonopolowe i nałożono rekordową wówczas karę 18,2 mld juanów za nadużywanie dominującej pozycji na rynku. W konsekwencji Jack Ma na wiele tygodni zniknął z życia publicznego, co wywołało falę spekulacji na temat jego losu. Pisano, że się ukrywa albo że znalazł się w areszcie. W 2023 r. agencja Bloomberg doniosła, że Ma znów pojawił się w kampusach Alibaby, a w 2025 r. miał być bezpośrednio zaangażowany w decyzje dotyczące rozwoju sztucznej inteligencji, e-commerce oraz konkurencyjnej walki z innymi chińskimi platformami. Jednocześnie władze spółki podkreślały, że oficjalnie Jack Ma pozostaje poza jej strukturą zarządzania, a realną odpowiedzialność ponoszą inni menedżerowie, m.in. Joe Tsai i Eddie Wu.

To upokorzenie przypomniało światu, że w Chinach nawet król e-commerce nie stoi ponad władzą.

Smok z Hangzhou jest potężny, jednak nie jest suwerenny. Pozostaje zakładnikiem własnego sukcesu – im bardziej rośnie w Państwie Środka, tym bardziej staje się podejrzany zarówno dla władz chińskich, jak i zachodnich.

Jeff Bezos, założyciel Amazona.

Jeff Bezos zbudował kult efektywności, w którym każda sekunda między kliknięciem a dostawą jest mierzona, optymalizowana i przeliczana na dolary.

Królowa handlu internetowego z Mordowii

W nocy z 17 na 18 lipca 2026 r. ukraińskie drony zaatakowały dwa duże magazyny rosyjskiej firmy Wildberries – jeden w podmoskiewskiej Elektrostali, drugi w Kotowsku w obwodzie tambowskim. Zdjęcia potężnych kolumn dymu, unoszących się w niebo obiegły światowe media. W Kotowsku zginęło siedmiu pracowników, a 25 zostało rannych, w Elektrostali ucierpiały kolejne dziesiątki osób.

Armia ukraińska wciąż atakuje magazyny tej spółki. Wstępne szacunki wskazują, że ten największy w Rosji sklep internetowy utracił ponad 10% swoich mocy magazynowych, a odbudowa uszkodzonych obiektów może kosztować ponad 35 mld rubli. Najnowsze informacje wskazują, że Wildberries działa w miarę normalnie, a spółka szuka nowych magazynów do wynajęcia w Kazachstanie. Zapewne blisko granicy z Rosją.

W lipcu świat przypomniał sobie o założycielce tego rosyjskiego giganta – Tatianie Kim, pochodzącej z koreańskiej diaspory, osiedlającej się w Rosji od drugiej połowy XIX w. Zanim Kim stała się najbogatszą kobietą kraju i symbolem cyfrowej potęgi, była nauczycielką języka angielskiego w Mordowii, jednej z biedniejszych republik autonomicznych wchodzących w skład Federacji Rosyjskiej. Po mężu nazywała się Bakalczuk.

W 2004 r. zaczęła sprzedawać przez internet ubrania. Jej firma mieściła się w jednym z moskiewskich mieszkań. 20 lat później Wildberries był najważniejszą rosyjską internetową platformą handlową o obrotach liczonych w bilionach rubli.

Zanim jednak ukraińskie drony uderzyły w jej magazyny, firma przeżyła inną wojnę: domową, korporacyjną i medialną zarazem. W czerwcu 2024 r. Wildberries połączyła się z operatorem reklamy zewnętrznej o nazwie Russ Group. W nowej spółce o nazwie RWB 65% udziałów przypadło strukturze związanej z Wildberries, a 35% – Russ Group. Dla Tatiany Kim był to alians strategiczny, lecz dla jej męża Władysława Bakalczuka – zamach na rodzinny majątek.

Formalnie Tatiana kontrolowała 99% akcji Wildberries, a jej mąż zaledwie 1%. Zgodnie z rosyjskim prawem rodzinnym udziały nabyte w trakcie małżeństwa mogły podlegać podziałowi jako majątek

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 046ebcf937

wspólny. Bakalczuk argumentował, że przysługuje mu prawo do połowy biznesu, albo połowy jego wartości. Dowodził, że żona bez jego zgody wyprowadziła kluczowe aktywa i złożył w sądzie pozew opiewający na 350 mld rubli. Zwrócił się też o wsparcie do prezydenta Czeczenii Ramzana Kadyrowa, który, jako strażnik wartości rodzinnych, oddelegował mu do pomocy grupę uzbrojonych po zęby mieszkańców Kaukazu, by ci „wyjaśnili sprawę" po rosyjsku – „Решили вопрос".

We wrześniu 2024 r., pod moskiewskim biurem Wildberries doszło do wymiany ognia między Czeczenami a ochroną spółki. Zginęło dwóch pracowników platformy handlowej. Czeczeni trafili za kraty, lecz szybko wyszli na wolność. W konflikt, z obu stron, zaangażowane były poważne siły – dlatego rosyjskie media przedstawiały go nie jako walkę o podział rodzinnego majątku, lecz starcie o kontrolę nad jednym z najcenniejszych aktywów rosyjskiej gospodarki cyfrowej.

Do rozstrzygnięcia doszło szybko i bez niepotrzebnych skandali. W lutym 2025 r. Bakalczuk i Kim, po 22 latach małżeństwa, rozwiedli się. Miesiąc później sąd zdecydował, że należący formalnie do Władysława Bakalczuka 1% udziałów w spółce Wildberries przechodzi na Tatianę Kim. A w listopadzie tego samego roku strony zawarły ugodę, której treści nie ujawniono. Można jedynie się domyślać, że Bakalczuk otrzymał liczoną w dziesiątkach, a może nawet w setkach miliardów rubli gratyfikację i… zniknął.

W mediach można znaleźć też informacje, że właścicielce Wildberries bardzo pomogli ludzie związani z Kremlem. Oczywiście nie za darmo. Tym sposobem była nauczycielka angielskiego z Mordowii wygrała. W kraju, gdzie biznes i władza splatają się tak ciasno, że rozwód miliarderów przestaje być sprawą prywatną, a staje się testem lojalności elit, mediów i sądów, sądowe rozstrzygnięcie więcej mówi o systemie niż o samym małżeństwie.

W cieniu imperium Tatiany Kim rośnie jednak spółka Ozon, której obrót w 2025 r. wyniósł ponad 3 bln rubli. Wyraźnie mniej niż Wildberries, lecz znacznie więcej niż w przypadku innych platform handlowych, takich jak Yandex Market. Okazuje się, że Ozon i Wildberries kontrolują ok. 80% rosyjskiego rynku zamówień online.

W Rosji mogą być hegemonami, lecz obie grają w niższej lidze niż Amazon i Alibaba. Biliony rubli robią wrażenie w Moskwie i na Syberii, lecz w globalnych rankingach przychodów znacząco ustępują amerykańskim i chińskim kolosom.

Każde z tych imperiów wygrywa inaczej. Amazon triumfuje siłą wykonawczą, własną infrastrukturą i technologicznym kręgosłupem. Alibaba imponuje skalą ekosystemu i rozmiarami lokalnego rynku, koordynując handel, zamiast go w całości posiadać. Wildberries zwycięża gęstością sieci punktów wydawania towarów i zdolnością narzucania warunków setkom tysięcy sprzedawców. To trzy drogi do tego samego celu: monopolu informacyjnego nad danymi klientów, monopolu logistycznego nad przepływem towaru i monopolu płatniczego nad transakcjami. Każde z tych imperiów budzi opór.

U Amazona – ze strony pracowników magazynów, związków zawodowych i regulatorów antymonopolowych po obu stronach Atlantyku, którym nie podobają się praktyki koncernu Bezosa.

U Alibaby – pretensje ma rząd chiński, który pokazał Jackowi Ma i całemu sektorowi e-commerce, gdzie kończy się wolność największej platformy.

U Wildberries – niezadowoleni są sprzedawcy duszeni prowizjami i klienci rozwścieczeni tym, że wojna z Ukrainą zamieniła centra dystrybucyjne w cele dla rakiet i dronów.

Co ciekawe, sukces w handlu internetowym nie oznacza już tylko wzrostu kursu akcji spółek. Oznacza też wejście w strefę, w której trudno odróżnić biznes, politykę i przemoc.

Historia tych wielkich firm uczy, że skala nie chroni już przed kryzysem – wręcz przeciwnie, czyni go głośniejszym. Bo im większa platforma, tym mocniej jej problemy uderzają w całe społeczeństwa – zależne od jednego kliknięcia.

Zwykłemu konsumentowi te konflikty mogą wydawać się odległe. Paczka przychodzi, aplikacja działa, cena bywa niska. Lecz za każdym kliknięciem stoi decyzja o tym, kto kontroluje magazyn, kto widzi historię zakupów i kto dyktuje prowizję drobnemu przedsiębiorcy z prowincji.

Liga mistrzów globalnego e-commerce nie gra o wygodę klienta, lecz o maksymalne zyski.

Marek Czarkowski

W cieniu imperium Tatiany Kim rośnie spółka Ozon, której obrót w 2025 r. wyniósł ponad 3 bln rubli.

eprasa.pl 046ebcf937

Z Galicji

Jan Widacki

Duet Mitera i Żurek

Przypadkiem natrafiłem na Facebooku na rolkę, na której minister sprawiedliwości – prokurator generalny Waldemar Żurek demonstrował dane dotyczące przestępczości drogowej. Pokazywał liczby zabitych przez pijanych kierowców i straszył wysokimi karami. Przekonywał, że prokuratura i wymiar sprawiedliwości pod rządami obecnej koalicji rozprawią się z przestępcami drogowymi. Sens wypowiedzi ministra Żurka współgrał z demagogicznym i emocjonalnym uzasadnieniem wyroku w sprawie Łukasza Żaka, jakie wygłosił arcypisowski sędzia Mitera.

Jestem przekonany, że to uzasadnienie sędziego Mitery, pokazywane przez wszystkie telewizje, spodobało się wielu ludziom. Na tym przecież polega demagogia. Nie wiem tylko, dlaczego minister postanowił przelicytować sędziego. Czy chodziło o to, by pokazać, że nie tylko pisowcy, ale „my też ostro zwalczamy bandytów drogowych"? Minister pokazał liczby wypadków drogowych, w tym ze skutkiem śmiertelnym, liczby osób, które zginęły w wypadkach spowodowanych przez pijanych kierowców. To wszystko prawda, ale niecała.

Trzeba pamiętać, że liczba pojazdów mechanicznych na polskich drogach rośnie lawinowo, tylko w ostatnim 10-leciu wzrosła o 12%. Do tego dodajmy jeżdżące po naszych drogach samochody z obcą rejestracją, a tych jest rocznie z samych tylko Rosji, Białorusi i Ukrainy ponad 3 mln. Liczba samochodów z krajów UE, które jeździły w Polsce, jest nieznana. Rośnie więc liczba pojazdów, a liczba wypadków drogowych na szczęście maleje. W ostatnim 10-leciu zmalała aż o 40%! Maleje też liczba wypadków ze skutkiem śmiertelnym. W stosunku do 2016 r. zmalała o 45%. W 2025 r. było ich 1660, w 2016 r. aż 3026. W 2025 r. liczba wypadków była o 3% mniejsza niż w 2024.

Liczba wypadków ze skutkiem śmiertelnym była aż o 14% mniejsza niż w roku poprzednim. Wedle statystyk policyjnych w 2025 r. uczestnicy ruchu pod wpływem alkoholu spowodowali 1358 wypadków (6,5%), w których zginęło 170 osób (10,2%). W tej liczbie mieszczą się pijani rowerzyści, którzy spowodowali 11 wypadków ze skutkiem śmiertelnym, a także nietrzeźwi piesi – spowodowali 30 wypadków. Może to powinien pokazać prokurator generalny lub jego rzecznik na konferencji prasowej albo choćby na FB czy TikToku.

Czego efektem jest malejąca liczba wypadków przy rosnącej liczbie pojazdów? Poprawia się jakość dróg, rośnie liczba dróg omijających tereny zabudowane, gdzie z kolei jest coraz więcej chodników dla pieszych, lepsza jest jakość poruszających się po drogach pojazdów, lepiej zorganizowana jest służba ratunkowa i krótszy czas oczekiwania na karetkę pogotowia. Wyższa jest też zapewne kultura jazdy, a piesi są bardziej oswojeni z ruchem drogowym. Surowość kar nie ma na to wielkiego wpływu i o tym kryminologia poucza od ponad 150 lat. Bezskutecznie.

Obraz przestępczości drogowej prezentuje się w Polsce nieporównanie lepiej, niż wynika to z mediów relacjonujących najbardziej spektakularne, a tym samym najbardziej oburzające i poruszające opinię publiczną przypadki, jak choćby ten Łukasza Żaka. Nie ulega wątpliwości, że takie przypadki należy karać z całą surowością prawa. I nie potrzeba tego prawa zaostrzać. A swoją drogą, jak o skuteczności państwa świadczy fakt, że sprawca kilkakrotnie tracił prawo prowadzenia pojazdów, a wciąż prowadzi samochód i gdyby nie spowodował wypadku, jeździłby zapewne dalej. Może rutynowych kontroli policyjnych jest zbyt mało?

Straszenie społeczeństwa przestępczością pospolitą i drogową jest skutecznym narzędziem polityków, dobrze znanym nauce jako „populizm penalny". Administrowanie strachem okazuje się skuteczne do czasu. Przestraszonym ludziom łatwiej wmówić, że dla ich bezpieczeństwa trzeba im ograniczyć prawa i wolności obywatelskie, dać szersze uprawnienia organom państwowym, zaostrzyć kary i zdyscyplinować sądy. Czyli ograniczyć wolność za cenę obiecanego bezpieczeństwa.

Administrowanie strachem wyniosło w 2005 r. PiS do władzy. Tę filozofię państwa przez lata realizował Ziobro. Wpisywanie się w nią dlatego, że bywa skuteczna, ale realizowanie jej w wersji soft, jak to dziś próbuje robić rządząca koalicja, jest działaniem samobójczym. Utwierdza społeczeństwo w przekonaniu, że ograniczenie praw i wolności (w tym zaostrzanie polityki kryminalnej to jedynie fragment) jest konieczne, strach (przed przestępcami, imigrantami, Ukraińcami) uzasadniony, a więc rządy autorytarne są jak najbardziej pożądane. Tym samym utwierdza się w przekonaniu, że PiS i Konfederacja mają rację. Licytowanie się z prawicą na populizm, choćby tylko penalny, nie ma sensu. Ona wygra tę licytację, bez skrępowania domagając się np. przywrócenia kary śmierci. Środowiska liberalno-lewicowe nie powinny stawać do takiej licytacji. Już bracia Grimm pouczali, że nie powinien jeż z zającem się ścigać. W wersji dla dorosłych: nie należy stawać do zawodów na boisku wybranym przez przeciwnika i grać wedle narzuconych przez niego reguł. Trzeba pokazać społeczeństwu, że są inne boiska i reguły gry. Pokazywać prawdziwe dane, objaśniać, jawnie sprzeciwiać się populizmowi i demagogii. Po prostu być sobą i prowadzić politykę informacyjną. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 046ebcf937

POMOC W UMIERANIU

Czy Francja legalizuje eutanazję?

Sarah Bomba
Korespondencja z Francji

Obóz polityczny prezydenta Francji zrealizował właśnie jedną z nielicznych obietnic wyborczych. Jest nią ustawa o tzw. pomocy w umieraniu (*aide à mourir*), nad którą Francja debatowała od lat. W Polsce ukazało się wiele artykułów poruszających kwestię legalizacji eutanazji i cywilizacji śmierci. Francuska ustawa jednak nie do końca spełnia kryteria klasycznej eutanazji, którą stosuje się np. w Holandii czy Belgii. Sugeruje to także nazwa ustawy, która nie jest zwykłym eufemizmem, lecz tłumaczy kompromis, który narodził się w drodze długich rozważań i negocjacji społecznych. Temat na pewno zasługuje na obiektywne omówienie, by wyeliminować uproszczenia sprowadzające go do „zalegalizowania zabójstwa".

Nazwa ustawy o tzw. pomocy w umieraniu tłumaczy kompromis, który narodził się w drodze długich rozważań i negocjacji społecznych.

Projekt ustawy dotyczącej pomocy w umieraniu ma wprowadzić możliwość uzyskania przez niektórych pacjentów pomocy w zakończeniu życia w sytuacji ciężkiej, nieuleczalnej choroby, powodującej nieznośne cierpienie. Ustawa opiera się przede wszystkim na zapisie, który przewiduje samodzielne podanie przez pacjenta śmiertelnej substancji. Interwencja lekarza lub pielęgniarki jest przewidziana jedynie wyjątkowo, gdy stan fizyczny chorego uniemożliwia wykonanie tego aktu.

W przeciwieństwie do Belgii i Holandii, gdzie eutanazja polega zasadniczo na bezpośrednim podaniu substancji przez lekarza, francuski ustawodawca chciał zachować zasadę, że decydujący akt należy do pacjenta.

Długa droga legislacyjna

Debata wokół projektu tej ustawy ujawniła głębokie podziały społeczne i polityczne między zwolennikami większej autonomii jednostki a obrońcami zasady nienaruszalności życia.

Droga do obecnego jej kształtu zaczyna się od ustawy Leonettiego z 2005 r., zakazującej uporczywej terapii. Mówi ona, że lekarz może przerwać leczenie, które stało się „nieracjonalne" lub nieproporcjonalne, ale zabronione jest celowe spowodowanie śmierci pacjenta.

Kolejnym etapem była ustawa Claeysa-Leonettiego z 2016 r., która umożliwiła głęboką i ciągłą sedację (obniżanie świadomości) pacjentów u kresu życia. Był to ważny etap: pacjent mógł zostać utrzymany w stanie nieświadomości aż do naturalnej śmierci, jednak nadal nie była to ani eutanazja, ani wspomagane samobójstwo.

Ewolucja legislacji w tym zakresie w Belgii, Holandii czy Hiszpanii w ostatnich latach skłoniła francuskich decydentów do ponownego pochylenia się nad tą kwestią. W 2023 r. Emmanuel Macron powołał Konwencję Obywatelską ds. końca życia, składającą się z 185 obywateli wybranych w drodze losowania. Po kilku miesiącach debat w gronie lekarzy, filozofów, przedstawicieli religii i prawników znaczna większość uczestników dyskusji uznała, że francuskie prawo powinno ewoluować – jednakże pod bardzo ścisłymi warunkami. Macron nie przedstawił jednak projektu ustawy natychmiast – chciał pokazać, że reforma jest rezultatem rozważań obywatelskich, a nie wyłącznie decyzją prezydencką. Jego zaangażowanie w działania wspomnianej Konwencji Obywatelskiej to również sposób na złagodzenie napięć wokół niezwykle wrażliwej kwestii etycznej.

Antoine Godbert, wysokiej rangi urzędnik państwowy oraz były radny Tours, podkreśla, że to temat, który leży na sercu wszystkim osobom sprawującym mandat publiczny, szczególnie samorządowcom, ponieważ to oni najczęściej mają bezpośredni kontakt z lekarzami oraz chorymi. Kiedy sam został wybrany do rady miasta, nie zdawał sobie z tego sprawy. Dopiero po jakimś czasie zauważył jak istotna jest ta kwestia. Skrywa ona problem starzenia się społeczeństwa.

Godbert zauważył ponadto, że po zmianie prawa w Belgii w 2002 r. Francuzi zaczęli wyjeżdżać za granicę, ponieważ uważali, że ich wybór prędzej zostanie zaakceptowany w systemie belgijskim niż we Francji: „Jako Europejczyk uważam, że to zaskakujące. Kiedy mierzymy się ze śmiercią, nie powinno być różnicy między narodami ani regionami. Nie powinno jej być również między państwami europejskimi. Fakt, że od 2002 r. belgijskie przepisy przyciągały Francuzów, którzy chcieli móc umrzeć z godnością w Belgii, zawsze mnie interesował. Zastanawiałem się, dlaczego istnieją takie różnice".

Historia prac parlamentarnych nad ustawą była dość burzliwa: w marcu 2024 r. przedstawiono jej projekt, nad którym Zgromadzenie Narodowe zaczęło debatować w maju. Po rozwiązaniu Zgromadzenia Narodowego i rozpisaniu ponownych wyborów

eprasa.pl 046ebcf937

„Chcemy opieki zdrowotnej", „Nie dla eutanazji" – wiec organizacji Alliance VITA przeciwko ustawie o tzw. pomocy w umieraniu. Paryż, 12 maja 2025 r.

w czerwcu 2024 r. prace parlamentarne zawieszono. Projekt wrócił pod obrady deputowanych rok później.

W 2026 r. Senat kilkukrotnie odrzucał proponowany tekst ustawy, podczas gdy Zgromadzenie Narodowe ponownie go przyjmowało. Po niepowodzeniu prac prowadzonych przez komisję mieszaną (*commission mixte paritaire* – przewidziana w art. 45 Konstytucji Francuskiej w celu wypracowania wspólnej wersji projektu ustawy, gdy Zgromadzenie Narodowe i Senat nie mogą dojść do porozumienia, w jej skład wchodzi siedmiu deputowanych i siedmiu senatorów) ostateczne słowo należało do Zgromadzenia Narodowego, które przyjęło ustawę 15 lipca 2026 r., (z zastrzeżeniem kontroli Rady Konstytucyjnej, która może uznać ją za niezgodną z konstytucją w ciągu miesiąca od dnia skierowania do niej ustawy).

Specyfika ustawy

Zwolennicy reformy wskazują, że państwo powinno umożliwić obywatelom zachowanie kontroli nad własnym końcem życia i uniknąć sytuacji, w których pacjenci cierpią mimo rozwoju medycyny paliatywnej. Przeciwnicy ostrzegają natomiast przed ryzykiem osłabienia ochrony osób najbardziej bezbronnych – starszych, chorych lub zależnych od opieki innych.

Szczególne miejsce w debacie zajmuje kwestia roli Kościoła katolickiego, środowisk medycznych oraz organizacji zajmujących się prawami pacjentów. Francja jako państwo laickie mierzy się w tym wypadku z pytaniem, czy prawo do decydowania o własnej śmierci powinno być traktowane jako kolejny etap rozszerzania praw jednostki, czy też jako przekroczenie granicy, której nie wolno naruszać.

Warto podkreślić, że ustawa ta nie tworzy „ogólnego prawa do eutanazji". Aby móc skorzystać z pomocy w umieraniu, pacjent musi m.in.: być osobą pełnoletnią, posiadać obywatelstwo francuskie lub legalnie mieszkać we Francji, cierpieć na ciężką i nieuleczalną chorobę w zaawansowanym lub terminalnym stadium, doświadczać cierpienia uznanego za nie do zniesienia oraz być zdolnym do wyrażenia wolnej i świadomej decyzji. Wniosek jest analizowany przez lekarza po konsultacji z co najmniej jednym innym lekarzem (kompetentnym w zakresie schorzeń, na jakie cierpi pacjent) oraz przedstawicielem personelu medycznego. Przewidziany jest także okres namysłu nad decyzją (w ostatecznej wersji ustawy wynosi on dwa dni).

Michel Houellebecq zwraca uwagę na niebezpieczeństwo zastępowania refleksji etycznej kalkulacją ekonomiczną.

Co do zasady pacjent samodzielnie przyjmuje śmiertelną substancję, jeżeli zaś jego stan fizyczny na to nie pozwala, może zrobić to pracownik ochrony zdrowia, który jednak może odmówić, powołując się na klauzulę sumienia.

Antoine Godbert podkreśla, że to właśnie środowisko lekarskie było najbardziej przeciwne tej ustawie, co najbardziej widać na poziomie samorządowym. „Lekarze będą musieli

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 046ebcf937

z tym się pogodzić. Właśnie dlatego wybrano niegdyś Jeana Leonettiego, ponieważ sam był lekarzem. Poza tym lekarze po prostu nie lubią tego tematu. Ponieważ ich zadaniem jest leczenie. Sama idea, że mieliby uczestniczyć w procesie czyjejś śmierci, jest dla nich trudna. W pewnym sensie można to zrozumieć, bo chodzi o choroby nieuleczalne, o przypadki, które wydają się przegrane. Jako naukowcy, lekarze mają trudność z zaakceptowaniem idei porażki. Dlatego opieka paliatywna oraz kwestia towarzyszenia człowiekowi u kresu życia stawiają ich w bardzo trudnej sytuacji".

Francuski paradoks

We Francji podział ideologiczny nie przebiega według tej samej osi co w Polsce – katolicy kontra laicy czy prawica kontra lewica. Debata jest znacznie bardziej skomplikowana: część lewicy popiera ustawę jako odpowiedź na kwestię autonomii jednostki, część lekarzy ją krytykuje z obawy o podejrzenie braku ochrony osób słabszych. A część środowisk świeckich widzi w niej ryzyko osłabienia solidarności społecznej, co tłumaczy faktem, że zjawisko cierpienia mogłoby zupełnie zaniknąć w debacie publicznej.

Dobrym tego przykładem jest postawa Michela Houelbecqa, jednego z najbardziej znanych współczesnych pisarzy francuskich, która wymyka się klasycznym prawidłom moralnościowym. Nie jest głosem całej Francji, jednak pozwala zrozumieć pewien nurt w obrębie tego społeczeństwa. Houellebecq, który wielokrotnie już wyrażał sprzeciw wobec eutanazji, kwestionuje przede wszystkim twierdzenie, że miałaby to być „ustawa postępu". „Otruć kogoś potrafimy od kilku tysięcy lat. Unikanie jego cierpienia jest czymś znacznie nowszym i bardziej wyrafinowanym. Wydaje mi się to raczej regresem", mówi pisarz, wskazując, że prawdziwy „postęp" powinien polegać nie na umożliwieniu skrócenia życia, lecz na zapewnieniu każdemu człowiekowi odpowiedniej opieki i łagodzeniu bólu poprzez rozwój medycyny paliatywnej.

Ten sprzeciw wobec eutanazji nie wynika z argumentacji religijnej (pisarz reprezentuje światopogląd świecki), lecz z krytycznego spojrzenia na ewolucję społeczeństw zachodnich. Pisarz wielokrotnie podkreślał, że legalizacja pomocy w umieraniu nie jest przejawem postępu, lecz przeciwnie, może oznaczać rezygnację z ambicji rozwijania opieki nad osobami cierpiącymi.

Houellebecq zwraca również uwagę na wymiar ekonomiczny debaty, ostrzegając przed ryzykiem, że w starzejącym się społeczeństwie osoby u kresu życia mogą być postrzegane przez pryzmat kosztów, jakie generują dla systemu opieki zdrowotnej. Jego prowokacyjne zdanie: „Umierający kosztuje, zmarły nie kosztuje nic" ma wskazywać na niebezpieczeństwo zastępowania refleksji etycznej kalkulacją ekonomiczną.

W tym kontekście Antoine Godbert stoi na stanowisku, że „cierpienie – nawet w imię dobrej sprawy – powinno być podstawowym wyznacznikiem ludzkiej kondycji. Obrona walki z cierpieniem jest zresztą również ważnym elementem przesłania Kościoła. Cierpienie nie dotyczy wyłącznie osoby, która odczuwa ból. To również cierpienie wszystkich osób wokół niej: rodziny, personelu medycznego. W pewnym sensie jest to także cierpienie całego społeczeństwa, ponieważ decyzje dotyczące finansowania opieki paliatywnej czy organizacji systemu ochrony zdrowia są jednocześnie decyzjami o tym, jaką wartość państwo przypisuje godności człowieka u kresu życia".

Krytycy ustawy obawiają się, że osoby starsze, chore lub zależne od innych mogą odczuwać presję, aby nie być „ciężarem" dla rodziny czy społeczeństwa.

Pomoc w umieraniu a paliacja

Decyzja Francji o wprowadzeniu pomocy w umieraniu rodzi pytanie, które w Polsce często pojawia się w uproszczonej formie: czy jest to kolejny etap liberalizacji etycznej, czy też odpowiedź na realne cierpienie pacjentów u kresu życia? Francuski przypadek pokazuje, że debata nie sprowadza się wyłącznie do wyboru między „prawem do śmierci" a „ochroną życia".

Paradoks polega na tym, że kraj będący jednym z symboli europejskiego państwa opiekuńczego zdecydował się na tak daleko idącą reformę, gdy wielu lekarzy i niemało organizacji społecznych nadal wskazuje na nierówny dostęp do opieki paliatywnej. To właśnie ta kwestia budzi największe kontrowersje, ponieważ pomoc w umieraniu jest w jakiejś mierze elementem autonomii jednostki. A zorganizowanie tej pomocy może uzdrowić system ochrony zdrowia.

Krytycy ostatnich decyzji legislacyjnych obawiają się, że osoby starsze, chore lub zależne od innych mogą odczuwać presję, aby nie być „ciężarem" dla rodziny czy społeczeństwa. Zwolennicy reformy odpowiadają, że prawdziwym zagrożeniem dla godności człowieka jest pozostawienie go bez kontroli nad własnym cierpieniem.

Polska ma rozbudowany system opieki paliatywnej finansowany ze środków NFZ. Obejmuje on sedację paliatywną w określonych sytuacjach, czyli zmniejszenie świadomości pacjenta, gdy objawy są niemożliwe do opanowania innymi metodami, czy leczenie silnymi lekami przeciwbólowymi, czego celem jest zapewnienie pacjentowi możliwie największego komfortu u kresu życia. Jednak w polskiej debacie publicznej temat eutanazji często zostaje sprowadzony do wymiaru moralnego lub światopoglądowego. Fancuska dyskusja obejmuje również kwestie praktyczne: jakość opieki paliatywnej i potrzebę jej poprawy, starzenie się społeczeństwa, rolę lekarza oraz granice autonomii pacjenta.

Sarah Bomba

eprasa.pl 046ebcf937

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Tryptyk chłopski. II. Kasprowicz

Na zakopiańskich Krupówkach ogromne plansze informują o setnej rocznicy śmierci Jana Kasprowicza. Do pobliskiego Muzeum Kornela Makuszyńskiego zaprasza wystawa kasprowiczowska, urządzona przez dr Kingę Nędzę-Sikoniowską. Rocznica właśnie minęła: 1 sierpnia.

W latach licealnych i studenckich był Kasprowicz mym ukochanym poetą. Zastanawiam się dziś dlaczego. Pierwszy impuls był oczywisty: moje pokolenie odkrywało Młodą Polskę, która nie cieszyła się wtedy uznaniem. Wystawiano już wprawdzie (zakazanego w czasach stalinowskich) Wyspiańskiego, publikowano Staffa (choć głównie późnego) i wydawano Żeromskiego (choć tylko takiego od „doli ludu"), lecz inni pisarze młodopolscy byli skazani na nieistnienie. Właśnie w tych latach zacząłem uświadamiać sobie tę lukę.

Szczególny kłopot miały zaś władze oświatowe z Kasprowiczem. Bo niby on nasz, skoro chłop, ale jakże mało postępowy! Chętnie przypominano jego utwory wczesne, naturalistyczne i antyklerykalne, co jednak było robić z ogromem późniejszego dorobku? Wszak była to poezja z gruntu religijna, posługująca się znakami zadomowionymi w tradycji katolickiej, wprawdzie „wadząca się z Bogiem", lecz stale poszukująca Boga. Nie bardzo dawała się oswoić. Te dwa zagadnienia – Młoda Polska i religia – były wtedy dla mnie ważne.

Ale znaczenie miały też czynniki inne, zupełnie już osobiste. Od czwartego roku życia spędzałem wakacje pod Tatrami: w Białym Dunajcu i Poroninie. Te wsie kojarzyły się z Leninem: w pierwszej istniał Dom Lenina, w drugiej – Muzeum Lenina. Mama starała się nie zwracać uwagi na te obiekty, skoro jednak nie sposób było ich nie zauważać, zareagowała kiedyś sarknięciem: „Dlaczego tylko Lenin? Dlaczego nikt nie pamięta, że w Poroninie mieszkał też Kasprowicz?!".

Wtedy to nazwisko usłyszałem po raz pierwszy. Toteż za którymś pobytem powędrowaliśmy z mamą starą drogą poronińską do kasprowiczowskiej Harendy. Z Białego Dunajca było to jednak daleko, pamiętam więc tyle, że strasznie bolały mnie nogi. Niemniej jednak Kasprowicz zrósł się w mej dziecięcej wyobraźni z wakacjami – i to tak silnie, że jego nazwisko wywodziłem od Kasprowego Wierchu. Po latach przeżyłem więc szok, gdy przeczytałem, że poeta pochodził z Kujaw. Zatem z zupełnie innego, nie górskiego, lecz nizinnego regionu!

Ale był jeszcze jeden czynnik: moje geny chłopskie. Trochę je wprawdzie mitologizuję, bo ostatnim pokoleniem w pełni chłopskim byli moi pradziadkowie. Już dziadkowie się wysferzyli i poszli w stan (bo tak wtedy mówiono) nauczycielski. Chłopska droga, wiodąca z pokolenia na pokolenie po szczeblach drabiny społecznej, działała mi zawsze na wyobraźnię. I oto dostałem Kasprowicza! Co znaczy, że w mym kulcie poety odegrały też rolę czynniki pozaliterackie.

Przy tym zaś chłopska przeszłość dopadała mnie nie tylko na wakacjach. Mieszkałem w centrum Krakowa, przy Alei Słowackiego, ale wystarczyło przejść za róg, zagłębić się w ulicę Mazowiecką, by zobaczyć samotną wiejską chatę – pozostałość po Nowej Wsi, od dziesięcioleci już zabudowywanej kamienicami i blokami. Chata ta znikła na początku lat 60. i dziś już nie potrafiłbym wskazać miejsca, gdzie stała. Ale wieś nadal wkraczała do miasta. Chłopskie wozy na ulicach były codziennością. Na Małym Rynku odbywały się jarmarki, a na Nowym Kleparzu długo jeszcze można było kupić, wykrawane z garnuszków, wiejskie masło, odwijane z mokrych chustek białe sery w kształcie serca oraz olbrzymie bochny chleba ze spaloną na węgiel skórką.

Chłopska droga, wiodąca z pokolenia na pokolenie po szczeblach drabiny społecznej, działała mi zawsze na wyobraźnię.

Po drugiej stronie Alei Słowackiego, pod numerem 52, więc niemal naprzeciw mojego domu, mieszkał prof. Stanisław Pigoń. Nigdy go nie poznałem i nikt mi go nigdy, choćby z daleka, nie pokazał. Dzieciństwo Pigonia minęło u schyłku XIX w., we wsi Kombornia koło Krosna. Mieszkał on wówczas w kurnej chacie, chodząc w niej zgięty wpół, by uniknąć ścielącego się w izbie dymu. Rozpocząłem studia polonistyczne, gdy Pigoń jeszcze żył – zmarł dwa miesiące później. Również więc jego obecność świadczyła o wciąż w Krakowie trwającej bliskości wsi. A dla mnie było ważne i to, że Pigoń – młodszy o ćwierć wieku od Kasprowicza – powtórzył swym życiem jego drogę. Choć tylko u autora „Hymnów" dostawałem wszystko naraz: chłopskość i Tatry, religię i Młodą Polskę.

Dziś rzadko już zaglądam do tej twórczości. Przeczytałem ją kiedyś całą, niektóre wiersze znam nadal na pamięć. Tak jak „Modlitwę wędrownego grajka", od której przed laty zaczęła się moja przygoda z Kasprowiczem.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 046ebcf937

O czym są izraelskie wybory?

W narracjach podczas kampanii wyborczej w Izraelu dominują sprawy wewnętrzne

Jakub Katulski

Szósty rząd Beniamina Netanjahu zostanie zapamiętany nie tylko dlatego, że składa się w dużej mierze z partii prawicowych i prowadzi najdłuższą ciągłą wojnę w historii Izraela, do tego na wielu frontach, i przejmuje kontrolę nad kolejnymi terytoriami (oficjalnie jako tymczasowy środek bezpieczeństwa). To także pierwszy od prawie 40 lat moment, gdy Kneset nie rozwiązał się przed planowanym końcem kadencji.

Ostatni raz było tak w 1988 r., gdy urzędującym premierem był Icchak Szamir, znany w Polsce przede wszystkim za sprawą kontrowersyjnego wywiadu z 1989 r., podczas którego powiedział, że Polacy antysemityzm „wysysają z mlekiem matki". Słowa te, powtórzone przez Israela Katza, p.o. ministra spraw zagranicznych, w 2019 r. wywołały kryzys dyplomatyczny.

27 października Izraelczycy pójdą do urn, by wybrać kolejny rząd. Odchodzący blok Likudu, partii religijnych i skrajnej prawicy, ma obecnie ponad 60 miejsc w 120-osobowym parlamencie, ale utrzymanie tego poziomu może okazać się wyzwaniem. Dzisiaj wielu Izraelczyków oczekuje, by w kraju powstała niezależna komisja, która zbadałaby odpowiedzialność rządu za zaniedbania, które pozwoliły Hamasowi na atak 7 października 2023 r. Temat powstania komisji ciągnął się przez całą kadencję. Atak, w którym zginęło 1,2 tys. Izraelczyków, a 251 uprowadzono do Gazy, określany jest jako największe zaniedbanie bezpieczeństwa narodowego w historii Izraela. To o tyle kuriozalne, że kwestia bezpieczeństwa była tematem, dzięki któremu Beniamin Netanjahu wygrał niejedne wybory.

Opozycja bardzo szybko podniosła kwestię powołania komisji państwowej, lecz rząd Netanjahu do samego końca opierał się przed wzięciem odpowiedzialności za porażkę, jaką poniósł 7 października, i obarczał nią przede wszystkim służby i wojskowych. Ostatecznie jednak w grudniu 2025 r. parlamentarzysta z Likudu Ariel Kallner zaproponował ustawę, na mocy której miałaby powstać komisja mianowana przez ugrupowania polityczne, ale pomysł odrzuciła opozycja, domagając się uruchomienia śledztwa niezależnego od politycznych nominacji.

W połowie lipca Netanjahu poinformował Sąd Najwyższy, że pomimo trwających od grudnia prac, nie uda mu się doprowadzić do głosowania nad ustawą do końca kadencji i zostanie ona ukończona po 27 października. Premier wezwał też sąd do odrzucenia złożonych w ostatnich trzech latach petycji domagających się utworzenia komisji, gdyż – jak podkreślił – zadecydują o tym wyborcy przy urnach.

Zdaniem Netanjahu winę za tę opieszałość ponosi przede wszystkim regulamin Knesetu i inne harmonogramy, nietrudno jednak zauważyć, że przecież prace nad innymi kontrowersyjnymi ustawami trwały, a nawet część z nich udawało się przyśpieszyć. Tak było w przypadku ustaw ograniczających uprawnienia prokuratora generalnego do nadzorowania działań rządu.

Lapid-Bennett po raz drugi

Nadchodzące wybory będą inne od poprzednich także dlatego, że odpowiedzialność rządu za zaniedbania związane z wydarzeniami 7 października będzie najważniejszym motywem kampanii.

Można było to zauważyć już w kwietniu, gdy start pod jednym szyldem ogłosiło dwóch byłych premierów, Jair Lapid i Naftali Bennett, którzy zdecydowali się utworzyć wspólną listę wyborczą pod

eprasa.pl 046ebcf937

Lider partii Demokraci Jair Golan podczas wiecu inaugurującego kampanię wyborczą. Tel Awiw, lipiec 2026 r.

wymowną nazwą BeJachad (Razem). Politycy, którzy tworzyli wspólnie rząd od czerwca 2021 r. do końca 2022 r., podczas konferencji, na której ogłosili fuzję, zapowiedzieli, że kwestia powstania komisji będzie jedną z kluczowych, jeśli uda im się ponownie zbudować rząd. „Po 30 latach nadszedł czas, by pożegnać się z Netanjahu i rozpocząć nowy rozdział", mówił Naftali Bennett na konferencji w luksusowym hotelu w Herclijji, nawiązując do tego, że Netanjahu po raz pierwszy fotel premiera objął w 1996 r. i jest dzisiaj najdłużej urzędującym premierem Izraela w historii.

Bennett, dawny koalicjant Netanjahu, żołnierz, przedsiębiorca i prawicowy polityk, był w 2021 r. pierwszym ortodoksyjnym Żydem, który został premierem Izraela. Stąd jego wizerunek przez lata kojarzył się przede wszystkim z ciemnym garniturem, krawatem i nieodzowną kipą na głowie. Dzisiaj w kampanii uderza w inne tony. Dużo mówi o pracy i naprawianiu, a eksperci od wizerunku ubrali go w dżinsy i T-shirt, zakładając, że w ten sposób lepiej trafi do młodszych wyborców i osób pracujących. W takim stroju w ostatnich tygodniach pokazywał się w niemal każdym wywiadzie telewizyjnym i podczas wystąpień publicznych. Kampania dopiero się rozpoczęła, ale Bennett wraz ze swoją nową partią w wielu sondażach jawi się jako potencjalna trzecia siła w kolejnym Knesecie.

Billboardy na Cyprze

Nowej jakości w kampanii próbuje również Gadi Eisenkot. To były szef sztabu izraelskiej armii, a także minister bez teki w powołanym przez Netanjahu po 7 października rządzie jedności narodowej, z którego odszedł po kilku miesiącach, rozczarowany przedłużającą się wojną w Strefie Gazy. Eisenkot jest stosunkowo nową twarzą w polityce. W ławach Knesetu zasiadł po wyborach w 2022 r., w których kandydował z ramienia koalicji HaMchane HaMamlachti (Obóz Państwowy), prowadzonej przez jego kolegę po fachu Beniego Ganca, w przeszłości także szefa sztabu Cahalu.

Eisenkot, obecnie przewodniczący partii Jaszar (Naprzód), stosuje zaskakującą metodę, która wzbudziła niemałe kontrowersje na Cyprze. Przybywający na wyspę Izraelczycy witani są billboardem z twarzą Eisenkota, który życzy im miłego pobytu. Na odwrocie billboardu, adresowanym do Izraelczyków kierujących się na lotnisko, można przeczytać: „Bawiliście się dobrze? Teraz wracajcie i zwyciężmy!".

Billboardy te oburzyły cypryjskiego europarlamentarzystę Fidiasa Panajotu, który przy tej okazji zauważył, że coraz częściej w jego kraju pojawiają się reklamy w języku hebrajskim zachęcające Izraelczyków do zakupu nieruchomości. „To po prostu nie w porządku. Musimy bronić suwerenności Cypru", napisał Panajotu 26 lipca na portalu X.

Choć kampania może oburzać mieszkańców greckiego Cypru, skutecznie wywołuje dyskusje także w Izraelu. Dla Eisenkota to na pewno

Odpowiedzialność rządu za zaniedbania związane z wydarzeniami z 7 października 2023 r. będzie najważniejszym motywem kampanii wyborczej.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 046ebcf937

korzystne, bo dzisiaj wyrasta na najpoważniejszego konkurenta Netanjahu, a wiele sondaży sugeruje, że jego ugrupowanie okaże się po wyborach zwycięzcą. Były wojskowy obiecuje, że jako premier skupi się na zjednoczeniu narodu i rozliczeniu odpowiedzialnych za 7 października, m.in. poprzez natychmiastowe uruchomienie komisji.

Ani słowa o Palestyńczykach

Dwóch głównych konkurentów Netanjahu łączy fakt, że w ich kampaniach praktycznie nie pojawia się wątek politycznego rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Nic w tym dziwnego. Naftali Bennett przez lata był związany z ruchem osadniczym, przewodniczył nawet Radzie Jesza – organizacji reprezentującej interesy żydowskich osiedli na terytoriach palestyńskich. Nazwa Jesza jest akronimem od Jehuda, Szomron, Aza – Judea, Samaria i Gaza – terenów będących w ideologii środowiska ziemiami, których osadnicy Palestyńczykom nie odstąpią. Bennett wielokrotnie też mówił, że jest przeciwny powstaniu niepodległego państwa palestyńskiego.

Eisenkot z kolei jest autorem kontrowersyjnej doktryny wojskowej nazwanej przez krytyków doktryną Dahiji – od przedmieść Bejrutu, gdzie mieściła się siedziba Hezbollahu, które zostały poważnie uszkodzone przez izraelskie wojsko podczas wojny w 2006 r. W raporcie opublikowanym w 2010 r. przez afiliowany przy Uniwersytecie w Tel Awiwie think-tank Institute for National Security Studies Eisenkot argumentował, że jednym z dwóch głównych elementów ofensywnych armii Izraela, dzięki którym ma ona osiągać cel w postaci wydłużania czasu między kolejnymi konfliktami, musi być atakowanie infastruktury państwowej, „aby utrzymać u przeciwnika długotrwałą pamięć o skutkach ataku i odsunąć możliwość podjęcia kolejnych działań na wiele lat. Takie uderzenie miałoby pozostawić przeciwnika ze skumulowanymi stratami, których odbudowa wymagałaby wielu lat".

Echo tych słów łatwo odnaleźć, obserwując zniszczenia pozostawione przez Izraelczyków w Gazie.

Nowa nadzieja lewicy

Niezależnie od tego, kto zostanie premierem, nie należy robić sobie nadziei na przełom w stosunkach z Palestyńczykami. Skład obecnego rządu i popularność prawicowych kandydatów wyraźnie wskazuje, że izraelskie społeczeństwo skręca w prawo, zwłaszcza w młodszym pokoleniu. Niewielką nadzieją w obozie lewicowym jest fuzja Meretzu i Partii Pracy – w wyborach wystartują jako Demokraci. Podczas przemówień inaugurujących kampanię 25 lipca na Placu Rabina w Tel Awiwie (w miejscu, w którym zginął premier Icchak Rabin zastrzelony przez zamachowca ze skrajnej prawicy, sprzeciwiającego się procesowi pokojowemu z Palestyńczykami) politycy, w tym przewodniczący nowego sojuszu Jair Golan (w przeszłości także zastępca szefa sztabu Cahalu), krytykowali osadniczą przemoc na Zachodnim Brzegu i domagali się likwidacji żydowskich osiedli. Według izraelskiej lewicy są one główną przeszkodą na drodze do osiągnięcia pokoju.

Także arabsko-żydowski ruch Omdim BeJachad (Stoimy Wspólnie) w tym roku w Nazarecie, największym arabskim mieście w Izraelu, uruchomił ugrupowanie Makom LeKulanu (Miejsce dla Wszystkich) i zapowiedział start listy, której współprzewodniczyć będzie Rula Daud i Alon Lee-Green. Na inauguracji kampanii nowego ugrupowania nazwano Daud pierwszą Palestynką, która przewodniczyć będzie partii w Izraelu.

O ile Demokraci będą mogli liczyć na 10 miejsc w Knesecie, to Makom LeKulanu najpewniej będzie konkurować o głosy głównie ze Zjednoczoną Listą (sojuszem arabsko-lewicowych partii Hadasz-Ta'al i Balad) i Ra'am (partią odwołującą się do islamizmu), której przewodniczącym jest Mansur Abbas. Pokojowy ruch ma przed sobą trudną drogę i niewiele wskazuje na to, by był w stanie przekroczyć wynoszący 3,25% próg wyborczy, uprawniający do wejścia do Knesetu.

Podzielony obóz anty-Netanjahu może też mieć słabą zdolność koalicyjną, zwłaszcza że składa się z ugrupowań o zupełnie niekompatybilnych wizjach na przyszłość Izraela i jego społeczeństwa. I to właśnie dla Netanjahu jest najważniejszym elementem strategii. Nawet jeśli w wyborach nie zwycięży jego ugrupowanie, to właśnie jemu prezydent może powierzyć misję stworzenia rządu.

Jakub Katulski

eprasa.pl 046ebcf937

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Zdrowie bez zysku albo zysk bez zdrowia

To, że z polską ochroną zdrowia jest źle, wydaje się ewidentne. Ale mniej jasna jest przyczyna. Najczęściej mówi się o braku pieniędzy. Z pewnością to racja. W tym kontekście niedawne obniżenie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców zakrawa na absurd. Co tu kryć, absurd zgodny z nastawieniem cechującym całą naszą klasę polityczną, która od początku transformacji dba przede wszystkim o interes przedsiębiorców, mając w nosie los pracowników najemnych, choć to oni de facto utrzymują całe państwo (vide system podatkowy).

Gdy jednak pominiemy sprawę finasowania, pozostaje pytanie o głębszą przyczynę kłopotów. Moim zdaniem wiąże się ona z polskim zaczadzeniem ideologią wolnorynkową. Towarzyszy nam ono od początku transformacji. Nie potrafimy się z niego otrząsnąć, choć wszystko wskazuje na to, że byłoby to z korzyścią dla ogółu. Teza moja jest następująca: wpuszczenie rozwiązań rynkowych do ochrony zdrowia przyczyniło się do jej fundamentalnych kłopotów. I nie idzie nawet o to, że obok systemu państwowej ochrony zdrowia mamy system prywatnej ochrony zdrowia, ale o to, że ów system państwowy działa jak prywatny. Logika i tu, i tam jest identyczna: walka o pieniądze i nastawienie na zysk. To jest skądinąd sedno neoliberalnej rewolucji, z jaką mamy do czynienia na świecie od początku lat 80. XX w.: spowodować, aby nawet te fragmenty praktyki społecznej, które z zasady nie nadają się do urynkowienia, zostały urynkowione. Dotyczy to przede wszystkim ochrony zdrowia, transportu publicznego i edukacji (jako dziekan wydziału nigdy nie rozumiałem, co to znaczy, że wydział ma wypracować zysk).

Wolny rynek sprawdza się tu i ówdzie (np. w handlu), ale nie wszędzie. Z pewnością nie tam, gdzie w grę wchodzą tzw. usługi publiczne. Jak bowiem wycenić ludzkie zdrowie? Jak wprowadzać zasadę rynkowej rywalizacji do świata usług publicznych, które domagają się współpracy, a nie konkurencji? To przecież absurd. W tym sensie absurdem są wszelkie wyceny usług zdrowotnych, których z takim uporem trzymamy się do wielu lat. Każda ich zmiana wywoływała efekty zgodne co prawda z rynkowym systemem bodźców (pieniądze i ceny), ale sprzeczne z interesem pacjentów i zdrowym rozsądkiem: gwałtowne przestawienie całego systemu na tory zysku z tego, co najwyżej wycenione.

A co z tym, co wycenione niżej? Marginalizowane i zaniedbane marniało (np. psychiatria). Gdy decydenci zauważali, że coś jest nie tak, rewitalizowali to, co zmarniałe, poprzez zmianę sytemu wyceny. Ale wtedy zaczynało marnieć to, co najpierw rozkwitło. I tak w kółko. Ta absurdalna gra toczy się w Polsce od lat i nikt nie wie, jak wyjść z tego zaklętego kręgu. A wyjście jest tylko jedno: porzucić opcję rynkową w ochronie zdrowia i przestawić działanie systemu z logiki wycen i kosztów na logikę potrzeb. Ukrócić rozwinięty system żerowania prywatnej ochrony zdrowia na państwowej, polegający m.in. na tym, że korzysta się z zasobów materiałowych (szpitale, przychodnie itd.) i ludzkich (lekarze i pielęgniarki) tej drugiej, aby ciągnąć zyski w tej pierwszej. Zastopować pełzającą prywatyzację ochrony zdrowia. Lekarze powinni pracować na etatach, a nie na żadnych kontraktach; powinni bardzo dobrze zarabiać, ale nie powinno im się pozwalać na dodatkowe zajęcia. Prywatne spółki, które obsiadły nasze szpitale, powinny zostać z nich usunięte. Karetki pogotowia powinny ponownie stać się elementem państwowej ochrony zdrowia, a ta nie może być podmiotem, który je tylko wynajmuje.

Odrynkowienie ochrony zdrowia powinno nastąpić szybko i radykalnie.

Ktoś powie, że to powrót do komuny. Nie, to powrót do rozwiązań europejskich, które w wielu krajach się sprawdziły. Odwrót zaś od rozwiązań amerykańskich, które nigdzie się nie sprawdziły, nawet w USA (kiepska ochrona zdrowia przy ogromnych nakładach – 16% PKB i marne efekty). Odrynkowienie ochrony zdrowia powinno nastąpić szybko i radykalnie. Jeśli ktoś z personelu (lekarze, pielęgniarki) nie będzie chciał się z nim pogodzić, powinien szukać zatrudnienia w prywatnym sektorze. Zabrnęliśmy za daleko, żeby się bawić w kosmetykę systemu, trzeba go generalnie zmienić.

Jednak, jak znam życie, żadnych głębokich zmian nie będzie. Platforma Obywatelska jako dziedziczka Unii Wolności to partia wolnorynkowa, może nie tak radykalna w swojej miłości do kapitalizmu jak Konfederacja, ale jednak. Będzie zatem szukała rozwiązań w klajstrowaniu systemu, który na naszych oczach się rozpada jako kolejna ofiara dzikiego kapitalizmu (w kolejce czeka już edukacja). Trudniej będzie porzucić wolnorynkowe dogmaty, niż ratować w ochronie zdrowia, co się da. Pokazuje to, jak kilkudziesięcioletnie pranie mózgów, które nam zafundował nasz rodzimy wariant neoliberalizmu, dogłębnie naznaczyło nasze myślenie. Wolimy pójść na dno razem z rynkiem kapitalistycznym, niż ocaleć, ale bez niego. Róbmy tak dalej, a owo dno pokaże się nam szybciej, niż myśleliśmy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 046ebcf937

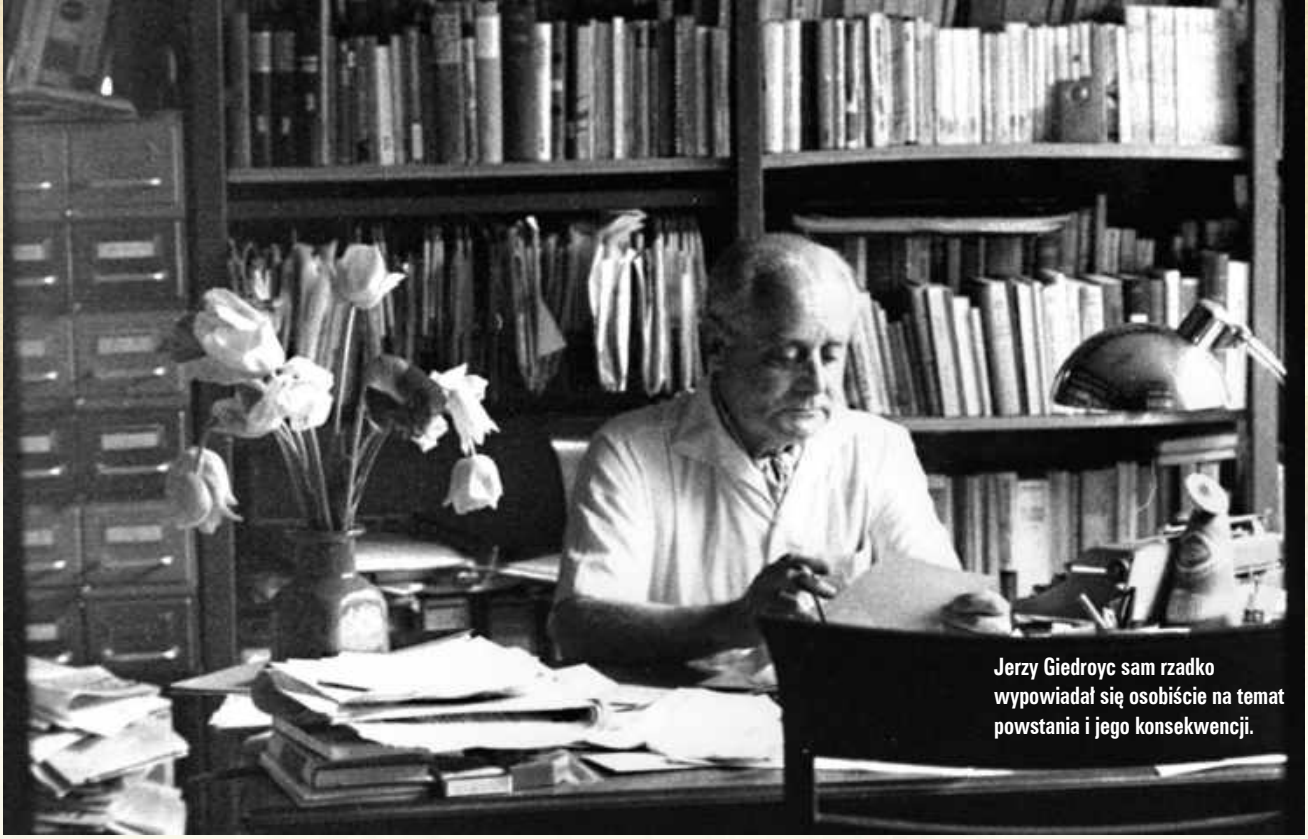

Jerzy Giedroyc sam rzadko wypowiadał się osobiście na temat powstania i jego konsekwencji.

Jerzy Giedroyc i środowisko Instytutu Literackiego w Paryżu o powstaniu warszawskim

Krzysztof Wasilewski

Zgodnie z decyzją Senatu 2026 został ustanowiony Rokiem Jerzego Giedroycia. Chociażby z tego powodu warto przyjrzeć się, jak o powstaniu warszawskim pisali jego współpracownicy na łamach „Zeszytów Historycznych". Było to bowiem czasopismo, które nawet zdaniem IPN, „okazało się trwałym i ważnym dla wiedzy o dziejach Polski w XX w. forum dyskusji i prezentacji naukowej".

Na początek przywołajmy fragment tekstu Jacka Trznadla „Powstanie warszawskie. Hamlet historii", opublikowanego w „Zeszytach Historycznych" w 1988 r.:

„Powstanie warszawskie jest jednym z podstawowych zworników najnowszej historii Polski. Jest największą przegraną bitwą w dziejach Polski w ogóle, ostatnim aktem klęski narodu w czasie okupacji hitlerowskiej, klęską zadaną przez upadającego już wroga. Uległo zniszczeniu jedno z największych miast Europy. Warszawa jest też jedyną stolicą zniszczoną całkowicie. Liczba ofiar cywilnych powstania w Warszawie przewyższyła dwukrotnie liczbę ofiar Hiroszimy, a dodana do wcześniejszej liczby ofiar eksterminacji ludności żydowskiej Warszawy, podnosi do 50% zagładę ludności miasta. Zginęła w nim elita młodzieży polskiej, a także elita polskiej inteligencji. Uległy zagładzie archiwa, a w nich bezcenne rękopisy niewydanych utworów literackich, biblioteki, dzieła sztuki, nie mówiąc już o architekturze i substancji miasta".

Chociaż sam Trznadel nie brał bezpośredniego udziału w powstaniu – jako 14-latek przebywał w tym czasie w Krakowie – samo to wydarzenie wywarło na nim duży wpływ. W odpowiedzi na wybuch powstania Niemcy 6 sierpnia zorganizowali w jego mieście brutalną łapankę. Później nocne niebo nad Wawelem rozświetlały reflektory polujące na alianckie samoloty lecące z pomocą walczącej Warszawie. W kolejnych miesiącach „powstały pierwsze stereotypy, wyrosłe z okrutnej rzeczywistości", czyli barykady, butelki z benzyną, w końcu też sama „tragedia stolicy". Z tego powodu, jak pisał autor „Hańby domowej", „powstanie stało się urazem także dla tych, którzy nie byli wtedy w Warszawie".

Trznadel był jednym z tych historyków, którzy krytykowali powstanie, a jednocześnie nie powielali narracji narzucanej przez władze PRL. Jak sam przyznawał, „zaczęła we mnie wtedy powoli narastać myśl, że ocena powstania jako błędu – pozornie

FOT. IPN

eprasa.pl 046ebcf937

po myśli komunistycznej propagandy – może być właśnie skierowana przeciw historiografii i myśli politycznej historyków realnego socjalizmu. Że mianowicie unikając powstania, można było ocalić wiele sił także do walki z komunizmem". Podobny realizm przyświecał wielu osobom z kręgu Giedroycia.

Realizm w ocenie

Naturalnie na łamach „Zeszytów Historycznych" (a także „Kultury") pojawiały się głosy odmienne, podobne do obecnie dominujących w krajowej debacie o powstaniu. Jednak i te wypowiedzi nie negowały ogromu strat ludzkich i materialnych wynikających na równi z brutalnej pacyfikacji zrywu przez Niemców, jak i z nieprzemyślanej decyzji o jego wywołaniu.

Jako ilustracja takiego stanowiska może posłużyć tekst Władysława Bartoszewskiego, opublikowany w „Zeszytach Historycznych" z 1984 r. Mimo podkreślenia bohaterstwa powstańców i ludności cywilnej autor zdawał sobie sprawę z konsekwencji druzgocącej porażki konfrontacji z Niemcami. Bartoszewski sprzeciwiał się także porównywaniu powstania warszawskiego z próbami wyzwolenia Paryża czy Pragi, które to stolice znajdowały się wówczas w zupełnie odmiennej sytuacji geostrategicznej:

„Tak więc nie zagadnienie prawa czy bezprawia decydowania o własnym losie czy walki własnymi siłami o własną stolicę, ale zagadnienie innych konfiguracji dużo bardziej skomplikowanej natury jedynie może tłumaczyć przykładanie innej miary do naszych praw, a innej miary do praw innych walczących w innych krajach w gruncie rzeczy o te same swobody decyzji". Tymczasem wielu rodzimych apologetów powstania zapominało – i nadal to robi – o tej istotnej różnicy.

W 1964 r., z okazji 20. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego, „Zeszyty Historyczne" poświęciły temu wydarzeniu kilka tekstów, w tym jeden autorstwa Witolda Babińskiego, adiutanta gen. Kazimierza Sosnkowskiego w latach 1940-1944. Jak podkreślał w swojej relacji, „Naczelny Wódz reprezentował konsekwentnie pogląd, że do powstania nie należy dopuścić, o ile nie ma odpowiednich warunków politycznych i gdy ta najwyższa ofiara nie może przynieść Polsce odpowiednich korzyści. Dlatego też wszelkie wypowiedzi Naczelnego Wodza na temat ewentualnego powstania nacechowane były niezwykłą ostrożnością, zwłaszcza wobec zjawiających się tendencji załatwienia tych spraw, dla nas tak istotnych, pod kątem obcej racji stanu".

Jak wiadomo, żadne warunki postawione przez gen. Sosnkowskiego nie zostały spełnione przed 1 sierpnia 1944 r. Z tego też powodu, podkreślał Babiński, „tylko najbardziej złośliwa interpretacja jest w stanie w treści punktu 5. dyrektyw Naczelnego Wodza dopatrzyć się zezwolenia na angażowanie się w operacje szersze aniżeli walki z oddziałami tylnymi niemieckich straży tylnych".

Kilkanaście lat później, w 1978 r., na łamach „Zeszytów Historycznych" swoją ocenę powstania warszawskiego wyłożył Jan Ciechanowski. Jako pretekst posłużył mu opublikowany przez Studium Polski Podziemnej w Londynie zbiór dokumentów dotyczących walk w stolicy w sierpniu-październiku 1944 r. Historyk, a jednocześnie weteran powstania, dowodził na łamach czasopisma, że „ze zbioru jasno wynika, że powstanie, zgodnie z założeniami jego autorów, miało dokumentować naszą wolę walki z Niemcami, zmobilizować całe społeczeństwo do antysowieckiej kampanii politycznej oraz zachęcić Anglosasów do udzielenia nam pełnego poparcia. Niestety, dokumenty nic nam nie mówią, na czym Bór-Komorowski i jego najbliżsi doradcy opierali swoją wiarę w pomoc zachodnich aliantów, szczególnie że z depesz, jakie otrzymywali z Londynu w pierwszej połowie 1944 r., powinni byli wiedzieć, że Churchillowi i Rooseveltowi niezmiernie zależało na współpracy ze Stalinem i skłonieniu Polaków do ustępstw terytorialnych i politycznych wobec Sowietów".

Co ważne, Ciechanowski piętnował nie tylko decyzję o wywołaniu powstania, ale także nieporozumienia na linii rząd RP w Londynie – wódz naczelny, w konsekwencji których zrzucano odpowiedzialność za decyzję na władze krajowe:

„Zbiór jeszcze raz w całej pełni pokazuje, jak zabójczy dla Polski był brak harmonijnej współpracy między Premierem i Naczelnym Wodzem, który powodował, że o najważniejszych kwestiach decydowali ludzie w kraju, którym brak było do tego odpowiedniego przygotowania i zrozumienia międzynarodowej sytuacji Polski, i którzy ulegali w dużej mierze niepohamowanemu pędowi do walki. W tym czasie wola walki, odwaga i patriotyzm w konwencjonalnym jego znaczeniu już nie wystarczały".

Ocena gen. Tatara

Przez pół wieku obecności w emigracyjnej i krajowej debacie historycznej „Zeszyty" poświęciły kwestii powstania warszawskiego sporo miejsca. Autorzy publikowanych tam tekstów niestrudzenie wracali do pytania o zasadność podjęcia walki z niemieckim okupantem przy tak dużej dysproporcji w wyszkoleniu i uzbrojeniu. Jednak obok opracowań historycznych chętnie drukowano również relacje, wycinki prasowe oraz materiały źródłowe. W numerze 72. z 1985 r. opublikowano list gen. Stanisława Tatara sprzed 16 lat, w którym ten dzielił się spostrzeżeniami na temat powstania warszawskiego. Jako jeden z autorów akcji „Burza", Tatar bez wątpienia miał bliski wgląd w prace nad przygotowaniem do walk o wyzwolenie stolicy. Według jego oceny była to „operacja chybiona, z góry skazana na niepowodzenie – jako źle zarządzona na skutek złej oceny położenia oraz złego wyboru dnia i godziny rozpoczęcia".

Wśród błędów, które Tatar zarzucał miejscowemu dowództwu, znalazły się niedocenienie niemieckich sił w Warszawie i okolicy, nieumiejętność zaskoczenia wroga, a zwłaszcza brak uzgodnienia działania z polskimi władzami w Londynie. Mimo powojennych kontrowersji związanych z postawą gen. Tatara ze względu na jego bezpośredni wpływ na ówczesne decyzje trudno zlekceważyć te słowa.

Pośród dokumentów zamieszczanych przez „Zeszyty Historyczne" znalazły się i takie, które ze względu na kontrowersje z nimi związane rzadko kiedy publikowano gdzie indziej.

eprasa.pl 046ebcf937

Przykładem może być tłumaczenie „Sprawozdania końcowego gubernatora Dystryktu Warszawskiego Gruppenführera SA dr. Ludwiga Fischera do General-gubernatora Ministra Rzeszy dr. Franka", w opracowaniu emigracyjnego historyka Pawła Korca. Pomijając niemiecką perspektywę przebiegu powstania i zachowania hitlerowskich wojsk podczas jego pacyfikacji, warto zwrócić uwagę na polityczną ocenę zrywu. Rzadko pojawiały się one w polskiej dyskusji nad powstaniem, tym bardziej warto je przywołać:

„Fakt, że ludność polska w ogromnej większości ma nastawienie antybolszewickie, został przez powstanie w Warszawie jeszcze raz potwierdzony. Jest również oczywiste, że Polacy czują się obecnie zdradzeni przez Anglię i że nie stawiają więcej na obietnice angielskie. Polacy czują się w tym stanie rzeczy całkowicie opuszczeni. (…) Przygnębienie spowodowane klęską, a zwłaszcza uczucie ludności polskiej, że została opuszczona i zdradzona przez wszystkich sojuszników, daje nam jeszcze raz szansę spacyfikowania obszaru Wisły na drodze dalekowzrocznej, mądrej polityki i zgodnie z niemieckimi kierowniczymi aspiracjami".

Po przełomie 1989 r.

„Zeszyty Historyczne" kontynuowały działalność także po przełomie 1989 r., a nawet – przez pewien czas – już po śmierci Jerzego Giedroycia. Szczególnie w pierwszej dekadzie transformacji ustrojowej teksty publikowane na ich łamach wprowadzały świeży powiew do krajowej debaty nad powstaniem warszawskim. I tak w numerze 105. z 1993 r. Tadeusz Wyrwa przybliżał doniesienia i oceny prasy francuskiej publikowane w trakcie powstańczych walk, a także pokazać miejsce sierpniowego zrywu w tamtejszej historiografii. Jak można było się przekonać, rodzime wyobrażenia o jednoznacznie pozytywnej recepcji powstania w zachodniej prasie rozmijały się z prawdą.

Wśród licznych cytatów z ówczesnych gazet przywołanych przez emigracyjnego historyka znalazł się i ten: „Ale musimy stwierdzić z żalem, że tak dzisiaj, jak i w całej historii, kierownicze warstwy Polski niczego się w niedoli nie nauczyły. Dzieje się tak nie z braku inteligencji, gdyż warstwy te mają umysły żywe i subtelne, ale dlatego, że ciągle nie potrafią utrzymać się w granicach poświęceń dla wspólnego dobra".

Z kolei przybliżając fragment książki cenionego znawcy II wojny światowej Henriego Michela, Wyrwa wskazywał dominujący we francuskiej historiografii pogląd, że rozpoczynając walki z Niemcami w Warszawie w 1944 r., Polacy „ulegli romantycznej tradycji bohaterstwa i historycznej woli zapewnienia, w każdych okolicznościach i za wszelką cenę, niepodległości Polski. (…) Istotną nauką, jaką wysnuto z Powstania Warszawskiego, jest zgon romantyzmu; era bohaterskich powstań jest skończona".

Inaczej niż rodzime periodyki po 1989 r. „Zeszyty Historyczne" chętnie udostępniały łamy wspomnianemu Janowi Ciechanowskiemu. Jego opracowania od dawna znano w krajowej i emigracyjnej historiografii, ale ze względu na ich krytyczny wydźwięk pomijano je w publikowanych syntezach. Szczęśliwie emigracyjny profesor nie zamierzał poddawać się obowiązującej wykładni, składającej fakty na ołtarzu mitu patriotycznego. Niestrudzenie podkreślał, że powstańcy „szli do walki bez szaleńczego entuzjazmu", lecz przede wszystkim z „poczucia żołnierskiego obowiązku".

W tekście w numerze 129. z 1999 r. Ciechanowski przypominał o tragicznych konsekwencjach braku broni, którą – zgodnie z rozkazem dowództwa – młodzi powstańcy mieli zdobyć sami. Remedium na brak uzbrojenia warszawscy generałowie widzieli w „furii pierwszego ataku", mającego zaskoczyć Niemców i wyrównać szanse. Tymczasem – powtarzając słowa gen. Andersa – Ciechanowski wskazywał, że „gdy brakuje broni, nie daje się rozkazu do natarcia". Historyk traktował decyzję o rozpoczęciu powstania nie tylko jako nieprzemyślaną, ale sprzeczną z ówczesnym stanem wiedzy. Nie mógł zatem inaczej ocenić sierpniowego zrywu niż jednoznacznie krytycznie:

„Pokrótce, w ówczesnych warunkach politycznych i militarnych, Powstanie nie miało większych szans powodzenia, gdyż Niemcy byli zdecydowani je zdławić i utopić w morzu krwi, a Stalin wolał, aby Niemcy rozprawili się z niewygodnymi dla niego Polakami. W tej sytuacji Powstanie stało się »podarkiem« zarówno dla Hitlera, jak i Stalina, którego skutki trwają niestety do dziś. W czasie Powstania straciliśmy najofiarniejszą i najlepszą część stołecznej młodzieży, a Warszawa uległa chwilowej zagładzie".

Była to „operacja z góry skazana na niepowodzenie – jako źle zarządzona na skutek złej oceny położenia oraz złego wyboru dnia i godziny rozpoczęcia".

Przeciw mitologizacji

Sam Jerzy Giedroyc rzadko wypowiadał się osobiście na temat powstania i jego konsekwencji. Podobnie jak w innych sprawach swoje poglądy najczęściej przedstawiał za pośrednictwem innych, udostępniając im łamy swoich wydawnictw. Nie ulega wątpliwości, że środowisko skupione wokół Instytutu Literackiego w Paryżu prezentowało zdystansowany stosunek do sierpniowego zrywu, krytykując nie poświęcenie powstańców i ludności cywilnej, ale przede wszystkim tych, którzy zdecydowali o jego wywołaniu. Co ważne, wiele tekstów pisali ludzie, którzy sami brali udział w walkach w stolicy lub z bliska je obserwowali. Tworzyło to niezwykle cenną perspektywę, choć w kraju wciąż pomijaną i lekceważoną, szczególnie po 1989 r.

Mimo trwającego Roku Giedroycia nic nie wskazuje na to, aby coś w tej sferze się zmieniło. Chociażby z tego powodu warto przypomnieć autorów i ich teksty publikowane przez „Zeszyty Historyczne" jako swego rodzaju przeciwwagę dla trwającego od dekad procesu mitologizacji i infantylizacji powstania warszawskiego.

Krzysztof Wasilewski

eprasa.pl 046ebcf937

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Powroty Odyseusza

Wejście do kin najnowszej megaprodukcji Christophera Nolana „Odyseja" niesie jakieś zaskakujące ożywienie komentarzy, odnowienie i kontynuację dawnych sporów. Monumentalne dzieło europejskiej kultury sfilmowane w XXI-wiecznej technologii IMAX staje się nowym impulsem kulturowej fascynacji, źródłem wielkich debat i rodzinnych rozmów. Każdemu dziełu można by życzyć podobnej recepcji.

Liczący kilka tysięcy lat epos starogrecki, powstały jako dzieło recytowane, najprawdopodobniej autorstwa kogoś nazywanego Homerem, który był i skromny, i niepiśmienny, jest – szczególnie w naszej dobie – zarówno dziełem znanym, jak i nieczytanym. Komentowany i tłumaczony na nowo przez setki lat utwór jest (w kontekście europejskim) jednym z filarów kultury – ale raczej jednak jej zabytkiem niż żywym pretekstem do rozmowy. Historia recepcji filmu Nolana pokazuje jednak, jak nowy język sztuki potrafi wskrzesić dzieło dzisiaj niemal nieodbieralne dla większości w swojej tradycyjnej formie (pismo, tekst) i dać mu nowe życie. Również dzięki powrotowi do jego lektury i lektury innych książek opisujących historię Odysa.

W Polsce ukazała się właśnie solidna i obszerna (ponad 500 stron) monografia prof. Marka Węcowskiego „Homer na nasze czasy". Trudno sobie wyobrazić lepszy moment na pojawienie się takiego tytułu w księgarniach. Książka zasłużenie cieszy się sporym zainteresowaniem. I oby tak dalej.

Wracając do wersji filmowej: wielość głosów, w tym krytycznych, pokazuje niekiedy zaskakujące oblicza dzisiejszego odbioru dzieła (zarówno filmu, jak i tekstu). Jedną z najszerzej dyskutowanych decyzji obsadowych było powierzenie roli Heleny czarnoskórej aktorce Lupicie Nyong'o czy roli Ateny – Zendayi, najmłodszej laureatce nagrody Emmy. Dla mnie ta dyskusja to oczywiście próba rasistowskiego zawłaszczenia starożytnej historii przez europejską wersję „białego człowieka". Nolan tymczasem przywraca homerycki epos całemu dzisiejszemu zglobalizowanemu światu. Dla wymowy filmu czy jego dramaturgii nie ma to oczywiście żadnego znaczenia. W dyskusjach i krytykach szczególarzy pojawiają się fetysze rekonstrukcyjnych formalistów poddających krytyce pokazane w filmie modele zbroi czy hełmów nieadekwatne do realiów epoki. Inni krzywią się na detale konstrukcyjne okrętów Odyseusza czy liczbę stanowisk wiosłowych. Ale co z tego ma wynikać?

Dużo potężniejsze działa wytoczono przeciw koncepcji reżyserskiej, która bogom greckim odbiera znaczącą rolę. Pamiętam, z jaką przyjemnością czytałem adaptację eposu autorstwa włoskiego pisarza Alessandra Baricca „Homer, Iliada" (w tłumaczeniu Haliny Kralowej), gdzie autor, zamierzając przybliżyć dzieło współczesnym czytelnikom, całkowicie pozbył się bogów z tekstu. Tłumaczył to tak: „Usunięcie bogów z Iliady prawdopodobnie nie jest dobrym systemem rozumienia cywilizacji homeryckiej, ale wydaje mi się optymalnym systemem do odzyskania tej historii, wprowadzenia jej w orbitę współczesnych narracji".

Cóż, wydaje mi się, że Nolan dokonał (co uważam za słuszne i skuteczne) podobnego zabiegu w swojej wersji „Odysei". Tym bardziej że przy pisaniu scenariusza posiłkował się lekturą nowego i pierwszego pełnego tłumaczenia „Odysei" na język angielski, autorstwa Emily Wilson, która język eposu uprościła i „wyprostowała" pod kątem feministycznej wrażliwości. Ku pożytkowi… i oczywiście radykalnej krytyce konserwatystów i skrajnej prawicy, upajających się wymiarem maczystowskiej przemocy obecnej w obu poematach Homera. Sam Nolan raczej nieudolnie i w ograniczony sposób maluje postaci kobiece w filmie, pozbawiając ich także obecnych u Homera elementów żywiołowej zmysłowości i erotyzmu.

Wspomniany prof. Węcowski mówi: „Homera można czytać na dwa sposoby. Pierwszy jest historyczny: próbujemy zrozumieć go w realiach jego epoki, niezależnie od tego, jak oceniamy historyczność świata przedstawionego w eposach. Drugi sposób jest równie ważny. Wielkie dzieła klasyczne żyją własnym życiem przez stulecia i w różnych epokach przemawiają do nas, na nowo opowiadając o naszych własnych doświadczeniach znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy". I dalej o „Iliadzie", za Simone Weil, która doświadczała wojny i jednocześnie rozliczała własny, przedwojenny pacyfizm, pisze tak: „Jej pytanie nie brzmi: jak uniknąć wojny. Raczej: co wojna robi z człowiekiem i dlaczego tak łatwo zamienia ludzi w narzędzia przemocy?".

Odpowiada mi interpretacja, że nolanowska „Odyseja" jest nie tyle opisem wojownika, żołnierza (zbrodniarza wojennego!) dotkniętego PTSD, ile realną opowieścią o konsekwencjach skrajnej przemocy wojennej, która zadaje fundamentalne pytania o prawomocność, słuszność, konieczność i potrzebę wojennej formy rozwiązywania konfliktów – co jest ewidentnie wyzwaniem XXI w. I w tym znaczeniu jest Odys bohaterem na wskroś współczesnym.

Piszę to w momencie, kiedy Gaza wciąż płonie i umiera z głodu, pragnienia, ginie od bomb, a w Polsce odbywa nie tyle upamiętnienie bohaterskich żołnierzy i żołnierek powstania warszawskiego, ile jego nacjonalistyczne przejęcie w dymach kibolskich rac. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 046ebcf937

Fascynują mnie mitochondria

Polski Nobel za wybitne osiągnięcia w dziedzinie biologii molekularnej i komórkowej

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

PROF. AGNIESZKA CHACIŃSKA
– dyrektorka Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN (IMol PAN)

Polska Akademia Nauk po raz pierwszy przyznała pani za wybitne osiągnięcia naukowe znaczącą nagrodę finansową w wysokości 400 tys. zł, którą nazywa się polskim Noblem. Na co pójdą te pieniądze?

– Są do indywidualnego wykorzystania. W polskiej nauce często słyszy się narzekania na zarobki, więc taka nagroda daje po prostu większe możliwości i pozwala uniknąć presji finansowej. Bardzo się z niej cieszę. Dobrze, że i Polska ma taką nagrodę – na świecie jest bardzo dużo różnych nagród naukowych w różnych kategoriach. Liczę na to, że po tej pierwszej PAN będzie przyznawać regularnie kolejne zaszczytne wyróżnienia wraz z bardzo ładną, specjalnie zaprojektowaną statuetką.

Instytut IMol PAN ma charakter międzynarodowy. Czy znajduje to odzwierciedlenie w obsadzie pracowników?

– 50% zatrudnionych w PAN nie ma polskich paszportów. W naszej Radzie Naukowej działa m.in. amerykański biolog molekularny polskiego pochodzenia Victor Ambros, który stara się o polskie obywatelstwo. Razem z Garym Ruvkunem był współlaureatem Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w 2024 r. W 2014 r. był jednym z laureatów Nagrody Wolfa w dziedzinie medycyny. Mamy wśród stuosobowej załogi osoby z ponad 20 krajów, nawet z Indii. Czują się u nas dobrze, robią doktoraty, prowadzą badania i zostają liderami grup. Instytut IMol PAN, dokonując rekrutacji nowej kadry, wybiera najlepszych naukowców na wszystkich poziomach, w tym zwłaszcza na poziomie liderów grup. Nasz rada jest bardzo zaangażowana w ten ostatni proces.

Współczesne prace badawcze w biotechnologii są bardzo kosztowne. Początkowo programy te realizowaliście w ramach Centrum Nowych Technologii Uniwersytetu Warszawskiego. I były na to pieniądze.

– Wraz z koleżanką, a potem wicedyrektorką IMol zdobyłyśmy grant Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawcze ze środków Unii Europejskiej. Dostałyśmy prawie 40 mln zł na utworzenie programu ReMedy (Regenerative Mechanisms for Health). Teraz w instytucie PAN kontynuujemy prace, przenieśliśmy część aparatury zakupionej z grantu i nadal uzupełniamy nasze wyposażenie. Ale to był początek. Teraz wszystkie badania w instytucie są prowadzone w ramach grantów polskich, głównie z Narodowego Centrum Nauki, i europejskich. Trzeba

Prof. Agnieszka Chacińska – biolożka molekularna, zajmuje się biochemią komórek oraz molekularnymi aspektami biologii komórki, szczególnie biogenezą, transportem i degradacją białek mitochondrialnych oraz ich nieprawidłowym funkcjonowaniem prowadzącym do patologii. Członkini Europejskiej Organizacji Biologii Molekularnej Academia Europea, Niemieckiej Akademii Przyrodników Leopoldina.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 046ebcf937

pamiętać, że subwencje państwowe na takie badania nie są i nie powinny być wystarczające. Granty jako konkursy – o ile procedura selekcji zwycięzców jest prawidłowa – działają dużo lepiej, bo podnoszą poziom nauki. Instytut musi więc zabiegać o finansowanie, zwłaszcza gdy jego celem jest rozszerzanie wiedzy, i na tak wczesnym etapie nie może zaoferować praktycznego, a tym bardziej rynkowego spożytkowania swoich osiągnięć. Ale najcenniejsi w każdym instytucie naukowym są ludzie. Zdarzało się niekiedy, że obficie płynął strumień strukturalnych funduszy z UE, ośrodki akademickie kupowały sporo drogiej aparatury i… stała ona nawet nierozpakowana, bo zabrakło chęci i wiedzy, jak takie cacka właściwie spożytkować. W IMol PAN na czele grup badawczych stoją silne osobowości naukowe, mamy wystarczające oprzyrządowanie oraz mądrych i chętnych do pracy ludzi z całego świata.

Instytut ma ambicje wykorzystać najnowsze osiągnięcia nauk biologicznych w praktyce terapeutycznej. Obiektem waszego zainteresowania są mitochondria.

– IMol ma szersze zainteresowania naukowe. A mitochondria to obiekt zainteresowań kierowanej przeze mnie grupy naukowej. Śledzimy, co robi „maszyneria komórkowa", na którą składają się także mitochondria, ważna część komórki, elektrownia całego organizmu, zwłaszcza mięśni i mózgu. Stąd żywe ciało czerpie swoją moc.

Choroby, proces starzenia i różne deficyty genetyczne odbierają nam część energii. Można temu przeciwdziałać?

– Nie wszystko da się naprawić i wyleczyć. Są wrodzone błędy w naszym kodzie genetycznym, z tym się rodzimy. Można jednak próbować ograniczyć dysfunkcje, opóźnić czy złagodzić symptomy. Nie bardzo jednak radzimy sobie z leczeniem chorób genetycznych. Zmiany w genomie, czyli kompletnej informacji genetycznej człowieka, zasadniczo nie są dopuszczalne ze względów etycznych. Nowe technologie przejściowych modyfikacji ekspresji genów dają jednak nadzieję. No i oczywiście w przypadku nielicznych chorób genetycznych pozostaje farmakologia wymagająca wielu lat żmudnych badań.

W IMol PAN na czele grup badawczych stoją silne osobowości naukowe, mamy wystarczające oprzyrządowanie oraz chętnych do pracy ludzi z całego świata.

Pomówmy o zasadach etycznych krępujących nieco możliwości poszukiwań naukowych.

– Nie można szperać w genach organizmów ludzkich. Zasady etyczne nie mają takiego znaczenia np. w Chinach, które nie stawiają surowych barier, ściągają też naukowców z całego świata, nie tylko kształconych na Zachodzie Chińczyków. Większość krajów Unii Europejskiej ma dość restrykcyjne przepisy etyczne. Bardziej liberalnie traktuje się zakres badań naukowych w tej sferze w USA czy Wielkiej Brytanii. Być może kraje Unii Europejskiej staną się mniej konkurencyjne w dziedzinie biotechnologicznej. U nas nie można np. pracować nad hodowlanymi embrionalnymi komórkami ludzkimi. Kolejny duży temat to zasady etyki regulujące życie i dobrostan zwierząt laboratoryjnych. Komisje etyki wymagają wglądu i zatwierdzenia wszystkich eksperymentów ze zwierzętami, a trzeba wiedzieć, że żaden nowy lek, czy szczepionka nie może wejść do produkcji bez prób na organizmach żywych. Procedury badawcze są jednak dosyć radykalnie przestrzegane. Nie mówiąc o tym, że trzeba mieć pieniądze na drogie badania na zwierzętach, to do pokonania są jeszcze skomplikowane procedury, bardziej radykalne w przypadku ssaków, czyli np. myszy, mniej – w przypadku pewnego gatunku ryby używanej do badań jako model, danio pręgowanego (*Danio rerio*). Te ryby są dobrym, bo prostym modelem do badań defektów rozwojowych, gdyż ich embriony rozwijają się poza organizmem matki. Znakomicie służą więc do badania zaburzeń rozwojowych mózgu prowadzonych w IMol, takich jak autyzm, pozwalając jednocześnie uniknąć wielkich kosztów. Takie badania nie tylko dostarczają wiedzy o podstawach zaburzeń i chorób, ale także pozwalają na szybsze zidentyfikowanie substancji aktywnych, a więc potencjalnych leków służących terapii osób dotkniętych autyzmem.

Badania na pograniczu biologii i chemii można by również wykonywać na sztucznych koloniach komórek przypominających organy, tzw. organoidach, które coraz częściej są używane w niektórych laboratoriach.

Czy działanie mitochondriów można obserwować?

– Mamy takie obrazy czy inne fragmentaryczne dane dostarczone za pomocą różnych technik. I tak obrazy z mikroskopu elektronowego są statyczne i w zasadzie mówią tylko, jak coś wygląda. Inne metody dostarczają wiedzy dotyczącej np. działania wybranego procesu biochemicznego. Są to jednak dane fragmentaryczne. Największe wyzwanie dla biologii molekularnej stanowi złożenie, jak w układance, wszystkich danych pochodzących z badań biochemicznych, fizycznych czy komórkowych w jedną całość, w różnych skalach oddających cały proces. I tutaj, w integracji rozmaitych danych, może nam pomóc sztuczna inteligencja. Praca naukowców dzięki takim narzędziom będzie się zmieniać, ale człowieka w tym działaniu nikt nie zastąpi. Miejmy nadzieję, że jego rolą nie będzie tylko wykonywanie eksperymentów.

Śledzimy, co robi „maszyneria komórkowa", na którą składają się także mitochondria, ważna część komórki, zwłaszcza mięśni i mózgu.

Współczesne badania nad komórką pokazują pewne zasady

eprasa.pl 046ebcf937

dziedziczenia, w których rola kobiecgo składnika jest ważniejsza od męskiego.

– Tak. Informacja genetyczna, także u człowieka, znajduje się w jądrze komórkowym, ale również w mitochondriach właśnie. Tak jest w komórkach grzybów, ptaków, drzew, zwierząt, całego świata żywego z wykluczeniem bakterii. Każdy człowiek, mężczyzna czy kobieta, dziedziczy genom mitochondrialny jedynie po matce. Ta wiedza jest znana stosunkowo od niedawna, od końca XX w. Mitochondria mamy od naszych mam. Ojcowie swoich nie przekazują potomstwu.

W jednym z ostatnich numerów magazynu „Academia" PAN, pojawił się cykl publikacji „Droga do Nobla". Wspomina się w nich, że osiągnięcia badawcze pani profesor mogłyby być rozpatrywane w kontekście Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny lub chemii.

– To może mieć związek z nagrodą PAN, o której wspomnieliśmy na początku. Choć nie przyznaje się Nagrody Nobla w dziedzinie biotechnologii – jedynie w dziedzinie medycyny, fizjologii i chemii. To bardzo konkurencyjny proces. Prawdą jest, że komisje noblowskie rozsyłają zapytania o nominacje do szerokiego kręgu wybitnych naukowców na całym świecie. Nominowanych jest wiele osób, a dodatkowo średni czas od dokonania jakiegoś odkrycia do decyzji wynosi ok. 20 lat, choć w przypadku nagrody za wynalezienie szczepionki na COVID było to dużo szybciej. Zdobycie Nagrody Nobla to więcej niż zostanie mistrzem świata w sporcie (w którym istnieje wiele dyscyplin). Ogłoszenie laureatów tej najbardziej prestiżowej nagrody naukowej odbywa się każdego roku w październiku i wtedy zainteresowanie całego świata naszą pracą nabiera dynamiki, bo to wielkie święto nauki. Widać więc, że bardzo trudno jest dostać Nagrodę Nobla.

Moją ambicją nie są nagrody, lecz doprowadzenie do konkretnych odkryć w badaniach nad komórkami, które uczestniczą w procesie starzenia się organizmu. Ogromnie fascynuje mnie hipoteza dotycząca tego, jak bardzo procesy komórkowe zachodzące w mitochondriach wpływają na nieprawidłowości w czasie starzenia się mózgu, co prowadzi do schorzeń tak powszechnych jak alzheimer. Niestety, nadal nie ma leku na tę chorobę ani nawet pomysłu, jak łagodzić ten straszny proces degeneracji. Sprawa wciąż jest otwarta i bardzo ważna dla zdrowia, ponieważ dotyka lub dotknie bardzo dużej części populacji. Jest ważna dla całego społeczeństwa, bo żyjemy coraz dłużej, a jednocześnie notujemy niekorzystne zmiany populacyjne, typowe dla starzejących się społeczeństw.

Każdy człowiek, mężczyzna czy kobieta, dziedziczy genom mitochondrialny jedynie po matce.

Bronisław Tumiłowicz
b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 046ebcf937

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Smog

Wracając ze Szwajcarii, dwukrotnie nocujemy po drodze, dzięki czemu zwiedzamy kilka niemieckich miejscowości, w tym Tybingę i Görlitz, chyba najpiękniejsze niemieckie miasto, o którym mało się pisze w przewodnikach, a to tylko półtorej godziny jazdy samochodem z Wrocławia. Miasto puste – nie ma wielu turystów, mieszkańców też coraz mniej i na ogół starsi – wymiera jak całe dawne NRD. Nakręcono tu dziesiątki filmów, bo już stoi gotowa autentyczna scenografia.

W Polsce ulga spożywcza, bo niemal zawsze otwarte są jakieś sklepy, a w Niemczech i w Szwajcarii zamykają się idiotycznie wcześnie. Tam irytujące toalety na postojach i na stacjach benzynowych, bo płatne, gdy u nas darmowe i bywa, że czystsze. Przez tyle lat ku utrapieniu Jerzego Giedroycia, który nie lubił toaletowych tematów, śledziłem w „Kulturze" paryskiej, jak polskie toalety maszerowały do Europy. I doszły. Nasze autostrady nie zostały skazane na remonty, bo są nowe, przez Niemcy – jak poprzednio wspominałem – jeździ się beznadziejnie, ale kultura jazdy jest wyższa. U nas mamy wielu neurotycznych, chamskich kierowców, którzy zachowują się tak, jakby chcieli ciebie lub siebie zabić. Głośne procesy morderców drogowych nic nie pomagają. Wyższe kary za przekraczanie prędkości też niewiele dają. Granice – jakby ich nie było. Nie ma wojowników Bąkiewicza. Wiem, że już tym zanudzam, ale zawsze świeża radość, bo widać, że Polska doskoczyła do zachodniej Europy

•

Katastrofa w PiS to może być najlepsza polityczna wiadomość polskiego roku 2026. Morawiecki wykazał się mocniejszym charakterem i większymi ambicjami, niż go o to podejrzewałem. Ale nie widać rozłamu programowego, może tylko ta różnica, że Morawiecki, kiedy nie kłamie, co mu się rzadko zdarza, nie chce polexitu. A PiS się waha. Trudno nie doceniać tej różnicy. Coraz bardziej bezradny wszechmocny prezes. Może tylko knuć i knuje, zmienia nagle rozstanie z rozłamowcami w ciągnący się zapewne miesiącami prawicowy glut. Cała afera spycha partię tam, gdzie już stoi Czarnek i patrzy łakomie w otwarte ramiona Brauna. Oczywiście jest jeszcze Nawrocki. Ten będzie przed wyborami sklejać prawicę lepkim nacjonalizmem. Polska nadal ma rok, by pokazać, jaki jest stan naszej zbiorowej duszy. Otwierają się nadzieje, ale jest czego się bać.

•

Politolog Jarosław Flis analizuje rozłam w PiS: „Tak się kończy przywiązanie do metody polegającej na rozgrywaniu ludzi, na budowaniu swojej pozycji w ten sposób, że skłóca się wszystkich, a potem staje się ich arbitrem i dzięki temu ma się nad nimi władzę, bo rozstrzyga się ich spory. Ta metoda w krótkiej perspektywie może być skuteczna, ale ma olbrzymie koszty i właśnie dziś PiS je odczuwa. Kosztem jest to, że wielu ludzi po prostu szczerze się nienawidzi. Tak to jest, kiedy się ich wzajemnie na siebie napuszcza – nie buduje się między nimi lojalności, nie wierzy się w porozumienie, tylko w manipulację".

Zgadzam się, to produkcja nienawistników, nienawidzą się nawzajem i nienawidzą swoich przeciwników politycznych. Zarażają tym swoich wyborców i nas, ich oponentów. Wszyscy stajemy się niewolnikami nienawiści.

•

Spotykam się z Justyną M. Przygotowuje w Lublinie do druku moje felietony „Z ukosa", które pisałem jako Smecz do „Kultury" paryskiej od 1990 do 2000 roku, gdy umarł Redaktor i jego pismo (felietony kontynuowałem potem w „Rzeczpospolitej"). Wcześniej, od 1986 r., wysyłałem do tego legendarnego miesięcznika teksty jako Witold Charłamp. Z tych felietonów też jest już gotowa książka, szukam wydawcy. Ta pierwsza, „Z ukosa", to wybór z ponad 800 stron. W rozmowie wspominam swoje spotkania z Giedroyciem. Lubił moje teksty, zagorzały piłsudczyk, jak ja miał alergię na obecną prawicę narodową, pokraczne dziecko przedwojennej endecji. I nie jeden raz w Maisons-Laffitte rozmawialiśmy o polskiej skazie i o tym, jak ogromne to zagrożenie dla naszej przyszłości. Redaktor, wielki pesymista wobec Polski, nie przewidział jednak, że aż tak to się zapaskudzi.

Wszyscy stajemy się niewolnikami nienawiści.

•

Tyle napisano o zbrodni wołyńskiej, o szarpaniu białego orła, a znakomity brytyjski historyk i wielki przyjaciel Polski Norman Davies zawarł wszystko w jednym prostym zdaniu: „Polacy mają oczywiście całkowitą rację w sprawie Wołynia, ale to po prostu nie jest odpowiedni moment, żeby nagłaśniać historyczne spory". To na szczęście teraz przysycha, jak bez sensu i na ślepo zadana rana. Jednak wzniecona niechęć do Ukraińców – co za ohyda – nadal się unosi jak mroczny smog, opada, ale osadza się w naszych płucach. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 046ebcf937

HANKA PODNOSI SIĘ Z KAŻDEGO UPADKU

Historia była wyjątkowo okrutna wobec nas, zwykłych ludzi na Górnym Śląsku

Rozmawia Tomasz Kowalski

Grażyna Bułka w monodramie „Mianujom mie Hanka".

GRAŻYNA BUŁKA
– aktorka teatralna i filmowa związana z Teatrem Śląskim w Katowicach i Teatrem Korez. Trzykrotna laureatka Złotej Maski za najlepszą rolę kobiecą, uhonorowana Złotym Krzyżem Zasługi (2023) oraz Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis" (2017). Hanyska Roku 2016 i Ambasadorka Śląska (2026).

Porozmawiajmy o „Mianujom mie Hanka" Alojzego Lyski. Jak do ciebie trafił ten tekst?

– Mirek Neinert był na gali ogłoszenia wyników konkursu na jednoaktówkę po śląsku w Teatrze Śląskim, chyba w 2015 r. Tam usłyszał fragmenty „Hanki" czytane przez Dariusza Chojnackiego. Od razu wiedział, że to tekst na monodram. Mało tego, czuł, że to, co napisał Alojzy Lysko, może się stać nowym „Cholonkiem".

W jakim znaczeniu?

– Czuł – i jak widać, się nie mylił – że „Hanka" stanie się w Teatrze Korez kolejnym kamieniem milowym na drodze prezentowania na scenie teatralnej historii Górnego Śląska i życia Ślązaków w sposób szczery, szlachetny i wartościowy. Mirek od dłuższego czasu szukał tekstu napisanego po śląsku, po naszymu, który stanie się godnym następcą „Cholonka". Niełatwe zadanie.

„Cholonek", a przede wszystkim wasza realizacja tego tekstu, to majstersztyk. Wysoko podnieśliście poprzeczkę.

– Szalenie. Dlatego stworzenie spektaklu, który oczarowałby widownię teatralną w podobny sposób, to było nie lada wyzwanie. Ale żeby zacząć myśleć o pracy aktorskiej, trzeba najpierw znaleźć tekst, który ma tę moc. W każdym razie Mirek powiedział mi, że jeżeli czekam na coś, co może być po „Cholonku", to to jest właśnie „Hanka" Lyski.

I jak, miłość od pierwszego wejrzenia?

– Nie znałam tego tekstu, a już zaczęłam kręcić nosem. Głównie dlatego, że nie jestem miłośniczką monodramu.

Trudno to sobie wyobrazić po sukcesie „Mianujom mie Hanka" i liczbie granych przez ciebie spektakli. I to nie był twój pierwszy monodram.

– Owszem, ale ja nigdy nie lubiłam monodramów. (…) Aktorzy generalnie mają parcie na monodram, bo im się wydaje, że kiedy sami odpowiadają za spektakl, to jest im łatwiej, bo na scenie nie zależą od gry innych członków zespołu. A mnie, powtarzam, właśnie najbardziej brakuje partnera do dialogu. Lubię grać z ludźmi, kocham tę sceniczną interakcję. Mirek dosłownie wcisnął mi tekst „Hanki". Zaczęłam czytać i po paru stronach wiedziałam, że to jest moje, dla mnie i ja tego nie wypuszczę z rąk. Że ta historia jest warta wszelkich poświęceń, że moja niechęć do monodramu jako gatunku

FOT. JEREMI ASTASZOW

eprasa.pl 046ebcf937

scenicznego nie ma tutaj żadnego znaczenia, bo to jest coś po prostu skrojone na mnie i jeżeli tego nie zrobię, będę żałowała do końca życia.

Mirek Neinert podjął się reżyserii spektaklu. Wasze wizje dotyczące tego, jak ten tekst powinien zostać zaadaptowany na potrzeby teatru, jak masz go zagrać, były spójne, czy ścieraliście się w kwestiach reżyserskich?

– Od początku wiedziałam, jak chcę, żeby to wyglądało, bo czułam, w czym tkwi siła tego dramatu. Wizje moja i Mirka pięknie się zespoliły; doskonale wiedzieliśmy, w jakim kierunku mamy podążać, na co zwracać uwagę, gdzie postawić pauzę, a gdzie wykrzyknik. To sprawiło, że praca nad sztuką szła jak po maśle. Zasada była prosta: bierzemy tekst i dokładamy do niego emocje. Ja silnie poczułam ten tekst, bo chociaż on opowiada o czyjejś wyimaginowanej historii, to jest mi niebywale bliski, a co najważniejsze, podobna historia zapewne wydarzyła się w co drugiej śląskiej rodzinie. Poza tym jestem matką dwóch synów, więc kiedy opowiadam, że synowie mojej bohaterki giną na wojnie albo w wybuchu w kopalni, mocno mnie to dotyka. I co z tego, że opowiadam jako Hanka, postać fikcyjna – muszę to jednak przepuścić, przefiltrować przez siebie. Dlatego tak ważne jest, żeby po spektaklu umieć wyjść z tej postaci szybko i bezboleśnie, bo z tymi emocjami nie można zostać. Aktor nie powinien czerpać scenicznych emocji z własnych doświadczeń. I ja staram się tego nie robić, chociaż ta opowieść niebywale mnie wzrusza.

Doznałam tego szczególnie wyraźnie, kiedy zobaczyłam swój występ na przedpremierowym pokazie rejestracji „Hanki" dla Teatru Telewizji. Wtedy, przecież dziewięć lat po premierze monodramu, doświadczyłam uczuć, jakie są udziałem widza. Oglądałam siebie, widziałam Hankę i płakałam, jakbym widziała to pierwszy raz.

Ile tych emocji zostaje w tobie po każdym spektaklu? Mówisz, że starasz się grać, czyli raczej szkoła Stelli Adler niż system Stanisławskiego. Jednak kiedy widzę, w jaki sposób opowiadasz historię Hanki, co się dzieje na scenie, to mówię sobie, że jako aktor po takim spektaklu dochodziłbym do siebie ze trzy godziny.

– Ja po prostu wiem, że to wszystko muszę zostawiać, i nie potrafię wyjaśnić, jak to się robi. Dla mnie dobrą rzeczą jest to, że najczęściej po spektaklu wsiadam do auta i jadę te 50 km do Czechowic. Siedzę za kierownicą, słucham jakiejś muzyki i wyciszam emocje. Emocje, które zawsze są. Poza tym, co jest znamienne, często po spektaklu spotykam się z widzami, którzy na mnie czekają i chcą ze mną porozmawiać.

O czym?

– Właśnie o swoich rodzinnych doświadczeniach, o wspomnieniach rozbudzanych przez spektakl, dotyczących realnych wydarzeń, dramatów, rodzinnych traum. I wtedy te emocje bierze na klatę nie Hanka, tylko Grażyna Bułka. (…)

Mówisz, że publiczność zastępuje ci partnera scenicznego. Czy widzisz jej reakcje, kiedy grasz „Mianujom mie Hanka"? Bo są silne, nie tak często spotykane w teatrze.

– Oczywiście, że tak. Czuję publiczność, nawet jeżeli jej nie widzę, bo światło zostało tak ustawione, że mam przed sobą czarną przestrzeń. Czuję, kiedy widzowie są za bardzo rozbawieni albo zbyt mocno przejęci. Jeżeli są mało rozluźnieni, zbyt skupieni na samej historii, to tak prowadzę opowieść, żeby to było dla nich, owszem, wzruszające, ale na wesoło. Bo potem, jak dobrze pamiętasz, jest długi fragment niebywale traumatyczny. Wtedy na widowni zapada taka cisza, że słyszę wyciągane chusteczki. To nieprawdopodobne: kiedy robię pauzę i wspólnie siedzimy w ciszy, jakbyśmy byli zawieszeni w próżni. Oni to wytrzymują. Myślę, że gdybym siedziała tak minutę, oni by to wytrzymali. To jest coś niebywałego. To jest jakaś magia. Siła, która pozwala aktorowi poczuć, że to, co robi, wynika z profesjonalizmu. W takich momentach można śmiało powiedzieć o sobie, że jest się aktorem, to najlepiej definiuje ten zawód.

„Mianujom mie Hanka" to niewątpliwy hołd złożony przez Alojzego Lyskę śląskim kobietom. Czy tylko śląskim?

– To hołd Lyski dla kobiet w ogóle. Najczęściej o cierpieniu i heroizmie opowiada się na przykładzie mężczyzny, na przykład żołnierza. Tymczasem „Hanka" opowiada o odwadze, determinacji i niebywałym cierpieniu kobiety. Kobiety, która zostaje sama, bez wsparcia, bez środków do życia, a od której wymaga się, by zapewniła dzieciom dach nad głową i jako taką egzystencję. Kobiety, która na skutek zdarzeń od niej niezależnych traci ten dach nad głową, a w końcu traci swoje dzieci i cierpi w samotności.

> Po spektaklu nie wytrzymałam i powiedziałam widzom: słuchacie opowieści o Hance, a w wyborach głosujecie na kogoś, kto nigdy nie uzna ani jej historii, ani języka.

My na Śląsku traktujemy tę opowieść – co zrozumiałe – bardzo wsobnie: oto nasza śląska Niobe. Ale przecież takie kobiety, żony i matki spotyka się wszędzie tam, gdzie koła historii bezlitośnie rozjeżdżają ludzkie spokojne życie.

– Dokładnie tak jest, dlatego ta historia tak mocno rezonuje w całej Polsce. Bo to jest historia o sile kobiety. O sile kobiety, która rodzi, cierpi, ma też i fajne życie, ale traci wszystko, na czym jej zależało, bo ktoś jej to odbiera. Ale ona trwa do końca. Ona się z każdego upadku podnosi.

Chociaż – i to się też udało Lysce pokazać – powiedzenie: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni" nie jest tak do końca prawdziwe. Owszem, cios, upadek, człowiek dźwiga się, wstaje i dalej walczy z losem. Tak, jego skóra jest twardsza, ale w środku on jest coraz bardziej połamany. Kości się zrastają, ale bolą na zmianę pogody. I tu chwała Lysce, że potrafił stworzyć tak trudny, ale tak piękny portret kobiety, która kiedyś była atrakcyjna,

eprasa.pl 046ebcf937

urodziwa, mogła się podobać, była pracowita. Tam nie ma mowy o jakiejś szczególnej pobożności, o jakimś życiu człowieka wyjątkowego. Normalnie, jeden dzień jest taki, inny znowuż taki, tu coś tracimy, tu coś zyskujemy, tu nas coś boli, tu dostajemy w dupę, bo ktoś umarł, tu nas wyrzucili z pracy, tu już jest fajnie, bo nam dali podwyżkę. Takie mikroskładowe tworzą codzienność, codzienność zwykłych ludzi. I dlatego ta Hanka według mnie jest taka…

…prawdziwa i nasza.

– Tak. Łapiąca za serce i duszę. Bo każdy z nas takie historie w życiu przeżył. Nie ma człowieka na świecie, który by przeszedł przez życie bez jakiejkolwiek ranki.

To prawda. A historia Górnego Śląska od I wojny światowej – przez II wojnę – po czasy PRL-u była wyjątkowo paskudna.

– Była wyjątkowo okrutna wobec nas, tych zwykłych ludzi, którzy tylko chcieli tu żyć i być sobą.

I którzy ciężko pracowali.

– Ciężko pracowali, a ktoś ich na siłę wtłaczał w coś, czego oni za bardzo nie chcieli, nie rozumieli, ale wiedzieli, że nie ma innego wyjścia. Byli też i tacy, którzy chcieli w te klocki grać. Koniunkturaliści, jak wszędzie.

Historia najczęściej poniewierała tym regionem.

– Oj, bardzo. Kiedyś po spektaklu nie wytrzymałam i powiedziałam widzom, że się zastanawiam, jak to jest. Przychodzicie, słuchacie opowieści o Hance, jesteście wzruszeni, płaczecie, śmiejecie się, a potem w wyborach głosujecie na kogoś, kto nigdy nie uzna ani historii, ani języka, którym uwielbiana przez was Hanka mówi. Nie rozumiem. Mnie nie chodzi o politykę. Mnie chodzi o to, żebyście nad tym się zastanowili, żebyście sobie to w głowach poukładali, że jeżeli o coś walczymy i czegoś chcemy, to bądźmy wobec siebie uczciwi. A nie, że ktoś przyjdzie i przyniesie nam dwie bułki z żółtym serem albo z szynką i to nam wystarczy, żeby zapomnieć o tym wszystkim, co było.

To nie jest tak, że my musimy tym żyć, ale przecież nie możemy o tym zapominać, no nie możemy. Bo ten brak zrozumienia wobec nas, Ślązaków, jest tak powszechny w Polsce. A wielokulturowość jest jednym wielkim bogactwem narodu. Jeżeli my nie uwierzymy w to, że wielokulturowość jest naszą siłą, to najlepiej ten kraj podzielić na takie cząstki i niech każdy sobie we własnym zakresie działa. Czasem myślę, że nas, Ślązaków, nikt nigdy nie przeprosił za to, co nam zrobiono i co nam odebrano.

> Brak zrozumienia wobec nas, Ślązaków, jest tak powszechny w Polsce.

Jak wyglądała wasza praca nad „Hanką”? Mówisz, że byliście z Mirkiem zgodni mentalnie.

– W zasadzie wszystkie rzeczy, które powymyślał Mirek, bardzo mi pasowały. Nawet nie w zasadzie, tylko wszystkie i od samego początku. Nie było rzeczy, która mi nie pasowała. Może jestem naiwna, ale mam wrażenie, że nad tym spektaklem czuwało coś więcej niż tylko on i ja. Bo te wszystkie rzeczy, o których mówię, te zbiegi okoliczności wokół spektaklu…

Na przykład?

– Chociażby to, że znalazłam okulary swojego taty po 27 latach od jego śmierci i one służą za rekwizyt w spektaklu. Sięgnęłam do szuflady i je znalazłam… Pamiętam ten moment sprzed dziewięciu lat. Siadam na fotelu w dużym pokoju i mówię: „K…! To niemożliwe, to niemożliwe!”. Tak jakby ktoś mi je podsunął. Tak jakby tata mi je tam zostawił specjalnie, dał znak, jakiś ślad, że był, że dalej jest w jakiejś innej czasoprzestrzeni.

Albo się zastanawiałam, jak Hanka ma być ubrana. Nie chciałam robić cepeliady i wyglądać jak oma z obrazów Erwina Sówki. Uważaliśmy z Mirkiem, że to ma być kobieta w stroju z czasów jej współczesnych, czyli PRL. Więc zapytałam mamę, czy może mi coś podpowiedzieć. I ta moja mama – pamiętam – powiedziała: „Otwórz se, dziołcha, tamten szrank, wybierz se, co tam chcesz”. I co? Niedawno przeglądałam jakieś stare zdjęcia. Na jednym z nich widzę mamę siedzącą przy wigilijnym stole w sukience w grochy, którą wtedy wybrałam. (…)

Czy kiedy budowałaś tę postać, korzystałaś z tego, że jesteś Ślązaczką, że wychowałaś się na Lipinach, że miałaś takich sąsiadów, takie sąsiadki?

– Oczywiście, bo mój zawód polega głównie na obserwowaniu. Kiedy mieszkałam z rodzicami na Lipinach, naszą sąsiadką z góry była starsza kobieta, Małgosia Sikora. Ja miałam kilka lat i wydawało mi się, że ona ma 100 lat. (śmiech) Przychodziłam do jej mieszkania, pamiętam każdy szczegół stamtąd. Na komodzie stało zdjęcie starszego chłopa w mundurze Wehrmachtu i dwóch synków, przystojniaków takich. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego wobec tego Małgosia Sikora jest sama. Dopiero mama mi wytłumaczyła, że ta kobieta w ciągu chyba miesiąca czy dwóch na wojnie straciła wszystkich z tego zdjęcia: dwóch synów i męża. Żona i matka straciła męża i dzieci. I ja mam teraz rozgraniczać, czy ona straciła śląskie dzieci, polskie dzieci czy niemieckie? Matka straciła dzieci! To jest dla mnie kwintesencja bycia właśnie taką postacią na scenie.

> Do dziś żadna premiera Teatru Telewizji nie przebiła wyniku „Hanki”. Dalej mój monodram jest numerem jeden.

Czyli kiedy budowałaś postać Hanki, przypomniałaś sobie o tej sąsiadce z góry?

– Od razu. Moja mama się nią opiekowała do samego końca, a po jej śmierci wyprawiła jej pogrzeb, bo przecież nie miał kto tego zrobić. Ja teraz, kiedy idę na cmentarz do mojej mamy, zawsze odwiedzam grób Małgosi Sikory. Stoję tam i myślę:

eprasa.pl 046ebcf937

„Kurde, kobito, jak znam życie, zarzucano ci, że miałaś synów i męża w niemieckim wojsku. Ale tyś straciła dzieci, dwóch synów, których urodziłaś, i chłopa, którego kochałaś. Zostałaś potem sama".

Czy ona mogła nie być zgorzkniała? Ta kobieta przeżyła coś takiego, czego nie życzyłabym największemu wrogowi. A potem słyszę kogoś krzyczącego w przestrzeni publicznej: „Ślązacy, wyście są Niemcy, zakamuflowana mniejszość niemiecka, wyście w Wehrmachcie służyli". Skoro moja babcia urodziła się na terenie Niemiec, to jak ja mogę udawać, że nie mam krwi niemieckiej? Kim ona miała być? Marsjanką?

Grasz to po śląsku. Czy to powoduje, że ta historia brzmi bardziej autentycznie?

– To wartość dodana. Ta historia opowiedziana w języku polskim być może zrobiłaby wrażenie, ale nie takie, jak opowiedziana w języku śląskim. Ten monodram osadzony jest przecież w konkretnych realiach, a nade wszystko dotyczy tego konkretnego regionu i związanych z nim ludzi, którzy żyli tu z dziada pradziada. Dlatego śląska godka uwiarygodnia samą Hankę. (…)

Czy zaskoczył cię niewątpliwy sukces emisji „Mianujom mie Hanka" w TVP?

– To był niewiarygodny sukces, choćby z uwagi na samą oglądalność. Nie spodziewałam się, że ten monodram zostanie tak doceniony przez nie-Ślązaków. 460 tys. odbiorników w całej Polsce. Odbiorników, nie ludzi, czyli spokojnie można to przemnożyć razy dwa albo trzy. Do dzisiaj żadna premiera Teatru Telewizji nie przebiła wyniku „Hanki". Dalej mój monodram jest numerem jeden.

Nieprawdopodobne.

– A co ciekawe, to przecież spektakl, w którym nie ma fajerwerków. Teoretycznie wydawać by się mogło, że to mało atrakcyjne widowisko z punktu widzenia medialnego. Opowieść o regionie i historii, które w Polsce są traktowane mocno po macoszemu. I nagle docierają do mnie informacje, że ludzie zupełnie z zewnątrz, spoza tej naszej śląskiej inszości, siedzieli przed telewizorami zapłakani. Faceci – wierzysz w to? – oglądali i płakali. No ludzie! Jaka jest siła tego spektaklu, skoro wzbudza takie emocje nawet przez ekran telewizora. (…)

Hanka opowiada swoją historię z perspektywy osoby, która żyje w połowie lat 60. Czy według ciebie byłoby możliwe kontynuowanie tej opowieści przez Hankę albo inną Ślązaczkę żyjącą w latach 70., 80. i współcześnie?

– Możliwe, tylko nie wiem, czy jest potrzebna kontynuacja. Bo jeżeli mamy Hankę, to wystarczająco dotykamy wszystkich tych rzeczy, o których chcemy mówić, żyjąc na Śląsku, ale przede wszystkim opowiadamy historię z punktu widzenia kobiety. Nie wiem, co dodatkowo by się musiało zdarzyć, żeby ta historia silniej ludzi dotknęła. Myślę, że doczekamy się wielu spektakli i filmów, mówiących o bardziej współczesnej historii tego regionu. A Hanka niech opowiada dalej swoje życie, ku przestrodze, dla wzruszeń, dla naszej pamięci i tożsamości.

Właśnie – pamięć i tożsamość. Misja w teatrze, wiem, brzmi to górnolotnie. Twoim zdaniem teatr ma uczyć i bawić czy może tylko bawić?

– Teatr powinien bardzo mocno dotykać wszystkiego tego, co nas otacza. Czasami nawet wyolbrzymiać problem do bólu specjalnie po to, by go wyraźniej pokazać. Teatr nie ma dawać odpowiedzi, teatr ma zadawać pytania. Teatr nie jest od udzielania odpowiedzi, takie jest moje zdanie. Dlatego lubię takie spektakle, które jedynie pokazują temat, a reżyser nie prowadzi widzów ani w prawo, ani w lewo. Widz ma to sobie przetrawić w zgodzie z własnym sumieniem i własnym sercem. Myślę, że teatr powinien być odpowiedzialny nie tylko za rozrywkę, powinien – nawet w farsie – pobudzać nas do myślenia (…).

Miałaś do czynienia z nadwymiarową reakcją widzów na spektakl, w którym grałaś?

– W Bielsku zagrałam w takim spektaklu – „Miłość w Königshütte" – na podstawie niezrealizowanego scenariusza filmowego Ingmara Villqista. Akcja rozgrywa się w powojennym Chorzowie, to opowieść o miłości w mieście pełnym Sowietów, ubecji, milicji i resztek Werwolfu. Na niektóre spektakle przychodzili ludzie o skrajnych poglądach narodowościowych, nacjonaliści i wrzeszczeli z widowni: „Won stąd, hanysy! Tu jest Polska! Wypierdalać!". (śmiech) Przed teatrem pojawiały się pikiety, bojówki, myśmy się bali o nasze samochody, że nam je z tej złości porysują. Jakiś facet na balkonie widowni machał w czasie spektaklu polską flagą i też wrzeszczał: „Tu jest Polska!". Patrzyłam na to ze sceny i myślałam: „Ja p…, co tu się wyrabia?".

W Bielsku zagrałam w spektaklu „Miłość w Königshütte". Na niektóre spektakle przychodzili ludzie o skrajnych poglądach, nacjonaliści i wrzeszczeli z widowni: „Won stąd, hanysy! Tu jest Polska!".

Mnie czasem brakuje – może to złe określenie – spontaniczności reakcji widza na spektakl.

– Dobre określenie, bo to żywy teatr, prowokujący. Zagraliśmy spektakl, który tak mocno dotykał ludzi, że aż nie mogli przejść nad nim do porządku dziennego. Reakcja widzów taka lub inna jest pożądana: komuś coś się podoba, komuś się nie podoba… Natomiast władza powinna się trzymać z daleka od repertuaru.

Fragmenty rozmowy z książki Grażyny Bułki i Tomasza Kowalskiego *Moją siłą jest właśnie to, że jestem stąd*, Sonia Draga, Katowice 2026

eprasa.pl 046ebcf937

WYDARZENIE

32. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Eleonora Strino Quartet

Mistrzyni gitary, wokalistka i kompozytorka Eleonora Strino została uznana przez krytyków za jeden z najbardziej ekscytujących młodych talentów na międzynarodowej scenie jazzowej. Neapolitańska artystka łączy kreatywność i wrażliwość z wirtuozerią. Odświeża język gitary swingowej i bebopowej, precyzyjnie kształtując jego siłę ekspresji. Grać zaczęła jako nastolatka. Studiowała w konserwatorium w Neapolu i w Amsterdamie, m.in. u Jessego van Rullera, a jako 34-latka była już profesorem gitary jazzowej w Cosenzy. W Warszawie zaprezentuje materiał z albumu „Matilde", opowiadającego historie wielkich kobiet poprzez oryginalne kompozycje, w których Strino nawiązuje i do standardów wykonywanych przez legendarne amerykańskie wokalistki, i do piosenek z południowych Włoch i Ameryki Południowej.

(ap)

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 8 sierpnia, godz. 19

KURTYNA W GÓRĘ

Amerykański sen nie wróci

Inteligentnie skrojony scenariusz „Braci Lehman" w błyskotliwej inscenizacji i brawurowym wykonaniu to najlepszy dowód, że Teatr Współczesny odzyskał impet w obserwacji… współczesności. To nie jest opowieść o upadku banku Lehman Brothers. O tym już sporo wiemy i naoglądaliśmy się rozmaitych dokumentów i fabularyzacji tego dramatu ekonomicznego. W adaptacji powieści Stefana Massiniego chodzi o coś innego: o ukazanie jednej z najbardziej oszałamiających karier, będących ucieleśnieniem amerykańskiego marzenia, i emocjonalnej podszewki marszu po wygraną.

Oto ubodzy przybysze z dalekiego kraju, niemieccy Żydzi, niemal z niczego, niewielkiego sklepiku galanteryjnego, wyrośli na potęgę, która trzęsła Ameryką i światem. Jak to się dokonało, którędy biegły ścieżki, jak drobnymi krokami, pozornie nieważnymi, pośrednicy w handlu bawełną przechodzili do roli wielkich sprzedawców pieniędzy, aby potem roztopić się w anonimowej masie bankowych korporacji, opowiada ten spektakl.

Przyjemnie słuchać nostalgicznej opowieści jak zostać milionerem, ale autor studzi tę przyjemność zimnym kubłem globalizacji i szaleństwa konsumpcyjnego. Ale i tak warto popatrzeć, jak trzech utalentowanych aktorów – Mateusz Król, Szymon Roszak i Przemysław Kowalski dwoją się i troją, aby zagrać braci Lehman i ich następców oraz kilkanaście pobocznych postaci. Czynią to w zawrotnym tempie, malując niemal dwustuletnie dzieje rodu Lehmanów w Ameryce.

Reżyser, notabene debiutujący w teatrze dramatycznym, sięga po proste środki inscenizacyjne, skromne projekcje, cienie na płótnie. Potrafi za ich pomocą zasugerować na malutkiej scenie w Baraku Współczesnego rozległy świat rozkwitającego interesu na prowincji Ameryki i w Nowym Jorku. Rzadko się zdarza tak perfekcyjny, tak wymagający warsztatowej sprawności spektakl. Najmniejszy błąd techniczny mógłby spowodować katastrofę. Tym większa satysfakcja widzów i zasłużone brawa na stojąco dla aktorów.

Tomasz Miłkowski

Stefan Massini, „Bracia Lehman", adaptacja Ben Power, tłumaczenie Joanna Połeć, reżyseria Oskar Winiarski, Scena w Baraku Teatru Współczesnego, prapremiera 27-28 maja 2026

MIĘDZY OKŁADKAMI

Scott Preston
Pożyczone wzgórza
tłum. Zofia Szachnowska-Olesiejuk
Czarne, Wołowiec, 2026

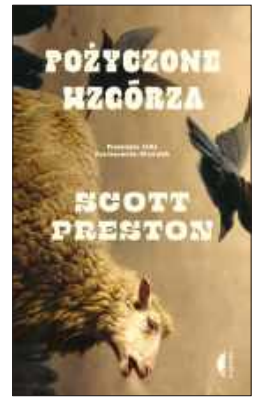

Brawurowy debiut, łączący ducha klasycznego westernu z surowym, brytyjskim realizmem. Akcja rozgrywa się w Kumbrii – deszczowej, surowej krainie na pograniczu Anglii i Szkocji. Gdy na początku XXI w. epidemia pryszczycy niszczy stada owiec, świat tamtejszych rolników rozpsypuje się w pył. Główny bohater Steve Elliman wraca w rodzinne strony, by pomóc ojcu. Tragedia i utrata dorobku życia popychają go jednak wraz z innym farmerem do desperackiego czynu: kradzieży cennych stad z południa kraju. Przestępstwo to uruchamia lawinę dramatycznych zdarzeń.

Preston z wyczuciem poety i okiem filmowca przedstawia przejmujący obraz prowincji, gdzie człowiek jest nieodłącznie związany z trudną ziemią. To mroczna, pełna czarnego humoru i brutalnego piękna elegia o gniewie, rozpaczy oraz walce o przetrwanie w zapomnianym świecie. Powieść gęsta, surowa i trzymająca w napięciu.

Rafał Pikuła

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KLAUDYNA SCHUBERT, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 046ebcf937

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pogrom się zbliża

Od napaści słownych do fizycznych ataków droga okazała się nader krótka. Jeszcześmy nie ochłonęli po tym, jak cham zbluzgał w autobusie ukraińskie dziewczynki, a już trzech napakowanych bohaterów pobiło chłopaka i dziewczynę za wschodni akcent. Nawrocki nie odezwał się ani słowem, bo Gromda i wszelkie organizacje patusów obijających sobie ryje w klatkach to jego elektorat, zatem oficjalne stanowisko głowy państwa w kwestii napaści na tle narodowościowym można uznać za milczące przyzwolenie.

Nie baczę, co o tym myśli swołocz, staram się wywiedzieć, jak na to spoglądają ludzie z wykształceniem wyższym i poglądami centroprawicowymi, bo i takich mam w kręgu znajomych, a to ich brak sprzeciwu jest decydujący w eskalacjach pogromowych. Agresywna tłuszcza sama z siebie się nie odpali, ogień muszą jej podać tzw. przeciętni obywatele, którzy w stosownym momencie odwrócą wzrok. I rzecz jasna politycy wygrzebujący trupy sprzed lat i nawołujący do wyrównania rachunków krzywd.

Że prawie co trzeci Polak jest poplecznikiem jednej z konfederacji, partii jawnie antyukraińskich i skrycie proputinowskich, to też jeszcze do zbiorowej zbrodni nie wystarczy. Języczkiem u wagi nie jest liczba radykałów, ale cicha akceptacja tych, co się ponoć miarkują w emocjach. Zadzwoniłem więc podpytać i ręce mi opadły. Na przykład kolega operator, na co dzień chłopak niegłupi, karmi mnie barwnymi teoriami spiskowymi (choć dominantą barwną jest w nich jednak odcień brunatny). Stwierdził np., że to wszystko się dzieje na zlecenie rządu ukraińskiego, który „kazał wrzucać takie filmiki, żeby obrzydzić Polskę i żeby ludzie ze strachu wracali do kraju, bo tam jest demograficzna katastrofa, poza tym nie ma kto walczyć". Inny, przedsiębiorca, raczej biznesmen niż biznesmenel, powiela opinię, jakoby Ukraińcy „sami sobie winni, bo się panoszą, bo uciekli ci najsprytniejsi i już tu robią biznesy i rozbijają się drogimi furami", by kilka zdań później sobie zaprzeczyć, mówiąc że „podczas wojny uciekła sama patologia, znajomi przyjęli ich pod dach, a teraz żałują, bo ukry przywiozły karaluchy, syf i biedę, a kiedy wyjechali, trzeba było po nich robić dezynsekcję i remont generalny". Czyli kaczystowskie „pasożyty i pierwotniaki" już się przeniosły także na uchodźców wojennych zza Buga, tych, co to się mieli różnić od człekokształtnej broni hybrydowej przywleczonej na granicę białoruską z odległych krain. Jeszcze inny wysyła mi materiały, wśród których 90% to fejki ruskich botów o ukraińskich „faszystach", a koronny dowód w sprawie to autentyczny materiał o jutuberze, co to wjechał z dziewczyną sportowym autem nad samo Morskie Oko. Nasz staw święty, w którym codziennie tysiące stóp polskich pielgrzymów mąci wodę, licząc na piling pstrągów dokarmianych czipsami i paluszkami, do którego hektolitrami narodowy mocz oddawany jest wskutek łapczywego spożycia wystanego w kolejce schroniskowej zimnego Lecha, do którego nagminnie wskakują dziarscy chłopcy, aby na oczach naszych polskich dziewcząt dowieść, że kąpiele krioterapeutyczne im niestraszne. Oto więc każdego dnia naród nasz zbożny i kartoflany łamie setki zakazów TPN, ale gdy jeden szczeniak z Ukrainy zaszalał, robi się z tego przyczynek do pogromu.

Patrzę na filmik nakręcony z balkonu, jak w imię schabowego i dziary święconej trzech karków wściekle bije jednego Ukraińca i jego dziewczynę, i jestem zdruzgotany postawą przechodniów, którzy udają, że nie widzą zajścia, i śpiesznie pomykają ku swoim samochodom. Może faktycznie tego nie zauważyli, bo przemoc weszła już do naszej codzienności, wszędzie ktoś tam kogoś znieważa, ktoś z kimś się szarpie, a prezydent z przeszłością kibolską odbywa wspólne treningi pięściarskie z celebrytami zakapiorami.

Agresywna tłuszcza sama z siebie się nie odpali, ogień muszą jej podać tzw. przeciętni obywatele.

Pisałem już o tym, że mi córka zostawiła miotacz gazu pieprzowego na moje wędrówki w rewiry niedźwiedzie – zaległ w szufladzie, bo mi leśna zwierzyna niestraszna, ale będę go teraz nosił w plecaczku, ilekroć do miast się wybiorę. Szarżujący psychopatriota to bestia pospolita i niezagrożona wyginięciem, nie jest objęty ochroną gatunkową, można, a nawet trzeba mu psiknąć prosto w paszczę, gdy się rozjuszy. Lepiej, żeby się zawczasu popłakał, gdy go w oczy zaszczypie, niżby miał płakać w celi nad swoim życiem zmarnowanym, jak jeden z wojowników z parkingu. Mnie jest nawet żal takiego gnoma na sterydach, bo przecie on sam nie wie, że jest tylko cynglem, a spust naciskają panowie w garniturach, objęci immunitetami.

■

eprasa.pl 046ebcf937

Lech sczezł, Górnik powalczył, pozostali awansowali

Wojciech Kuczok

No i wyszło na moje, z czego satysfakcji szczególnej nie czerpię, ale też łzami się nie zalewam. Po wysokiej wygranej Lecha z Aarhus ostrzegałem, że wyjazdowe 4:1 to niebezpieczny wynik, powołując się na doświadczenia naszych ekip chociażby w ostatnich dwumeczach z Fiorentiną.

W Danii na gospodarzy spadły wszystkie plagi – jeszcze przed przerwą stracili bramkarza, a gdy dzielnie walczyli w dziesiątkę, nowemu stoperowi Lecha wyszedł strzał życia. Powszechnym zachwytom nie było końca, jakoś nikt się nie zastanawiał, jakim cudem tak łatwo przyszła wygrana z bądź co bądź mistrzem silnej ligi europejskiej. Komentatorzy łatwo połknęli haczyk i jęli przekonywać, że taka jest teraz realna różnica klas między polską i skandynawską piłką klubową. No i w minioną środę obudzili się z ręką w nocniku. Lech postradał trzybramkową przewagę na własnym stadionie, a w rzutach karnych gracze Kolejorza postradali także zmysły, partacząc niemiłosiernie kolejne jedenastki. Fachowcy histeryzują, wyklinają trenera i zawodników, przekonują o epokowej katastrofie – ja tu nie widzę niczego zdrożnego.

Z najsilniejszą obecnie duńską drużyną wyszliśmy w dwumeczu na remis, bywały bardziej haniebne blamaże, choćby przed rokiem, gdy Lech poległ na Gibraltarze. Gdyby wyniki ułożyły się odwrotnie – to znaczy Lech wróciłby na tarczy z Aarhus, a w Poznaniu odrobił straty, aby odpaść dopiero w serii karnych – wszyscy przyklasnęliby walecznej postawie ekipy Frederiksena. Tak jak uczynili to po meczu Górnika z faworyzowanym Fenerbahçe – odpadli, ale byli tylko minimalnie gorsi.

Wcale nie twierdzę, że Lechici spanikowali, przegrali mecz w głowach, zlekceważyli rywali. Po prostu przywieźli z Danii wynik nad stan, a potem wszystko się wyrównało zgodnie z realnym stosunkiem sił. Teraz Poznaniakom przyjdzie powalczyć o pucharową jesień na Wyspach Owczych. Złośliwi i rozgoryczeni kibice mówią, że frajerzy zagrają z Fererami. A ja tam myślę, że choć dla Lecha to źle, dla polskiej piłki klubowej znakomicie – w to, że przez eliminacje Ligi Mistrzów przebrnąć nie zdołamy nigdy, nikt już chyba nie wątpi. Gdyby Lech się do Champions League dostał, nie zapunktowałby pewnie wcale albo zdołałby uciułać jakieś dwa remisy u siebie. W Lidze Europy będzie o punkty rankingowe nieco łatwiej, w Lidze Konferencji to już w ogóle; my teraz musimy bronić 10. miejsca, jeśli to nam się uda, za dwa lata mistrz Polski zagra w LM bez eliminacji.

Sportowo wciąż nie jesteśmy gotowi na grę na najwyższym szczeblu, polski kibic także nie nasycił się jeszcze europejskimi zwycięstwami, choćby i w „Pucharze Biedronki". Nie mam nic przeciw temu, żeby komplet naszych ekip zagrał w tej trzeciej lidze europejskiej. Powiem więcej – grajmy tam, dopóki jej nie wygramy, dopiero wtedy będzie można realnie się przymierzać do rywalizacji z najlepszymi.

Poznań w Lidze Mistrzów tej jesieni to byłaby bonanza i rzeź w jednym – za sam awans klub zainkasowałby więcej niż za wygranie wszystkich meczów w LK, a to nie jest motywujące. Skoro Lechici spoczęli na laurach po wygraniu jednego meczu z Aarhus, nie chcę sobie nawet wyobrażać skali gnuśności, w jaką by popadli po przedarciu się do piłkarskiego eldorado. To wymarzona sytuacja dla naszych klubów. Już we wrześniu można byłoby się skupić na lidze, skoro nawet za osiem porażek pucharowych inkasuje się z góry 15 mln euro. Śmiem twierdzić, że Polacy wciąż nie dojrzeli do poziomu Champions League ani sportowo, ani mentalnie. Płakać więc nad tym, co wyczynił Lech w rewanżu z Aarhus nie zamierzam.

Górnośląskie kluby wróciły do Europy po latach i pokazały charakter. Górnik skazywany już przed pierwszym meczem na bolesne manto w starciu ze stambulskimi krezusami nie tylko nie przyniósł wstydu, ale był o krok od awansu. Turcy wydali przed sezonem na transfery kilka razy więcej, niż warci są wszyscy gracze Górnika razem wzięci, ale tej różnicy, zwłaszcza w Zabrzu, nie było widać. Jedynego gola z gry w obu starciach strzelił Michal Sáček, ekipa Fener awansowała dzięki dwóm stałym fragmentom gry wykonanym przez Brazylijczyka Taliscę. W Stambule po „głupim" wolnym i złym ustawieniu muru, w Zabrzu po jeszcze głupszej jedenastce za przypadkowe zagranie ręką w polu karnym. Górnik z lejem po bombie w środku pola (dziwaczna rejterada Hellebranda na szmelc do Kielc i złamana ręka Kubickiego) dzielnie walczył z ekipą 20 razy więcej wartą (według aktualnej wyceny transfermarkt). Jeśli z ławki Fenerbahçe wchodzą na boisko Marco Asensio i Mason Greenwood, to ja nie mam pytań. Nikt się nie spodziewał, że Górnik powalczy o awans, tymczasem stambulskie gwiazdy do końca drżały o wynik.

Lech postradał trzybramkową przewagę na własnym stadionie, a w rzutach karnych gracze Kolejorza postradali także zmysły.

eprasa.pl 046ebcf937

Aarhus GF wyrzucił Lecha Poznań za burtę eliminacji Ligi Mistrzów 2026/2027. Nz. Yannick Agnero (po lewej) i Frederick Tingager, Poznań, 29 lipca 2026 r.

Górnik po wczesnej stracie gola nie popadł w polską depresję, zawodnicy nie zwiesili głów, nie narzekali, że mecz się nie ułożył, tylko za wszelką cenę dążyli do wyrównania, a potem do zdobycia zwycięskiej bramki.

Na taki spektakl czekała zabrzańska arena, o takim właśnie widowisku myślą kibice Górnika, śpiewając: „Zagraj, zagraj jak za dawnych lat". Ogłuszający doping bez mała 30 tys. fanów zrobił wrażenie na przyjezdnych, choć nie masz w Europie bardziej hałaśliwych fanatyków nad kibiców tureckich. Z takim dopingiem wicemistrz Polski na boisku przeszedł samego siebie.

Teraz przyjdzie się zmierzyć o Ligę Europy z węgierskim Ferencvárosi. Obie drużyny tęsknią do europejskich sukcesów sprzed dekad, obie w zamierzchłej przeszłości dotarły do finału Pucharu Zdobywców Pucharów: Górnik w 1970 r. musiał uznać wyższość Manchesteru City, Węgrzy pięć lat później przegrali decydujące starcie z Dynamem Kijów. Ferencvárosi ma jednak w gablocie Puchar Miast Targowych, prototyp późniejszego Pucharu UEFA i dzisiejszej Ligi Konferencji, zdobyty w 1965 r. kosztem Juventusu. Jak w Zabrzu tęsknią do czasów Pohla, Lubańskiego czy Oślizły, tak w IX dzielnicy Budapesztu rzewnie wspomina się erę Flóriána Alberta uhonorowanego w 1967 r. Złotą Piłką czy fantastycznego rozgrywającego Tibora Nyilasiego.

W dwumeczu z Górnikiem Węgrzy będą faworytami, ale z całą pewności nie jest to ekipa o mocy Fenerbahçe. Największą gwiazdą węgierskiej drużyny jest Gabi Kanichowsky, który pierwsze kroki seniorskiej kariery stawiał w Maccabi Tel Aviv. I właśnie z izraelską drużyną przyjdzie się zmierzyć katowickiemu GKS – obie śląskie ekipy pojadą zatem na Węgry, bo piłkarze z Izraela nie mogą grać na swoim terytorium ze względów bezpieczeństwa. Zespół z Izraela gra pucharowe mecze w Miszkolcu, a nie powinien grać w ogóle – z tej samej przyczyny, dla której wykluczono z rozgrywek drużyny rosyjskie. Państwo Izrael wciąż dokonuje zbrodni wojennych, wyeliminowanie ich reprezentantów z gry jest zatem wyzwaniem nie tylko sportowym, ale i moralnym. Gieksę trzeba więc wspierać w dwójnasób.

Po ospałym meczu w Żylinie, gdzie górnicy z Nowej Bukowej przegrali bardziej z własnym rozmemłaniem niż z przeciętnymi Słowakami, w rewanżu zaimponowali wytrwałością. Katowice przez 90 minut cierpliwie dążyły do zwycięstwa, nie zrażając się straconym golem, a decydujące o awansie gole strzelili w końcówce meczu rezerwowi Mateusz Wdowiak i Ilia Szkurin efektownymi nożycami.

Do kuriozalnej sytuacji doszło w przypadku dwumeczu Rakowa Częstochowa, który co prawda pod Jasną Górą długo się męczył z Valettą, ale na Malcie ani przez chwilę nie dał gospodarzom szans i złudzeń. Telewizja publiczna ani nadawca komercyjny transmitujący mecze eliminacyjne polskich drużyn nie wyraziły zainteresowania transmisją, przez co pierwszy mecz można było obejrzeć w streamingu Kanału Sportowego, a drugi w… TV Republika. Tej przyjemności już sobie odmówiłem, aby nie nabijać oglądalności pisowskiej szczujni. Pozostaje mieć nadzieję, że kolejny rywal Rakowa, sztokholmskie Hammarby, wyda się telewizyjnym włodarzom wystarczająco atrakcyjny.

Do gry w czwartek wchodzi także Jagiellonia, osłabiona przed sezonem odejściem Afimico Pululu, Bartosza Mazurka i wieloletniego dyrektora sportowego Łukasza Masłowskiego. Trudno będzie się postawić Glasgow Rangers, ale w razie fiaska Białostoczanie będą mieli jeszcze szansę powalczyć w ostatniej rundzie eliminacji Ligi Konferencji. ■

O takim widowisku myślą kibice Górnika, śpiewając: „Zagraj, zagraj jak za dawnych lat".

FOT. GLEB SOBOLIEV/IMAGO SPORT/FORUM

eprasa.pl 046ebcf937

Coraz więcej mistrzowskich receptur wychodzi spod ręki Polaków

NAJLEPSZE LODY NA ŚWIECIE

Chrystian Ślusarczyk

Najlepsza lodziarnia na świecie według TasteAtlas – Gelateria Fatamorgana w Rzymie.

Trudno o jednoznaczną odpowiedź na pytanie, kto wymyślił lody. Na pewno było to w czasach zamierzchłych. Pierwsze wzmianki dotyczące mrożonych deserów pojawiły się już w V w. p.n.e.! Klimat w ówcześnie licznie zamieszkiwanych regionach globu – starożytnej Grecji czy dawnej Persji – sprzyjał kulinarnym eksperymentom. Dlatego tworzono tam produkty przypominające dzisiejsze lody.

Historycy są dość zgodni, że kilka wieków przed naszą erą nastąpiło tzw. rzymskie optimum klimatyczne, charakteryzujące się ciepłymi oraz stabilnymi warunkami pogodowymi. Średnie temperatury w rejonie basenu Morza Śródziemnego były wtedy o ok. 2 st. C wyższe niż w chłodniejszych stuleciach naszej ery.

Tego lata temperatura w wielu krajach Europy bije rekordy. Sezon na lody trwa tu już zatem od wielu tygodni i wszystko wskazuje na to, że upały wyjątkowo go wydłużą.

Popyt na lody, zarówno wśród mieszkańców Europy, jak i turystów, od Lizbony po Helsinki, jest w tym roku wyjątkowo duży. Cieszy to producentów tego deseru, którzy już dzisiaj liczą niespodziewanie wysokie zyski. Ochota na schłodzenie tym, co najbardziej jakościowe cieszy szczególnie właścicieli włoskich gelaterii – lodziarni o tradycjach sięgających kilku pokoleń. Tym bardziej że to właśnie włoskie lodziarnie w rankingu prestiżowego internetowego przewodnika kulinarno-turystycznego TasteAtlas położyły światową konkurencję na łopatki.

Poziomki, lawenda i amaretti

Portal TasteAtlas gromadzący co roku informacje o tradycyjnych potrawach, lokalnych produktach oraz sprawdzonych restauracjach z całego świata wybiera na podstawie analizy komentarzy i recenzji online 100 najlepszych lodziarni.

W tegorocznym rankingu Włochy miażdżą konkurencję, zajmując… 44 pierwszych miejsc! Pierwsza rzemieślnicza lodziarnia spoza Półwyspu Apenińskiego pojawia się w zestawieniu dopiero na 45. pozycji! Szczyt podium okupują dwa włoskie, bardzo „lodowe miasta" – Rzym i Florencja.

Tytuł najlepszej lodziarni na świecie według TasteAtlas przypadł Gelaterii Fatamorgana w Rzymie, która otrzymała w rankingu 69 pkt. Wyrobów zwycięskiej firmy skosztować możemy w aż dziewięciu lodziarniach w stolicy Włoch – pięć z nich zlokalizowanych jest w ścisłym centrum. Gelateria Fatamorgana reklamuje swoje wyroby jako naturalne, wytwarzane ręcznie w wysoce innowacyjnym procesie produkcji. Działa na rynku już od 23 lat.

Które smaki słynnych lodów najbardziej przypadły do gustu rzymskim specom kulinarnym i turystom? O triumfie Fatamorgany zadecydowały: lody z poziomek z miasteczka Nemi z lawendą, lody brzoskwiniowe

FOT. FB.COM/FATAMORGANA GELATO

eprasa.pl 046ebcf937

z winem, lody o smaku słynnego tortu Sachera, miks: mięta, żen-szeń i mleko migdałowe, Sacripante (krem rumowy Mount Gay z kawą, ciasteczkami amaretti i kakao) oraz Krem Agnese na bazie kremu karmelowego, zarówno słodkiego, jak i słonego. Ta ostatnia pozycja związana jest z imieniem głównej kulinarnej mistrzyni rzymskiej lodziarni, signory Marii Agnese Spagnuolo.

Na drugim i trzecim miejscu znalazły się Gelateria dei Gracchi w Rzymie i Gelateria Vivoli we Florencji, które zdobyły odpowiednio 66 i 60 pkt. „Są hojni, jeśli chodzi o próbki smakowe, a niezwykle uprzejme dziewczyny za ladą pomagają nam wybierać" – tak pierwszą trójkę opisywał dziennikarz kulinarny gazety „Corriere della Sera".

W pierwszej dziewiątce rankingu TasteAtlas znajdziemy tylko lodziarnie z Rzymu i Florencji. Pierwszą dziesiątkę triumfatorów zamyka lodziarnia Suso Gelatoteca z Wenecji, przełamując naprzemienną rywalizację między Wiecznym Miastem, a stolicą Toskanii. Metropolie z północy Włoch, Mediolan i Turyn, okupują miejsca w drugiej i trzeciej dziesiątce. Pierwsze miejsce spoza Włoch, a 45. w notowaniu, to Dan Tana's w West Holywood w USA. To restauracja, w której oprócz świetnych lodów zjemy sporo typowych włoskich potraw. Nic dziwnego – ponad 60 lat temu założył ją były włoski piłkarz Dan Tana.

Choć w kategorii lodów nikt nie może dorównać produktom z Italii, w kategorii TasteAtlas: Najlepsze Desery na Świecie 2026 drugą lokatę zajęła propozycja z Wielkiej Brytanii. Srebrnym medalistą został Clotted Cream, deser powstały z gęstej, delikatnie podgrzanej śmietany. Jego historia jest głęboko zakorzenione w tradycji mleczarskiej południowo-zachodniej części Zjednoczonego Królestwa. Clotted Cream najczęściej spożywany jest sam lub w połączeniu z owocami.

W tej klasyfikacji zwyciężył deser turecki o nazwie Antakya künefesi – słodkie cudo, którego głównymi składnikami są słodkawy ser Hatay peyniri i ciasto typu filo. Ten orientalny przysmak, z którym włoskie i inne europejskie desery nie próbują nawet konkurować, od wielu lat chlubi się lokalnym tureckim certyfikatem chronionego oznaczenia geograficznego.

Choć włoska dominacja w przemyśle lodowym nie dziwi, pewnym zaskoczeniem, zarówno jeśli chodzi o ranking TasteAtlas, jak i inne klasyfikacje, są dalekie pozycje lodziarni francuskich. Pierwsza lodziarnia na świecie powstała bowiem w 1686 r. w Paryżu. Założył ją w pobliżu dzisiejszej rue de l'Ancienne Comédie sycylijski kucharz Francesco Procopio dei Coltelli, który otworzył tam słynną dziś Café Procope. Początkowo serwowano tam głównie sorbety z owoców, lodu i cukru. Lokal szybko stał się miejscem spotkań elit, a z czasem w menu pojawiły się także lody na wytwarzane z mleka i śmietanki. Café Procope działa w Paryżu do dzisiaj – obecnie jako elegancka restauracja.

TasteAtlas – mapa kulinarnej tradycji

TasteAtlas został założony 2015 r. przez chorwackiego dziennikarza i biznesmena Matija Babića. Po dość długim okresie badań, sondowania i rozwijania kulinarny, i w pewnym stopniu także turystyczny projekt ruszył w roku 2018. TasteAtlas z założenia nie konkuruje ani z kulinarnym przewodnikiem Michelin ani z Tripadvisor. Babić podkreśla, że jego portal wypełnia niszę pomiędzy najwyższej klasy kuchnią spod znaku Michelin a popularnymi miejscami turystycznymi, na których skupia się Tripadvisor.

Strona TasteAtlas łączy recenzje profesjonalistów z głosami autentycznych użytkowników. Aby realizować misję zachowania tradycyjnych przepisów i promowania autentycznych restauracji zespół 30 autorów robi skrupulatne badania. Przeprowadzane są na podstawie wszystkich dostępnych źródeł i takich kryteriów jak recenzje, popularność w Google, czy posiadanie odpowiednich certyfikatów, wśród nich unijnych programów żywnościowych, obecności na liście reprezentatywnej niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO czy w nternetowym katalogu żywności, produktów należących do kultur i tradycji z całego świata zagrożonych wyginięciem Arka Smaku.

Lodowy sukces z Opolszczyzny

Choć w konkursie TasteAtlas polskie lody nie zostały dostrzeżone, okazuje się, że i my mamy czym się pochwalić. W innym, także liczącym się w branży konkursie Gelato Festival World Ranking 2026 Tomasz Szypuła z Baborowa na Opolszczyźnie sięgnął po tytuł wicemistrza świata w tworzeniu lodów. Udowodnił, że polska szkoła wytwarzania lodów rzemieślniczych może konkurować z najlepszymi. Rzemieślnika z Baborowa w tegorocznym konkursie wyprzedził jedynie reprezentant Hiszpanii, a tuż za nim znaleźli się mistrzowie z Italii.

W wywiadzie dla TVN Szypuła powiedział, że zawody w tworzeniu lodów rzemieślniczych składają się z wielu etapów. „Choć może się to wydać dziwne, rywalizacja wygląda podobnie jak ta w mistrzostwach świata w piłce nożnej. Eliminacje trwają nawet dłużej, bo aż trzy lata. Dopiero czwarty rok decyduje o wejściu lub nie do finału. W finale trzeba pokazać, co potrafimy i przedstawić jury kompozycję smakową", podkreślił polski wicemistrz świata.

Pan Tomasz przejął firmę po rodzicach i z sukcesami szefuje jej do dziś. Czym polski mistrz lodów zachwycił jury? Na pewno wyjątkową, wręcz zaskakującą recepturą lodów z kwiatów i owoców czarnego bzu. Ten tzw. smak mistrzowski, podobnie jak i inne klasyczne dzieła naszego mistrza lodów, możemy kupić zarówno w Baborowie, jak i w Opolu, Głubczycach, Nysie czy Kędzierzynie-Koźlu. A także w Raciborzu i Zabrzu w województwie śląskim.

■

W tegorocznym rankingu lodziarni TasteAtlas Włochy miażdżą konkurencję, zajmując… 44 pierwszych miejsc!

eprasa.pl 046ebcf937

W góry, na Mazury i nad

Kolonie były w PRL jedną z najpopularniejszych form wakacyjnego wypoczynku dzieci i młodzieży. Każdego lata wyjeżdżały na nie setki tysięcy uczestników. Organizatorami były przede wszystkim zakłady pracy, szkoły, kuratoria oświaty, związki zawodowe i organizacje młodzieżowe. Mimo siermiężnej bazy wypoczynkowej, lęku związanego z pierwszym rozstaniem z domem czy traumy śniadań z zupą mleczną z makaronem wspomnienia budzą dziś rozrzewnienie.

1. Wagon zarezerwowany, Zakopane już czeka.
2. Najmłodsze grupy musiały po obiedzie odbyć godzinne leżakowanie.
3. Luksusów w stołówkach nie było. Ale nikt głodny nie chodził.
4. Gra w piłkarzyki na miejskich koloniach. Warszawa, 1971 r.
5. Wyjazd na kolonie, 1970 r.

eprasa.pl 046ebcf937

morze

6. W kapokach, gotowi na rejs po jeziorze.
7. Odpoczynek w sali sypialnej, 1958 r.
8. Pod opieką wychowawczyni na terenie ośrodka. Choć standard ówczesnych domków mógłby zatrwożyć współczesnych rodziców.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, ANDRZEJ MARZEC/EAST NEWS (4), WITOLD JAROSŁAW SZULECKI/EAST NEWS, PAP/AFA PIXX/IRENA KOMAR (2)

eprasa.pl 046ebcf937

JOLKA

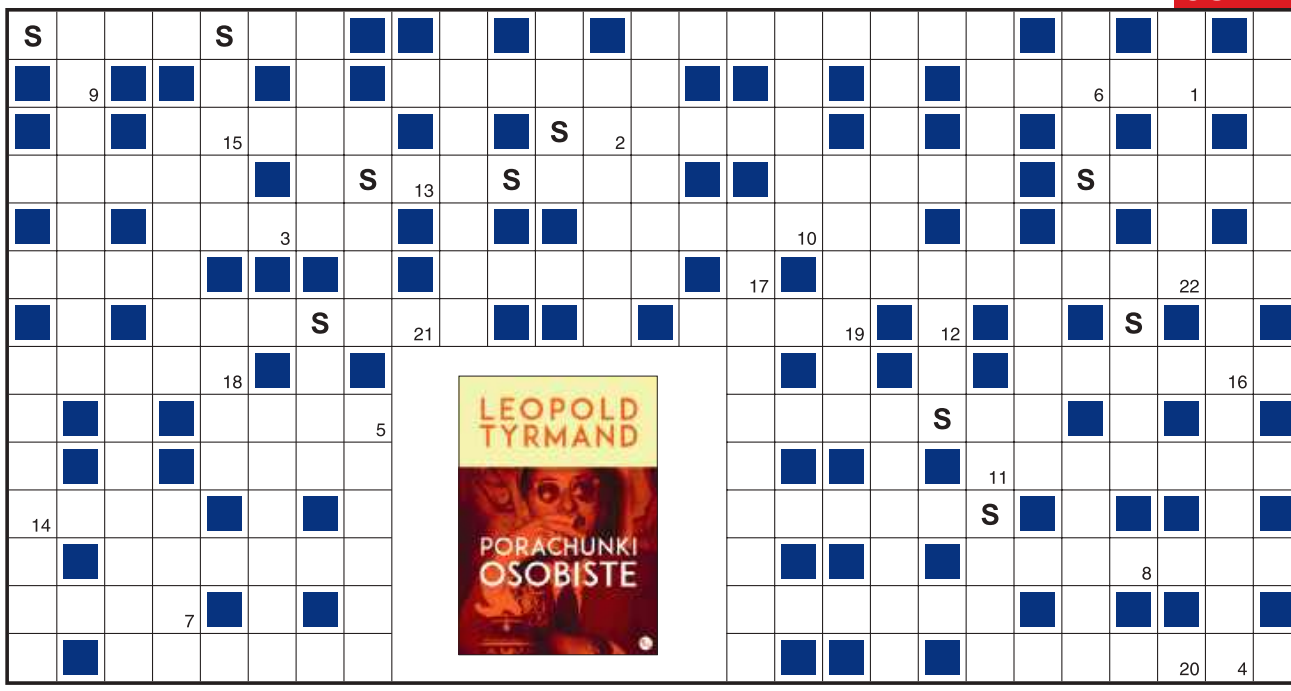

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- starogrecki centralny plac
- prowadzi sklep w dzierżawionym lokalu
- dawniej pozwolenie, zgoda, aprobata
- z Tyzyfone i Megajrą
- kolor otoku i lampasów ułanów krechowieckich
- stolica z Mauzoleum Atatürka
- do niego modlitwy o odzyskanie zguby
- mistrzostwo w tworzeniu dzieł sztuki
- dychawica oskrzelowa
- …na Pearl Harbor z 7 grudnia 1941 r.
- rzeźbiony siłacz podpierający balkon
- polska – biało-czerwona z godłem
- za …węglowy przysługuje ekwiwalent pieniężny
- uroczystość po zbiorze zbóż
- powrót do niego w tytule popularnego kiedyś serialu
- zabieg oczyszczający opętanego
- narożna wieża twierdzy i skrzydło wojsk
- wpisywana w wyszukiwarkę przez szukającego informacji
- szwajcarskie miasto od konwencji humanitarnych
- pański lub szeroki, by demonstrować hojność
- mnożna i mnożnik jego czynnikami
- tam Grand Prix San Marino Formuły 1
- Wysoka… – Sejm
- ona dobrego nie zepsuje, złego i kościół nie naprawi
- stamtąd klub Korona
- dźwiękowy wyraz złości kierowcy
- bogactwem w oczy
- jego szkielet budulcem rafy
- potocznie o sąsiadkach, przyjaciółkach
- szkoli się
- pnącze z dżungli
- siódmy miesiąc w roku
- gdy wiązana – wiersz
- …nad Notecią – miasto w Kujawsko-Pomorskiem
- ojciec morskich nimf
- ukarana za wynoszenie się ponad Latonę
- rozrzucenie ziarna na polu
- przysięgi małżeńskiej lub biologiczna w gabinecie
- ona naiwnych ogoli
- dodać jej – podnieść na duchu
- letni kapelusz z łyczkowca dłoniastego
- bezwartościowe czasopismo
- monachijski lub Janajewa
- na tej rzece granica Kolumbii z Peru i Ekwadorem
- parostatkiem lub po Nilu
- pewność siebie, śmiałość
- kobieta lubiąca niebezpieczeństwo
- pole po zżętym życie
- i pałac sułtana, i harem
- przez ich zakwit zamykane kąpieliska
- przemądrzały ptak ze Stumilowego Lasu
- finansuje organizację imprezy
- i na łące po sianokosach, i w Gdańsku
- białe wino jak miasto na Węgrzech
- ich żar w tytule serialu kryminalnego
- coś, co uwłacza godności, poniża
- renkloda… – odmiana śliwy
- może rzucić urok, ale nie zachwyci
- pomocnik proboszcza
- powoduje, że twarz pąsowieje
- pochyła powierzchnia terenu: góry lub kotliny
- rozprowadzanie i sprzedaż towarów

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1285”. Do rozlosowania książki „Porachunki osobiste” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 sierpnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1282” z nr. 29: *Afrontu kobieta nie zapomina.*

Nagrody otrzymują: Iwona Lachendro-Kubacka z Grabówki, Janina Pyra ze Stalowej Woli, Stanisław Sawicki z Wydmin.

eprasa.pl 046ebcf937

Chrześniak

Chyba kończy się przygoda Władysława Teofila Bartoszewskiego w MSZ. Bo trudno przypuszczać, by minister Sikorski, gdy Sejm uchyli Bartoszewskiemu immunitet, trzymał go na stanowisku sekretarza stanu. W sprawie Andrzeja Szejny, który w MSZ był sekretarzem stanu z ramienia Nowej Lewicy, z odpowiednią decyzją nie zwlekał.

Sprawa Władysława Teofila Bartoszewskiego jest znana, wiele razy opisana w mediach, ciągnie się od lat. Otóż dotyczy ona Andrzeja Ciechanowieckiego, zmarłego w 2015 r. wybitnego historyka sztuki i kolekcjonera, odznaczonego w 1998 r. Orderem Orła Białego. Ciechanowiecki był ojcem chrzestnym Władysława Teofila Bartoszewskiego i przyjacielem jego ojca Władysława Bartoszewskiego. Ufał Teofilowi i traktował go jak syna.

W pewnym momencie poprosił go o pomoc w inwestowaniu pieniędzy. Wówczas Władysław Teofil Bartoszewski zakupił za ok. 7 mln zł z założonej przez Ciechanowieckiego fundacji w Liechtensteinie trzy apartamenty w Warszawie z przeznaczeniem na wynajem. Ciechanowiecki zarabiał w ten sposób pieniądze, co miesiąc dostawał przelew. Jednakże w 2009 r. odkrył, podobno przypadkowo, że apartamenty są zarejestrowane na spółkę założoną przez Bartoszewskiego i jego żonę na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych. Innymi słowy, nie należą do niego.

Sprawa trafiła do sądu. Bartoszewski twierdził, że Ciechanowiecki wiedział o wszystkim i zgodził się na taką rejestrację ze względów podatkowych. Sąd pierwszej instancji przyjął te wyjaśnienia. Ale po latach procesów i odwołań sąd przyznał rację Fundacji Zbiorów im. Ciechanowieckich (przejęła ona prawa do majątku po śmierci Ciechanowieckiego). I nakazał Bartoszewskiemu zwrot 6,7 mln zł, 1 mln funtów, 405 tys. euro i kilku chińskich wazonów. W sumie 13,2 mln zł. Plus odsetki.

Kłopot w tym, że nie ma czego zwracać, bo w międzyczasie Bartoszewski apartamenty sprzedał.

Mamy więc wniosek Prokuratury Krajowej. Czytamy w nim: „Materiał dowodowy wskazuje na dostatecznie uzasadnione podejrzenie popełnienia przez posła Władysława Teofila Bartoszewskiego dwóch przestępstw polegających na przywłaszczeniu powierzonych środków pieniężnych oraz nabytych za nie lokali mieszkalnych, a także podejmowaniu działań zmierzających do udaremnienia wykonania spodziewanego orzeczenia sądu poprzez zbycie i darowiznę składników majątku, tj. czynów z art. 284 § 2 k.k. w zw. z art. 294 § 1 k.k. w zw. z art. 12 § 1 k.k. oraz art. 300 § 2 k.k. w zw. z art. 12 § 1 k.k.”.

Sprawa po kilkunastu latach zmagań sądowych zmierza więc do finału. I nie zapowiada się on korzystnie dla Władysława Teofila. A dla Sikorskiego? Też nie pozostawia mu zbyt szerokiego pola do działania. Dyplomacja przecież wymaga pewnej jasności sytuacji. Więc czekamy.

Attaché

Seria burz śnieżnych nawiedziła prowincję Mendoza w Argentynie przy granicy z Chile. Zapowiadane kolejne opady śniegu wymusiły zamknięcie międzynarodowej trasy łączącej te kraje. Według doniesień utknęło na niej ok. 1500 ciężarówek. Nz. Maximiliano Torres odśnieża dach restauracji w Puente del Inca, 26 lipca 2026 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 046ebcf937

zwierciadło

MAŁGORZATA SZEJNERT,
REPORTERKA

Jaki to czas dla reportażu?

– Dla prasowego beznadziejny. W Ameryce są ciągle takie gazety jak „Boston Globe", która rozpracowała sprawę pedofilii w amerykańskim Kościele. Jest „New York Times" czy „Los Angeles Times". Mają wspaniałe cykle reportażowe, badają tematy gruntownie i z rozmachem, zmieniając w ten sposób rzeczywistość. W Polsce prasa, niestety, nie może już sobie pozwolić na stałą współpracę z najlepszymi reporterami. I też nie bardzo sobie wyobrażam, żeby mogły u nas powstać nowe koncerny prasowe, które by tę sytuację zmieniły. Reportaż przeniósł się więc do książek. Obliczyłam, że grupa dziennikarzy związanych z działem reportażu „Gazety Wyborczej" po rozstaniu z „Gazetą" napisała do tej pory ok. 100 książek. Trzymają się literatury faktu, piszą m.in. metodą reporterską książki biograficzne.

Plus Minus

OMER BARTOV,
IZRAELSKI HISTORYK

W Izraelu zaobserwować można radykalizację młodych ludzi. Studenci, których spotkałem w Izraelu dwa lata temu, byli członkami skrajnie prawicowych organizacji. Ale poglądy, które reprezentowali, są powszechne wśród osób, które nie utożsamiają się ze skrajną prawicą. To efekt wieloletniego procesu edukacji, indoktrynacji i socjalizacji. Poddani mu Izraelczycy są przekonani, że Palestyńczycy chcą ich zabić, a jedynym sposobem na to, by temu zapobiec, jest pozbawienie ich życia. Uważają, że krytykowanie Izraela to antysemityzm. Mimo że militarnie Izrael dominuje w regionie, wierzą, że stoi w obliczu permanentnego zagrożenia dla własnej egzystencji. I to zagrożenie mieliby stanowić ludzie całkowicie pozbawieni władzy i znajdujący się pod butem izraelskiej armii!

TYGODNIK ANGORA

JANUSZ LASKOWSKI,
PIOSENKARZ

Ludzie wzruszają się przy piosenkach „Na opolskim rynku", „Śnił mi się rodzinny dom", przy „Beacie z Albatrosa" i „Żółtym liściu". Te utwory mają miliony wyświetleń. Jestem z tego dumny, bo to dowód na to, że te piosenki są słuchane na różnych krańcach świata. „Na opolskim rynku" to utwór, do którego tekst napisała Małgorzata Goraj, a muzykę skomponowała Katarzyna Gaertner. I to Kasia Gaertner powierzyła mi tę piosenkę. Co prawda wcześniej ktoś tę piosenkę śpiewał, ale zaaranżowałem ją po swojemu. „Śnił mi się rodzinny dom" i „Świat nie wierzy łzom" to piosenki, bez których nie ma wesela w Polsce. Jestem zapraszany, ale na weselach nie gramy. Są tam za to moje piosenki. Przez lata twórcą tekstów naszych przebojów był Ryszard Ulicki z Koszalina, redaktor z Polskiego Radia. Pisał teksty, czasami wiersze.

PANI

MARIA DĘBSKA,
AKTORKA

Co do nagości, już jej się tak nie wstydzę. Traktuję ciało jako narzędzie pracy. Kiedy czuję, że ma to sens, rozbieram się, a jak uważam, że nic do roli nie wnosi, odmawiam. Dlatego staram się pilnować, żeby moje zdjęcia nie były nadmiernie retuszowane. Ja sama po godzinie scrollowania tych wyidealizowanych obrazków, na których wszyscy mają gładką cerę, wystające kości policzkowe i wyrzeźbione brzuchy, zaczynam czuć się gorzej. A jestem dorosła i przecież wiem, jak to działa. Ale jak masz 13 czy 15 lat, takie coś może ci kompletnie namieszać w głowie. Postępujący kryzys psychiczny wśród młodych nie bierze się znikąd. Z badań wynika, że wśród dziewczynek za zbyt pulchne lub grube uważa się 40% 11-latek oraz ponad 50% 13-, 15-latek. (…) Jesteśmy zewsząd bombardowane nierealistycznymi wizerunkami kobiet.

FOT. AMEM (3)

eprasa.pl 046ebcf937

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter	Wyrazy z **siedmiu** liter	Wyrazy z **ośmiu** liter
1 CAL + FAN =	3 OKNA + BAS =	5 LOKI + WAZA =
2 ŁAN + BEZ =	4 WIZA + KOS =	6 MINA + TREL =

ROZWIĄZANIA: FLANCA, BLAZEN, KABANOS, WISKOZA, WOKALIZA, TERMINAL

Aby język giętki…

ANDRZEJ SKWORZ O MEDIACH

Nie powinny uzurpować sobie prawa do bycia jednocześnie prokuratorem, sędzią i administracją zakładu karnego.

MARIUSZ JANICKI O MATEUSZU MORAWIECKIM

Nieprzypadkowo jego ludzie zamieszczają pod swoimi wpisami hasło wyborcze Karola Nawrockiego, to ma być teraz ich patron.

MARCIN JÓZEFACIUK O BARBARZE NOWACKIEJ

Używała wobec części krytyków określenia „szury". Tak nie buduje się dialogu z rodzicami, nauczycielami ani ekspertami.

AGATA PASSENT O REFLEKSJI KPT. KRZYSZTOFA BARANOWSKIEGO

Fajnie by było, gdyby najbardziej zepsuci, zdziecinniali narcyzi, skorumpowani politycy, którzy kupili sobie lewe dyplomy na pseudouczelniach, samotnie udali się w wielomiesięczny rejs.

WOJCIECH CHMIELARZ O KOSZULACH

Z tkaniny dobrej jakości, idealnie skrojona, jest dla mnie atrybutem dorosłości i zawodu pisarskiego.

MAŁGORZATA KALICIŃSKA O ŻYCIU NA ODLUDZIU

Lubię życie na odludziu, bo teraz jestem „odlud", choć przez większość życia byłam wesoła i towarzyska. Dusza towarzystwa po prostu.

EWA KURYŁOWICZ O HOROSKOPIE

Przeczytałam w horoskopie, że osoba urodzona w tym dniu i roku co ja może zostać księdzem albo architektem – wybrałam to drugie.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 046ebcf937

Bezczas

Fotografie przedstawiają kobiety w przestrzeni, gdzie codzienność ustępuje miejsca atmosferze zawieszenia i bezczasu. Każda fotografia stanowi autonomiczną opowieść, pozostawiając widzowi pole do własnych interpretacji. Poprzez minimalistyczny język wizualny artystka Xeniya Brik bada relację człowieka z samym sobą oraz otaczającym go światem, koncentrując się na subtelnych stanach psychicznych. Wystawa prezentowana jest w ramach Wschodniego Festiwalu Fotografii i ukazuje charakterystyczny dla autorki sposób budowania narracji opartej na ciszy, symbolice oraz emocjonalnej intensywności obrazu.

Lublin, Galeria Labirynt
ul. ks. J. Popiełuszki 5
do 30 sierpnia

FOT. XENIYA BRIK/MATERIAŁY PRASOWE

Xeniya Brik

eprasa.pl 046ebcf937

John Scofield's
LONG DAYS QUARTET

23 sierpnia NOSPR, Katowice

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL | STODOLA.PL**

eprasa.pl 046ebcf937

2 MILIONY WIDZÓW W ARGENTYNIE!

HOMO SAPIENS?

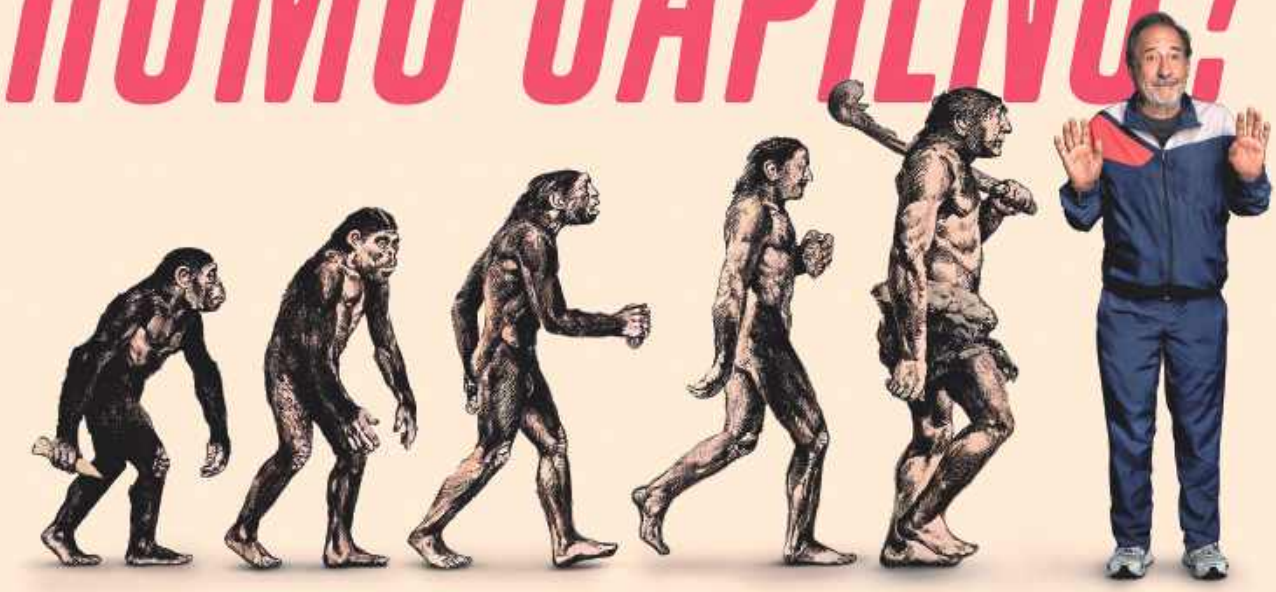

reżyseria
MARIANO COHN, GASTÓN DUPRAT
(„Boscy", „Honorowy obywatel")

A GDYBY TWOIM SĄSIADEM BYŁ HOMO SAPIENS?

W KINACH OD 7 SIERPNIA

AURORA

eprasa.pl 046ebcf937